

WITOLD ZEGALSKI

WYSPA PETERSENA



WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE POZNAŃ 1976

W PRACOWNI PISARZA

Harry usiadł w fotelu, ponuro spojrzał dookoła i zatrzymał wzrok na uchylonych drzwiach pracowni. Piętrzył się tam stos automatów i urządzeń, pośród których wszędzie, w każdym zakamarku walały się serpentyny taśm filmowych, dźwiękowych, tablic magnetowizyjnych... Widok ten, obojętny i właściwie niezauważalny na co dzień, nappełnił go niesamowitym obrzydzeniem. W ustach czuł gorycz i bolesną suchość. Spotkanie w stratobusie uśmiechniętego Rewiego wytrąciło Harry'ego ze stanu wisielczego humoru na pozycję niezadowolonia, niedosytu, niepokoju.

— Katody! — wrzasnął. — Gdzie ten koniak?!

Robot przywłókł się z kąta.

— Zapomniałem, proszę pana.

— Aha, delikatnie przypominasz mi, żeby ci lampę zmienić. Ale nie zmienię. Jedzenie, mieszkanie i ubrania dostają za darmo, a na luksusową lampę potrzeba dziesięć euroasów! Rozumiesz, ty ośle?!

— Rozumiem, proszę pana — mruknął brzęcząc lekko Katody — rozumiem pańskie zdenerwowanie, ale ja naprawdę potrzebuję tej lampy. W przeciwnym razie spali mi się obwód i nie będę mógł panu podać nawet pantofli.

— No, gdzie jest ten koniak?

Po wypiciu kieliszka humor Harry'ego nie uległ żadnej poprawie. Siedział nadal w fotelu: wtłoczywszy się między pneumatyczne poduszki nawet spojrzeniem nie zaszczyił Katodego, który schronił się do wnęki za szafą, ulegając impulsom bezpiecznika samozachowawczego.

Harry patrzył na stos błękitnych, o metalicznym lśnieniu tabliczek leżących w kącie. Na każdej znajdował się utrwalony drganiem elektromagnetycznymi tekst utworu literackiego, pełnego zjadliwej ironii, zaskakujących sytuacji, dowcipnych lub poważnych point. Założywszy którąkolwiek z nich do aparatu odtwórczego można było odbierać, przez co najmniej godzinę, trójwymiarową nowelę wizję, dramatofilm czy powieściotwór. I oto płody ludzkiej i mechanicznej wyobraźni, dni ciężkiej pracy automatu koncepcyjnego, dziesiątki godzin użerania się z niesformą bandą robotów homoidalnych typu „Actor 85 b” — leżą bezużytecznie. To zakrawało na kpiny, to był szczyt. A Rewiemu przyjęto jego nędzną chałturę.

W ogóle od momentu gdy w Centrum Rozrywek Globalnych zaczęto rygorystycznie i bezdusznie kontrolować utwory — nastąpiły dla twórców ciężkie czasy. Tekst literacki wędrował do mózgu elektronowego, który, dzika bestia, sprawdzał w ciągu kilku minut, czy nikt, nigdzie, na żadnym kontynencie, planecie, teraz i w przeszłości nie stworzył już czegoś podobnego. Automat bezbłędnie określał stopień oryginalności pomysłu, odrzucając wszystko, co nie było przynajmniej w trzydziestu procentach nowością. Żadnych reklamacji nie przyjmowano. Pracownicy Centrum nawet się nie pokazywali w sali kontrolnej, oddzieleni od niej ścianą z pancernego plastyku. Nie można było zatem posadzić któregoś o nieprzychylność lub po prostu skłąć, co by łagodziło gorycz porażki. Autor osobiście wkładał tabliczki do maszyny i oczekiwał na wynik. Najczęściej, po niezbyt długiej chwili, tabliczka wypadła drugim otworem z towarzyszeniem radosnego gwizdu elektronowego urządzenia, które równocześnie otwierało drzwi wiodące na ulicę. Nie pomagało doskonale warsztatu pisarza: zakupy coraz to nowszych automatów twórczych z superposzerzonymi zakresami koncepcji, mieszalnikiem skomplikowania i samoczynnym formowobierakiem pracującym na zasadzie ruletki. Elektronowy mózg Centrum Rozrywkowego szalał, wynajdywał jakichś starożytnych autorów, informując miłym głosem, że już kiedyś, ktoś, o kim się nigdy nie sły-

szało, wymyślił podobną historię. Maszyna była bezwzględna, sprzed jej pulpitu odchodzili zarówno młodzi, nieopierzeni jeszcze twórcy, jak i sławy powszechnie uznane, przeżywając już na ulicy swoją klęskę.

Pierwsza zaniknęła oczywiście fraszka. Utworów tych napisano przez wieki takie mnóstwo, że o stworzeniu jakiejś naprawdę nowej przestano marzyć. Byli co prawda fantaści lub maniacy, bo gdzie ich nie ma, biedzący się nadal nad fraszkami, niemniej przypominali gatunek ludzi starających się od stuleci wyprodukować perpetuum mobile. Nad poezją, co jest rzeczą całkiem zrozumiałą, nikt nie siedział — automaty załatwiały tę sprawę odręcznie. Stosunkowo największe szanse miały nowelowizje i powieściotwory, lecz i tutaj przyjęcie przez Centrum było rzadkie. Znacznie częściej twórca odchodził z tabliczką w kieszeni, ścigany diagnozą automatu: „Dziewięćdziesięcioprocentowe skrzyżowanie Platona z Hemingwayem, zaprawione pięcioprocentowym mezaliansem z Gordonką... własnej koncepcji zero. Dziękujemy za pamięć, polecamy się na przyszłość, życzymy owocnej i twórczej pracy”. Do szyderstw tych mózg elektronowy dodawał jeszcze uwagę, świadczącą o niebywałej złośliwości pracowników Centrum, że „Uprasza się o niezaśmiecianie odrzuconymi tekstami gabinetu przyjęć utworów. Kosz na odpadki produkcyjne znajduje się tuż za drzwiami”. I nagle — ten uśmiechnięty Rewi. Kto mógł przypuszczać, że nikt dotychczas niczego nie napisał o bazaltowej rybce, posiadającej piramidę śmietany. Oczywiście — chałtura, ale Centrum ją przyjęło i będzie rozpowszechniało jako dwieście sześćdziesiąty czwarty oryginalny utwór, napisany w tym roku w granicach układu solarnego. Rauty, wywiady, medale, ceremonialna pompa, nagrody, spotkania autorskie do końca życia — płatne po sto euroasów najmniej.

Harry patrzył ponuro. Wszystko było perfidnym uśmiechem złośliwego losu. Mógł jeść sardynki, kawior, jeździć transem i stratobusami po wszystkich kontynentach, codziennie zmieniać garnitur, ale na lampę dla Katodego potrzeba było dziesięciu euroasów, wylegiwanie się na plażach Florydy również kosztowało pewną ich sumę, nawet zwyczajnej żaglówki nie można było wypożyczyć bez euroasa, bo żagiel nie chciał się wówczas rozwinąć. Ci z Rady Układu wymyślili teorię o konieczności zachowania węzłowych bodźców ekonomicznych, uważając, że w przeciwnym wypadku lenistwo stanie się hamulcem postępu. Tak jakby człowiek już z samej swojej natury nie musiał czegokolwiek robić! Wymyślili euroas, środek płatniczy, ekwiwalent powszechny dla całego układu, bez którego można było żyć dostatnio, lecz mało przyjemnie. Rozmyślenia Harry'ego przerwał wrzask trwogi dochodzący z pracowni. Wstał i stanął w drzwiach. Patrzył przez chwilę przygryzając ze złości wargi.

Potężnej budowy mężczyzna dusił w kącie pracowni kobietę dławiącą się rozpaczliwym krzykiem. W drugim kącie, niedaleko tłumacza elektronowego, walczyło trzech młodzieńców urągając sobie wyzwiskami z drugiej połowy dwudziestego wieku. Harry zacisnął pięści.

— Uspokoicie się, czy mam was wyrzucić na złom?! — wrzasnął. Bijące się aktoroby zastygły w bezruchu. — Czemu rozrabiacie?!

Harry był wściekły. Ponurym spojrzeniem omiół salę. Żeby nie mieć spokoju we własnym domu! To też był szczyt wytrzymałości ludzkiej. Przemknęła mu myśl: „Oddać je wszystkie do składnicy, pod hydrauliczną prasę, wyzwolić się z ich obecności”. Ale wówczas pozostałby sam, bez warsztatu twórczego.

— Czemu rozrabiacie? — syknął.

— Zdradziła mnie — tłumaczył się robot.

„Aha nie wymazałem koncepcji” — przypomniał sobie Harry. To był właśnie jeden z niewypałów. Mózg w Centrum stwierdził, że ktoś napisał już takie widowisko. Tytuł „Otello”. „Teraz mój Gramidas, i zarazem tamtego Otello, dusi niewierną, bodaj to szlag trafił! Ale przecież nie powinny powtarzać ról bez rozkazu”.

— Co jest, u kata! — wrzasnął. — Zabawiacie się rolami. Przecież raz na zawsze zakażalem tego! To jest czysta granda! Skąd mam brać euroasy na wasze cewki, lampy, obwody?! Stare roboty z pełnym zakresem sprzężeń, a bawią się jak głupi elektroluks. Macie natych-

miast wymazać z pamięci wszystkie zadane role!

Roboty zabrzęcały niechętnie. Powoli ich twarze wygładzały się, przybierając na powrót kształt pustych masek, czekających na osobowość, którą narzuci im wyobraźnia konceptora lub samego pisarza. Były po chwili tylko kukłami tłoczącymi się we wnęce pracowni.

Harry odetchnął z ulgą. Właściwie lubił te automaty, chociaż były nie w pierwszorzędnym gatunku i wymagały przeglądu technicznego. Z zazdrością pomyślał o pracowni, jaką posiada Vilpono, ale Vilpono napisał aż trzy oryginalne w dziewięćdziesięciu procentach powieściotwory i wprost nie wiedział, co z euroasami zrobić. Miał czterdzieści automatów homoidalnych, wszystkie były nowe i w najlepszym gatunku. Takie aktoroby, jakimi dysponował Harry, Vilpono trzymał na strychu służącym za graciarnię, używając ich co najwyżej do robienia tłumy na dalszym planie.

Harry westchnął gorzko i myślami wrócił do swoich robotów, zabawiających się powtarzaniem ról bez pozwolenia, gdy tylko wyjdzie lub się odwróci. Nowe lampy, koniecznie nowe lampy, w przeciwnym razie się pozabijają. Ale skąd wziąć euroasy? Sprawa właściwie była dosyć prosta, nie wymagająca specjalnych rozważań. Należało coś napisać, nowego i świeżego. Harry zazgrzytał zębami i mimo woli spojrzął na stos tabliczek leżących w koszu. Tylko ten mózg w Centrum... I pomyśleć, że taki Rewi otrzyma aż pięć tysięcy! Pewnie nie będzie wiedział, na co je zużyć. Niech to! Bazaltowa rybka i piramida śmietany! Chałtura, zwyczajna, ordynarna chałtura. Pomyślał, że jednak będzie musiał coś napisać. Perspektywa ta nie była zachęcająca, a już szczególnie harówka z aktorobami wzbudzała w nim niechęć. Dawniej sądzono, że warto być bogiem. Szkoda, że taki facet nie musiał kształtować osobowości robota. Natychmiast by się mu odechciało. Te bziki i fomy homoidalnych automatów mogły każdego nabawić choroby nerwowej. Potem, gdy już wszystko jest gotowe — testy wizji, planów, tła, kolorów, fonii, gdy odegrały swoje role i gdy już patrzeć na to nie można, one za plecami powtarzają wszystko dla zabawy. Powtarzają, ponieważ zapomniał zmasować ich osobowość i mają zużyte zastawki blokujące. To im oczywiście w pełni odpowiada. Bawią się zużywając resztki mechanizmów. Lampy też mogłyby być lepsze. Kilkaset godzin pracy i już kompletna wysiadka. A skąd brać nowe euroasy?

Usiadł w fotelu. Właściwie trzeba by coś napisać. Coś nowego. Tylko skąd wiedzieć, czy już w zamierzchłej przeszłości ktoś nie wpadł na podobny pomysł? Dzieło sztuki sprawdzić można, niestety, tylko po jego ostatecznym zakończeniu, ta świadomość przyprowadza Harry'ego o melancholię. Automaty koncepcyjne zawodzą, ostatecznie mają ograniczony zakres działania, nie przystosowany do bezdennej pamięciowej studni mózgu panoszącego się w Centrum. Te małżeńskie trójkąty, czworokąty, pięciokąty zostały przez wieki definitywnie wyeksploatowane wraz z wszelkimi powszedniejszymi schematami ludzkich poczynań. Miejsce i historyczny okres miały dla Centrum nikłą wagę. Przeniesienie akcji „Toski” z zamku Anioła na Akropolis ateńską, w czasy na przykład Fidiasza, mózg elektrony traktował bardzo źle, pozwalając sobie nawet na niewybredne epitety.

— Katody! — krzyknął Harry. — Jeszcze jeden koniak!

A więc trzeba coś napisać. To niby bardzo proste — coś napisać. Staje się przed konceptorem, naciska na chybił trafił kilka klawiszy i po dziesięciu sekundach wyskakuje tabliczka z gotowym schematem, dajmy na to nowelowizji, z opracowanymi wątkami, rysem psychologicznym postaci, czasem trwania akcji, atrakcyjną pointą... Potem tabliczkę wrzuca się do dialogoskryby, który wypełniwszy puste ramy schematu zapisem „mięsa słownego” podaje ją dalej, do wizjorysu i foniokombi... Następnie trzeba tylko nauczyć aktorobów osobowości, ról i skrócić to wszystko kamerą kopiosynchronizacyjną. Nowelowizja gotowa. Ha! O opinio tłumy, opinio pozeraczy utworów, którzy jecie wszędzie: w domu i na ulicy, i w metro, w samochodzie i na ślizgawcu, w stratobusie i w kabinie kosmicznej stacji. Harry pokiwał z politowaniem głową — to nawet nie było godne tematu. Tak myśleli ludzie zawsze — powtarzający się, wyeksploatowany schemat.

Spojrzał z niechęcią na automat koncepcyjny. Czemu ten nędznik ma kształt zwyczajnej maszyny? Konstruktorzy nie dają mu kształtu postaci ludzkiej. Znacznie łatwiej byłoby się dogadać. A konceptor jest skrzynią. Zwyczajną, ordynarną skrzynią. Ani porządnie skłąć tego nie można. No, i ma ograniczony zakres. Te trzydzieści miliardów połączeń to naprawdę zbyt mało. Tyle już napisano, psiakrew. Kto by pomyślał. Opanowała go złość na wszystkich poprzednikach, którzy od wieków nie mieli niczego lepszego do roboty od ostrzenia trzcinowych patyków, klinów, stylów, wydzierania piór ptactwu, kupowania stalówek, wiecznych piór, ołówków, długopisów, maszyn, magnetofonów — aby pisać. Pisać na wszystkim i o wszystkim, co popadnie.

— Katody! — wrzasnął. — Koniak!

Rewi. Facet drętwy, bez krzty wyobraźni i polotu. Udało mu się. Bazaltowa rybka i piramida śmietany. Piramidalna bzdura! Ale coś nowego. Twierdzi, że sam to wymyślił. Automat koncepcyjny należy wyrzucić. Na złom! Na szmelc! Nieprzydatny grat. Hm... ewentualnie oddać go na przeszkolenie poszerzające zakresy? Ale na to brak euroasów. Tfu! Trzeba koniecznie coś napisać, coś wymyślić, męczyć się, znosić kaprysy rozluźnionych połączeń i zużytych cewek.

Harry powoli sączył koniak. Najważniejszy był pomysł — to nie ulegało kwestii. Oczywiście taki, na jaki wpaść nie mógł nikt w starożytności. I obecnie. Przez chwilę rozmyślał nad stworzeniem supergiganta historycznego, lecz odrzucił ten kuszący go projekt. Robiono już to w dwudziestym wieku, rzecz zatem mogła być ryzykowna. No i nikt nie wypożyczy aktorobów na piękne oczy.

Harry poddał się ciepłemu uczuciu rezygnacji. Wdusił klawisz wizofonu. Na ekranie ukazał się trójwymiarowy obraz głowy speakera. Zawsze go śmieszyła ta głowa, żywa głowa, jakby ucięta granicą obrazu. Wiadomości. Nuda.

„...Na Marsie uruchomiono przedziałnię włókien sztucznych. Uroczystość zaszczycili...”

Przekreślił gałkę na inny kanał.

„...spożytkowanie planktonu jest olbrzymie. Białko zawarte w jednym metrze sześciennym chlorelli ocenia się...”

Na kanale czwartym pogadanka, na piątym transmisja z meczu Wenus contra Jowisz. Skonać można. Z zawiścią pomyślał o dziennikarzach i reporterach. Ci mają dopiero święty żywot. Ich nie obowiązuje mózg Centrum Rozrywkowego, oni podlegają Informacji, czyli piszą bez kryterium nowości formy i fabuły... Tylko zaistnienie jakiegoś faktu w czasie jest dla nich ważne, obojętnie, który tam raz z rzędu fakt ten się powtarza, pierwszy czy milionowy z kolei. Otwarto, uruchomiono, zamknięto, rozpoczęły się... Jakieś fabryki, zakłady, kanały, konferencje, na Marsie, Ziemi, Lunie...

„...Profesor Farkins zapoczątkował serię eksperymentów mających na celu przekopowanie informacji zawartych w ludzkim mózgu na elektronową protezę. Wraz z informacjami proteza przejąc ma również poczucie osobowości istoty, której jest kopią. Specjalne urządzenie zapewni możliwość porozumiewania się z kopią w formie zwyczajnej rozmowy. Jednakże proces przekazania informacji z mózgu na protezę nie jest odwracalny. Pozbawione informacji tkanki żywe niszczeją. Kopiować zatem można będzie jedynie mózgi ludzi znajdujących się w stanie agonii...”

Harry oprzytomniał i natychmiast wyłączył wizofon. Nie chciał obciążać myśli dalszymi szczegółami, które, narzucając wyobraźni pewien kierunek, hamują swobodę skojarzeń. Z pogardą spojrzął w stronę automatu koncepcyjnego.

— Katody! — wrzasnął. — Natychmiast przynieś papier i ołówek.

— Co? — zdziwił się robot.

— Papier i ołówek, powiedziałem.

Robot pobrzączał chwilę.

— Ale skąd wziąć? Pójdę do jakiegoś antykwariatu lub muzeum. O, tak, do muzeum.

Tam na pewno będą mieli.

— Ołówek i papier są w graciarni, pod albumami rodzinnymi! — krzyknął Harry. — Co robisz głupią minę?! Ruszaj się!

Po długiej chwili pojawił się Katody niosąc zakurzony ołówek i kawałek kartki.

A więc kopie mózgow, posiadające elektronową pamięć ludzką, świadomość, mogące leżeć na półce domowej filmoteki, rozmawiające z każdym, kto się zbliży do ich mikrofonu i naciśnie włącznik. To był pomysł. Najbardziej cieszyła Harry'ego łatwość realizacji: nie trzeba było żadnego aktoroba, sam odegra rolę, żadnej skomplikowanej wizji. Wystarczał zwykły robot, ot, Katody, kilka kaset z głośnikami i mikrofonami i nieco tak zwanych nastrojów wizyjnych. Genialność ma cechy prostoty. „Ostatecznie może być jakiś fragment szafy, półki, korytarza, ale użyję ich bardzo oszczędnie” — postanowił.

Po chwili Harry, obserwowany z przerażeniem przez Katodego, pisał nowelowizję.

Grimen raz jeszcze obszedł pokoje. Robot mógł zapomnieć czegoś i wrócić niepostrzeżenie. Anodusa jednak nigdzie nie było. Od dłuższego czasu zastanawiał Grimena pewien drobny na pozór fakt. Lamy robota zużywały się zbyt szybko. Mogło to oznaczać niewiele — po prostu fabryka znowu wypuściła gorszą serią produktów, nie odpowiadającą reklamowym zapewnieniom. To byłoby najprostsze rozwiązanie problemu. Można by wówczas wnieść reklamację i otrzymać nową lampą nie tracąc ani jednego euroasa. Sprawa skomplikowałaby się jednak w przypadku niestwierdzenia przez kontrolę techniczną brakoróbstwa. Wiedział, że tamci tylko czekają na niesłuszne zażalenia i potrafią je w pełni wykorzystać. To jest właśnie najświetniejszą reklamą. Trąbiliby we wszystkich audycjach, na całej skali zakresów: „Nasze produkty są niezawodne, nie wierz swoim subiektywnym zmysłom, ufaj kontroli Fabryki Lamp dla Robotów «Elrob». «Elrob» nie wypuści braku! Panie Grimen! Pilnuj pan lepiej swojego robota! Pewnie się wałkoni, a pan ma o to do nas pretensje...” Grimen nie mógł pozwolić na ośmieszanie nazwiska. Lecz lampy Anodusa zużywały się nadzwyczaj szybko.

Podszedł do szafy i wydobyl z niej niewielką paczką. Zainstalowanie w pokojach zamaskowanych miniaturowych kamer wizyjno-fonicznych nie zabralo mu wiele czasu. Sprawdzil urzadzenie i zadowolony podlaczyl je do sieci zewnetrznej.

Przed opuszczeniem mieszkania spojrzal jeszcze na polki filmoteki. Obok tomow tasm i tabliczek z testami literackimi lezalo tam rzędem kilkanaście pudelek zaopatrzonych w glosniki i mikrofony.

— Ech — mruknął Grimen — z rodzinką porozmawiam przy innej okazji.

Anodus mógł nadejść każdej chwili, a Grimen musiał przenieść się co najmniej do III dzielnicy, aby czujnik robota nie wykrył jego obecności w pobliżu. Szybko wyszedł.

Winiarnia przy dworcu helikopterowym była o tej porze pusta. Wygodnie rozsiadł się w fotelu nad lampką rizlinga i włączył podręczny wideofon. Ekranik aparatu zamigotał i zgasł. Grimen popukał palcem w obudowę. Nie pomogło. Ekranik nadal pozostał matowy.

„Znowu zwarcie — pomyślał niechętnie. — Trzeba koniecznie dać do naprawy. A może lepiej kupić nowy?”

Z rezygnacją nacisnął guziczek fonii, aby sprawdzić rozmiar uszkodzenia. W głośniku rozległy się szmery. Grimen ze zdumieniem usłyszał jakąś cichą rozmowę. Pokręcił szybko gałką modulatora.

— ...no, więc zadzwoniłeś — poznał głos swojego dziadka leżącego w pudelku na półce. — Jest mi przyjemnie, lubię odwiedziny. Co nowego?

W głośniku zabręczało.

— Właściwie nic — rozległ się jego własny głos z aparatu. — Mam pewne skrupuły, że tak często tobie zajmuję czas i przerywam kontemplację.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — burczał dziadek łaskawie.

— Jeździłem po mieście, wpadłem do ciotki Anastazji. Poczęstowała mnie kawą.

— Jaką? Naturalną czy tym syntetycznym świństwem, od którego język się przewraca?

— Nie wiem. Teraz jest już lepsza niż za twoich czasów. Może była nawet naturalna. Na dnie szklanki spostrzegłem fusy.

— Więc chyba naturalna. I co tam u ciotki? Wyjeżdżała gdzieś na urlop?

W głośniku znowu zabrzęczało.

— Była w Brazylii, stąd pewnie ta naturalna kawa. Straszne nudy. Wyprała się zupełnie z euroasów. Teraz siedzi i duma, skąd wziąć następne.

— Słuchaj, Bert. Ktoś nam przeszkadza — odezwał się podejrzliwy głos dziadka. — Słyszę jakieś dźwięki zakłócające odbiór. Czy to naprawdę jesteś ty, osobiście?

— Oczywiście, że ja — zapewnił głos Grimena-wnuka zmacony delikatnym brzęczeniem — a któż by?

— Kłamiesz, podle kłamiesz! — wrzasnął dziadek. — Ty jesteś robotem mojego wnuka! Draniu! Wszystkie lampy ci rozwalę!

— Ależ, dziadku, to insynuacja. Jakże bym się ośmielił podstawić głupiego robota zamiast siebie?! Tego Anodusa?! Zresztą on ma prawie zużytą lampę.

— Słyszę właśnie — warknął dziadek. — To brzęczenie demaskuje cię, lotrze! Ty mechaniczna pokrako, będziesz się podszywać pod mojego ukochanego wnuka? Dawaj wnuka do aparatu, kreaturo! Już dziesiąty raz cię łapię. Pójdziesz na złom za taką bezczelność.

— Tak, to ja, Anodus — odezwał się skruszony głos robota. — Niech się pan nie gniewa. Właściwie to dziwne, że mnie pan rozpoznaje. Nastawiłem się przeciw na głos mego pana. Czyżbym miał jakąś indywidualność?

— Ty lotrze — grzmiał dziadek — paskudny kłębku śrub i drutu podszywający się pod mojego Berta. Jak cię poznaję? Indywidualność? Też dobre! Gdy się nagrzewasz, zaraz brzęczysz.

— Ja tego nie słyszę — mruknął robot.

— Ale ja słyszę, to wystarczy. Co ty właściwie sobie myślisz? Należałoby cię rozebrać na części. Czemu mi zawracasz głowę?

— Smutna jest dola robota, proszę pana. Stale jest się tylko sprzętem. Ja bardzo lubię być człowiekiem — zamruczał Anodus. — To bardzo przyjemne uzyskać choć na chwilę, chociaż w ten sposób, osobowość.

Dziadek krztusił się przez kilkanaście sekund.

— W przewodach się tobie przewraca! — wrzasnął. — Zespoły masz przeżarte korozją! Wszystkie połączenia ci zdemoluję!

— Bardzo przepraszam — powiedział z godnością Anodus — nie chciałem pana urazić. Ale i ja posiadam ambicję, nie mam zamiaru być przedmiotem pańskich nieustannych obelg i napaści. Jak nie, to nie. Jak pan sobie życzy. Pańska siostra, pani Filomena, jest dla mnie bardzo uprzejma. Wiadziemy długie rozmowy. Bardzo kulturalna i ocytana osoba.

W głośniku zapanowało milczenie.

— Wiesz, Anodus — powiedział po chwili dziadek — nie musisz się na mnie gniewać. Ja też bardzo lubię rozmawiać z k i m ś, k t o ż y j e. A ty przecież żyjesz: chodzisz, widzisz, dotykasz... Tobie wcale nie jest tak źle, Anodus. Zostańmy przyjaciółmi. Powiedz mi, co słychać w mieście? Kwitnie już ten kasztan przed domem?

Harry odłożył ołówek. Z kartką papieru pobiegł do pracowni. Opracowywanie tekstu literackiego nie trwało długo. Ostatecznie w nowelowizji nie brał udziału, poza nim samym, żaden człowiek, nie trzeba więc było uczyć aktorobów. Po trzech godzinach opuścił dom z gotowym dziełem w kieszeni. Taksówka helikopterowa zawiozła go przed gmach Centrum Rozrywkowego. W wesołym nastroju stanął przy elektronowym mózgu kontrolnym. Wrzucił tekst w otwór maszyny. Urządzenie pobrzęczało chwilę, rozległ się gwizd, tabliczka wypadła i równocześnie otworzyły się drzwi wiodące na ulicę.

— Co?! Znowu?! — wykrztusił Harry. — Ty się chyba mylisz, kretyński mózgu! Kto taką rzecz mógł napisać, he?

— Napisał ją pewien gość już w drugiej połowie dwudziestego wieku, proszę pana — odpowiedział uprzejmie elektronowy mózg Centrum — nie możemy skorzystać. Stuprocentowy plagiat. Dziękujemy za pamięć, polecamy się...

Harry zaklął, cisnął tabliczkę w kąt i wyszedł na ulicę.

WYSPA PETERSENA

Gdy Harris znalazł się w obszernym hallu i przeszklone drzwi odcięły gwar arterii miasta, ciekawość jego wzrosła. Gmach stojący w samym centrum Geopolis, lecz zarazem jakby na uboczu, odwiedzali tylko nieliczni. W ogóle gmach wydawać by się mógł pustym i nieużytkowanym, gdyby nie nikły ruch na płycie lotniska i światła zapalające się o zmierzchu na wszystkich pięćdziesięciu piętrach. Wbrew pozorom pracowało tam wiele ludzi, lecz były to zespoły powoływane dorywczo, na niedługie okresy. Później ludzie rozjeżdżali się po wszystkich kontynentach, wracali na Księżyc, pobliskie planety, do domów, często nie spotkawszy się nawet ze sobą, chociaż pracowali w jednej sekcji. Każdy z nich znał tylko drobny wycinek pracy, stanowiący zapewne część olbrzymiego doświadczenia lub badania, którego rezultat pozostawał w gmachu, w pamięci mózgow elektronowych.

Hall był pusty, tylko echo kroków Harrisa błąkało się pod wysokim stropem pełnym starożytnych kolumn, gzymsów i załamań murów ozdobionych ornamentami kutymi w marmurze. Spodziewał się wnętrza nowoczesnego, wypełnionego szkłem i plastykiem tworzącym łagodne nachylone tarasy podejść, przenikające się wzajemnie płaszczyzny ścian, harmonię form geometrycznych, w których każdy akcent kontrastowy byłby erupcją myśli artysty-architekta podporządkowaną tworzywom i funkcji. Tymczasem w przedsionku wszystko przypominało wieki dawno minione. Przystanął na środku hallu. Teraz dopiero, przyjrząwszy się dokładnie, mógł ocenić myśl jego twórców; przez kolumny, galerie, płaskorzeźby wyrazili ewolucję myśli ludzkiej w jej różnorodnym bogactwie, dążeniu ku lekkości i precyzji. W bocznych niszach znalazł wejścia do wind. Po chwili szedł już szerokim korytarzem trzynastego drugiego piętra pilotowany smugą światła pełgającego w ścianie. W pewnym momencie uchyliły się boczne drzwi. Wszedł.

— A, Harris — powiedział mężczyzna siedzący za biurkiem. — Jestem Lorten, proszę, siadaj — wskazał mu fotel. — Czekam na ciebie. Zapewne jesteś zdziwiony wezwaniem, ale każdy, kogo zapraszamy, jest w jakimś sensie zdziwiony.

Lorten skinął na stojącego w pobliżu robota, który podszedł i założył Harrisowi na głowę lekki hełm plastyczny.

— To urządzenie pozwala na swobodne prowadzenie rozmowy o sprawach, które nie powinny opuścić naszego instytutu — wyjaśnił Lorten. — Rodzaj dodatkowych komórek pamięci uniemożliwiających odkładanie się wiadomości w zwojach mózgowych. Po zdjęciu hełmu wszystko, o czym będziemy mówić, zniknie z twojej świadomości na zawsze.

— Hm — mruknął Harris bez entuzjazmu. Ten człowiek za biurkiem niezbyt mu się podobał, chociaż uśmiechał się przy każdym wypowiedzianym zdaniu i starał się być uprzejmy. Jego oczy jednak pozostawały chłodne, ciekawe ciekawością uczonego oglądającego dziwny eksponat. — Cóż to za tajemnicza historia, wymagająca aż takich środków ostrożności? A w ogóle sędzę, że to pomyłka, nie jestem ani wynalazcą, ani jakimś specjalistą, skąd zatem zainteresowanie moją skromną osobą?

Lorten roześmiał się.

— No, pomyłki i u nas się zdarzają, oczywiście, ale nie w tym wypadku. Gościmy tutaj nie tylko uczonych, lecz każdego, kto może nam pomóc. A pomoc mogą różni ludzie.

— Właściwie czym się zajmuje ten instytut? — zapytał Harris, wygodniej sadowiac się w fotelu. — Nic o was nie słyhać z wyjątkiem pozycji w budżecie, jaką przeznacza Rada Dziesięciu na waszą działalność.

— Ach, różności, różności, Harris — westchnął tamten — znam tylko drobny wycinek prac. Nasz układ pełen jest rebusów i zagadek, które staramy się w miarę możliwości rozwikłać.

— No dobrze, nie chcesz lub nie możesz mi powiedzieć, nie będę zatem stawiać pytań, zresztą, sam twierdzisz, że i tak po zdjęciu hełmu niczego pamiętać nie będę, więc jest to tylko zaspokojenie ciekawości na czas naszej rozmowy. Powiedz mi jednak, Lorten, co oznaczają te starożytności w hallu? Chyba to nie tajemnica? Co one mają z wami wspólnego? Sądziłem, że trafiłem do jakiegoś muzeum.

— Sprawy, które tutaj się zbiegają, mają niekiedy źródła bardzo odległe w czasie. Ludzie pozostawili przez tysiąclecia masę spraw nie wyjaśnionych.

Harris wzruszył ramionami.

— Cóż nas mogą one obchodzić?

— Okazuje się, że mogą. Oczywiście nie wszystkie. Nic nas nie obchodzi, jeżeli jakieś książątko w którymś tam wieku zabiło stryja czy brata dla zagarnięcia majątku, natomiast otrucie arcykapłana staroegipskiej świątyni Amona w Tebach interesowało nas bardzo, i to, wierz mi, ze względów całkiem nam współczesnych. Myśli niektórych uczonych wybiegały często daleko w przeszłość, były niezrozumiałe lub wręcz niebezpieczne dla otoczenia rozumującego prymitywnymi kategoriami tamtych wieków, lecz pomimo upływu czasu nie straciły na aktualności. Widzisz, Harris, dawniej jeszcze istniały rozmaite materiały faktograficzne, a my, sięgając dzisiaj do pewnych problemów, jesteśmy ich pozbawieni. Nie masz pojęcia, jak by się nam obecnie przydała zawartość biblioteki aleksandryjskiej, spalonej za Cezara! Szukamy zatem, rekonstruujemy... Zresztą podobna sprawa, no, w czasie mniej odległa, spowodowała zaproszenie ciebie do instytutu.

Harris pomyślał, że jednak nastąpiła jakaś pomyłka, dzięki której siedzi w tym gabinecie na trzydziestym drugim piętrze instytutu, z hełmem na głowie. Jego życie nie zawierało żadnych ciekawszych momentów, nic, co mogłoby usprawiedliwiać zainteresowanie ludzi z tego gmachu.

— Słuchaj, Lorten. Jestem Harris z kontynentu europejskiego, mieszkam w...

— Wiemy, wiemy — przerwał mu Lorten tonem lekarza uspokajającego zbyt nerwowego pacjenta. — Twój numer radioaktywny został sprawdzony przez automat przy wejściu i pod tym względem nie mam wątpliwości. Sądzimy jednak, że właśnie ty możesz nam pomóc w rozwiązaniu sprawy pola X. Możesz lub nie, to się dopiero okaże.

— Ależ ja nic nie wiem o żadnym polu X!

— Oczywiście, że nie wiesz, byłbym nawet mocno zdziwiony, gdybyś coś o nim słyszał — mruknął Lorten — ale jeśli chcesz, możesz go nawet dotknąć. Leży na biurku.

Harris spojrział na leżącą przed Lorteniem pustą, czystą płytę z kilkoma wmontowanymi przyciskami.

— Co? Ta płyta biurka?

— Nie — Lorten wyciągnął rękę i palcami wykonał ruch, jakby obejmując jakiś kształt.

— Słuchaj — powiedział gniewnie Harris — przestań wreszcie błaznować. Nie po to oderwałem się od zajęć i przyleciałem raketoplanem, aby być obiektem niepoważnych żartów.

— Kiedy tutaj naprawdę leży pole X — spokojnie tłumaczył Lorten.

Harris wyciągnął rękę przed siebie. Zrobił to zbyt gwałtownie i poczuł ból, jakby uderzył o kanciasty, twardy przedmiot. Ostrożnie obmacywał palcami leżącą na biurku niewidzialną bryłę. Na jego twarzy odmalował się wyraz zdumienia.

— A to co?

— Właśnie pole X — Lorten patrzył w zadumie na dłoń Harrisa błędzącą po ścianach

niewidocznego przedmiotu. Była to mocna męska ręka, przywykła do sterów automatów kroczących, ryjących ziemię w bezludnych, pustynnych okolicach, pomimo to jednak palce przesuwały się po płaszczyznach pola X z zaskakującą delikatnością. — Teraz udzielię ci pewnych wyjaśnień. W roku dwutysięcznym sto drugim naszej ery...

— ...nie było mnie na świecie. Żył mój dziadek — wtrącił Harris.

— ...więc w tym właśnie roku mieszkańcy pewnego miasteczka na wybrzeżu Chile zaalarmowali policję i pogotowie lekarskie, twierdząc, że mieszkający na uboczu, w sporej willi, człowiek cierpi na zaburzenia umysłowe i zakłóca spokój publiczny. Dom wzięto pod obserwację. W istocie, działy się tam rzeczy mogące wywołać niepokój. Właściciel willi, niejaki Petersen, stworzył w niej laboratorium i o najmniej przewidzianych porach dnia i nocy włączał urządzenia, które pracowały bardzo hałaśliwie, a w dodatku powodowały zakłócenia w odbiorze audycji telewizyjnych, często doprowadzając do psucia się lamp i odbiorników. Skargi mieszkańców Petersen uznawał, wynagradzał drobne straty, płacił kary, lecz działalności nie zaprzestał, co bardzo nieprzychylnie usposabiało do niego sąsiadów. Zresztą efektem tych interwencji było włączanie przez Petersena maszyn w późnych godzinach nocnych, a wycie dobiegające z wnętrza domu budziło całą okolicę. Po pewnym czasie zainstalował tam nawet jakieś tłumiki, willę stojącą nad zatoką otoczył wysokim murem, odgradzając się od świata, i hałasy nie były już tak przeraźliwe. Mur podsycił jednak ciekawość. Późniejsze obserwacje dały rezultaty wzbudzające podejrzenia, że Petersen cierpi na chorobę umysłową. W ogóle był to dziwak, lecz jego praktyki podpatrzone ukradkiem nie mieściły się w głowach poczciwych mieszkańców miasteczka. Widziano wielokrotnie, jak Petersen starał się wyjść oknem pierwszego piętra i spadał do ogrodu tłukąc się boleśnie, widziano, jak usiłował ustawić pochyło drabinę, nie opierając jej o nic, i wejść na nią, co kończyło się znowu upadkiem... Słowem, zachowywał się jak najbardziej anormalnie. Władze policyjne i lekarskie poczuły się w prawie wkroczenia na teren willi. Pewnej nocy, gdy Petersen znowu włączył swoje wyjące maszyny, do bramy podjechały elektromobile i karetka szpitalna. Ponieważ drzwi nikt nie otwierał, wyważono je, opierającego się Petersena ubrano w kaftan bezpieczeństwa i odwieziono do kliniki psychiatrycznej.

— Całkiem się nie dziwię — mruknął Harris.

— Te dźwięki w istocie były przykre, zresztą za chwilę będziesz się mógł o tym przekonać. Usłyszysz rozmowę Petersena z tymi ludźmi, nagrałą przez dziennikarza obecnego przy wejściu policji do laboratorium.

Lorten dotknął przycisku na płycie biurka. W bocznym głośniku narastał szum, przeraźliwe dźwięki, przez które z trudem słychać było jakieś odległe rozmowy.

— To wyje laboratorium Petersena — uśmiechnął się Lorten.

Hałasy ucichły nieco, były jeszcze nadal nieprzyjemne i denerwujące, lecz wyraźnie rozbrzmiewał przez nie głos dziennikarza:

„...Po sforsowaniu bramy i przejściu ogrodu znajdujemy się nareszcie w willi szaleńca. Wszędzie napotyamy zamknięte drzwi, które trzeba wyważać, wnętrza pokoi i korytarzy wypełnione są tak przeraźliwym skowytom maszyn, że normalne porozumienie się stanowi poważną trudność. Obląkany Petersen pracuje”.

Z głośnika dobiegły znowu trzaski i huk uderzeń. Dziennikarz kontynuował relację:

„...Padła ostatnia przeszkoda, wbiegamy do obszernej sali, wypełnionej aż po sufit rozmaitymi urządzeniami. W dali, pod ścianą siedzi Petersen, patrzy jak urzeczony na strzałki liczników. Wydaje się zupełnie nie zauważać naszego wejścia. Jest jakby w hipnotycznym transie. Chuda, zarośnięta twarz szaleńca może budzić tylko zrozumiałą litość. Podchodzi do niego wachmistrz Ramondo.

— Panie Petersen! W imieniu prawa proszę natychmiast zahamować bieg maszyn! Panie Petersen! Czy pan mnie słyszy?! Proszę natychmiast...

— Kto tu jest? Skąd się wzięliście?!

— Ma pan zamknąć te wyjące maszyny. W przeciwnym razie my to zrobimy.

— Precz z łapami! Uduszę, jeśli coś ruszysz! Puszczajcie mnie! Nie chwytaj tego, draniu! Zostaw to, kretynie! Wytwarzam pole X, rozumiesz?! Tumany! Barbarzyńcy! Puść tę dźwignię, puść...”

Gwałtowny trzask, przerwał rozmowę, potem rozległ się wyraźny, pełen rozpaczy głos: „Zniszczyliście, zniszczyliście! Biedacy umysłowi. Trzeba zakotwiczyć, bo odpłynie, rozumiesz, durniu, idź zakotwicz, bo odpłynie...”

Lorten wyłączył głośnik.

— No i co się stało potem? — zapytał Harris.

— Cóż, po tym zajściu Petersen w istocie zdradzał objawy choroby umysłowej: zapadał w głębokie stany depresji, dostawał ataków szału... Umarł po kilku tygodniach pobytu w klinice. Jego laboratorium spłonęło. Wachmistrz naprawdę poruszył jakąś dźwignię która spowodowała krótkie spięcie, zapalenie się obwodów. Po willi i laboratorium została kupka popiołu. Policjanci poszli na brzeg zatoki sprawdzić, co tam należy zakotwiczyć, lecz nie znaleźli żadnego jachtu ani łodzi. I całe to zdarzenie zniknęłoby w historii — westchnął Lorten — gdyby w istocie pole X nie odpłynęło.

— Więc to nie były brednie szaleńca?

— Nie. Petersen pracował nad uzyskiwaniem pól elektromagnetycznych. Wytworzył czyste pole sił, zwarte, zamknięte w swoich granicach, nie ulegające rozproszeniu, a co gorsze, całkowicie niewidoczne. Zbudował je, jeśli tak to można nazwać, na wodach zatoki. Było całkiem okazałych rozmiarów, bo wielkości około pół kilometra kwadratowego. Pole X, po zniszczeniu urządzeń w laboratorium, odpłynęło od brzegów Chile i wydostało się na Pacyfik, trafiając w zimny prąd Humboldta. Znasz, Harris, legendy o latającym Holendrze lub statkach-widmach? Takim widmem jest właśnie pole X lub inaczej — wyspa Petersena. Krąży od dwóch wieków i czasem w przykry sposób daje znać o sobie. To gdzieś, zupełnie bez powodu, tonie statek transportowy, poduszkowiec, jacht, to znów jakieś urządzenia portowe, molo, falochrony zostają zmiażdżone. Ostatnio chyba ślizgowiec transoceaniczny „Meteor” natknął się na wyspę, a skutki spotkania, jak wiadomo, były tragiczne. Teraz rozumiesz, dlaczego wiadomość o polu X utrzymujemy w tajemnicy. Mogłaby wybuchnąć panika paraliżująca komunikację morską.

— I nie możecie jej znaleźć?! No, wykryć radarem, przecież... ależ tak, przecież ona po pewnym czasie powinna pokryć się jakimś brudem, pyłem, w którym zakiełkują rośliny, powinna stać się widzialna. Trzeba opylać barwikami podejrzane sektory oceanu! Pokryją wyspę Petersena i wówczas po kłopotcie.

Lorten pokiwał przecząco głową.

— Nic z tych rzeczy, Harris. Próbowaliśmy rozmaitych sposobów. Radar przechodzi przez to jak przez powietrze, ptaki na tym nie siadają, wszelkie zaś pyły lub ciecze spływają przy zetknięciu bądź też zostają wchłonięte. Tylko woda jest neutralna i wyspa Petersena pływa sobie po niej swobodnie. Gdyby zawędrowała w okolice Antarktydy, mogłaby zostać zamrożona w polu lodowym, ale i wówczas, jeżeli w porę byśmy jej nie odnaleźli, po kilku latach zjawiałaby się znowu na otwartym morzu. Może zresztą już przechodziła tego rodzaju przygody.

Harris zamyślił się, wyciągnął rękę i przez chwilę podrzucał w dłoni niewidzialny przedmiot.

— A to skąd macie?

— Dostało się do nas przypadkowo — odparł Lorten. — Na wybrzeżach Chile brakuje słodkiej wody. Nieliczne strumienie nie są w stanie zaspokoić potrzeb mieszkańców, a w dodatku często zmieniają swój bieg, koryto, zanikają w piaskach. Stawiano tam zatem destylarnie wody morskiej, która jednak po przerobieniu nie była ani specjalnie smaczna, ani tania, co w owych czasach było problemem. Otóż po wielu latach pewien przybysz nabył grunty

posiadłości Petersena. W tej okolicy woda zniknęła, ludność przeniosła się do większych miast i wybrzeże przedstawiało prawie pustynny obraz. Przybysz jednak zaryzykował osiedlenie się, no i rozpoczął pracę nie od postawienia kosztownej destylarni, lecz od poszukiwania naturalnych źródeł wody. Przy tej okazji znalazł właśnie ułamek pola X, jakąś próbkę doświadczalną.

Harris nadal bawił się bryłą.

— To, Lorten — powiedział kiwając głową — ciekawa historia, nawet bardzo ciekawa, nie rozumiem jednak, cóż ja mogę mieć z nią wspólnego? W czym mógłbym pomóc? Nie sądzicie chyba, że wiem, gdzie się znajduje wyspa Petersena, ani też, że jestem cudotwórcą lub kimś podobnym.

— Otóż to, otóż to, Harris — mruknął Lorten. — Sądzimy właśnie, że jesteś kimś podobnym. Pamiętasz swoje seanse telepatyczne, gdy chodziłeś jeszcze do szkoły? Podobno były ciekawe. Nam jednak chodzi o inne uzdolnienia, które być może są i z tym związane. Człowiek, który szukał wody na wybrzeżu Chile, zastosował dość oryginalną nawet jak na swoje czasy metodę. Nie używał automatów ani aparatów ultradźwiękowych, lecz chodził z rozwidloną gałązką w ręce i patrzył, czy ta gałązka się ugina. Był różdżkarzem, ale zamiast wody znalazł pole X. Właśnie przy pomocy różdżki. W naszym wieku umiejętności te już dawno zaniknęły i jeżeli dobrze wiemy, jesteś właśnie jedynym człowiekiem, który to jeszcze potrafi. Tym sposobem przecież znalazłeś wodę w stepie, pracując kiedyś przy budowie stacji przekąźnikowych.

Harris wyobraził sobie olbrzymie przestrzenie oceanów i mórz pokrywających kulę ziemską. Gdzieś po nich pływała drobina, pył, wyspa Petersena.

— Więc z różdżką mam przemierzać morza! — krzyknął ze złością. — Wśród wody szukać wody? To już zupełne kpiny!

Lorten uśmiechnął się wyrozumiale.

— No, może niezupełnie w ten sposób; chcemy wpięrw zbadać, na czym różdżkarstwo polega. Kiedyś przy pomocy zwykłych gałązek odnajdywano także metale, a to — wskazał na biurko — ma rozmaite cechy. Trzeba dokonać pomiarów twoich unerwień, mózgu, bioprawdów. Może dzięki nim uda się skonstruować jakiś aparat o podobnym działaniu. Kto wie? To jest bardzo duże i silne pole. Zgadzasz się na badania?

— Dobrze, zgadzam się. To jednak śmieszne, Lorten, w naszej dobie, w dobie kopalń na Marsie, lotów poza układ, automatów wykonujących najbardziej precyzyjne i skomplikowane czynności — uciekać się do pomocy różdżkarza! To naprawdę śmieszne...

— Chyba nie masz racji, Harris — powiedział Lorten wstając zza biurka. — Wiele dziwnych praktyk, śmiesznych czasem, nie mających już nawet najmniejszej użyteczności, będących tradycją, zwyczajem, zapisem legendą — to cień nauk, które umarły. Niektóre z nich były starsze niż Księżyc. Być może niedługo trzeba będzie przebudować hall tego gmachu, jeżeli będzie miał nadal symbolizować rozwój nauk i myśli ludzkiej. Teraz zdejmujemy ci hełm, abys odpoczął nieco, potem pójdziemy do pracowni medyków. Będziesz mieć kilka męczących dni.

Robot wypełznął z kąta i delikatnie zdjął plastikową banię. Harris przez chwilę mrugał powiekami.

— Słuchaj, Lorten, ja po zdjęciu hełmu miałem niczego nie pamiętać, o wszystkim zapomnieć?!

Tamten skinął potakująco głową i patrzył badawczo.

— A ja wszystko pamiętam, i wyspę Petersena, i wyjące laboratorium — całą naszą rozmowę!

Lorten długo milczał.

— Zaczynam wierzyć — mruknął w końcu — że jesteś naprawdę człowiekiem, który będzie mógł nam pomóc.

CI Z PATROLU

Od kilku dni dyżury w sterowni stały się uciążliwe, czas mijał powoli, jakby wskazówki zegarów napotykały na swojej drodze dodatkowy opór przezwyciężany z trudem przez mechanizmy ukryte pod jarzącymi się tarczami. Tak bywa zawsze, gdy moment skierowania dziobu rakiety ku Ziemi jest coraz bliższy. Przestronne pomieszczenia kosmolotu kurczą się, obecność ścian, dotychczas nie dostrzeganych, towarzyszy każdej myśli, usiane gwiazdami ekrany nie przyciągają wzroku. Z chwilą dotarcia do ostatniej sondy kosmicznej lub boi sygnałowej wszystko się zmienia. Stery, tablice i kajuty są znowu normalnym światem pilota, rozmowy przy posiłkach ożywiają się i nawet obliczanie kursu jest przyjemnością. Lecz wprawdzie trzeba dotrzeć do ujętej w programie sondy.

Bert myślał o Ziemi. Na bocznym ekranie trudno ją było odnaleźć — była świecącym błado okruczem, jednym z wielu niepozornych ciał niebieskich, zawieszonych nieruchomo w czerni, lecz wzrok pilota spoczywał właśnie na niej. Zamknięcie w ścianach rakiety sprzyja wyobraźni. Tam, dziesiątki milionów kilometrów poza ekranem, szumiały morza, wiatr wędrował swobodnie szczytami gór, istniała atmosfera rozpraszająca promienie słoneczne w kolor błękitu chroniący planetę od napierającej czerni Kosmosu. Tam były miasta. Arteriami ulic spiętrzonych w kondygnacje pędziły automobile, nad iglicowcami unosiły się helikoptery, przysiadły na wysuniętych tarasach domowych lotnisk, by po chwili rozpocząć znów swój owadzi taniec. Tłum ludzi wypełniał chodniki, spływał taśmami ruchomych schodów na dolne poziomy, wypełniał parki, stadiony, mijał się na peronach podziemnej kolei roześmiany i krzykliwy.

Ekran wypełniał gwiazdny pył. Gdzieś wśród przestrzeni znajdowała się sonda kosmiczna, ostatnia bezludna placówka ziemskiej cywilizacji, patrolująca ten odległy skrawek nieba. Co dziesięć minut jej sygnał dźwięczał w głośniku monotonna, natrętnie jednostajną informacją — „... bezpieczny sektor, bezpieczny sektor...” Z pięciominutowym opóźnieniem zgłaszała się druga sonda, a w chwilę potem brzęczała boja ze szlaku Pluton, Jowisz, Ziemia. Dźwięki te były składnikami ciszy panującej w sterowni i dopiero ich brak lub zmiana treści, rytmu byłyby zakłóceniem spokoju.

Mimo sygnałów Bert co kilka minut spoglądał na urządzenia radaru pokładowego. Nawyk ten ma każdy absolwent Ośrodka Lotów Kosmicznych, który poza ćwiczeniami i wykładami przesiedział w symulatorze nawigacyjnym przepisowe tysiąc godzin egzaminu końcowego. Ci, którzy układają program, nie skąpią zespołowi młodych pilotów wrażeń silnych, wspomnianych później długo, niekiedy przez wiele lat. Pozostaje również odruch kontrolny, konieczność spojrzenia na świetlistą falę z wędrującą kuliście mgłą radarowej emisji.

„... bezpieczny sektor, bezpieczny sektor...”

Świetlista plama na ekranie to sonda, do której dąży rakieta, sonda nie różniąc się niczym od tej w poprzednim sektorze, też wypełniona naświetlonymi kliszami i filmami w plastikowych antypromiennych kasetach. Kiedyś, gdy zaledwie rozpoczął pracę w patrolu, te samotne, zawieszane w przestrzeni olbrzymy robiły na nim przygnębiające wrażenie. Skrzydła ich anten i kratownice wysięgników, mielące pustkę międzygwiazdną, pogłębiały świadomość własnej nicości, kruchości ciała obleczonego skafandrem, zagubienia wśród miliardów gwiazd. Potem uczucia te ustąpiły miejsca pewności siebie, jaką ma każdy astronauta po odbyciu kilkunastu lotów międzyplanetarnych, zadomowiony już na szlakach i w sterowni. Bert uśmiechnął się do wspomnień, skontrolował pracę stosu atomowego i połączył się z laboratorium. W wizofonie ukazała się twarz Krotana.

— Przejrzałeś już materiały z kaset SK osiemdziesiąt pięć?

Tamten skinął głową.

— Nic ciekawego, Bert. Ci z Ziemi na pewno coś z tego wyłuskają i ułożą piękne mapy nieba, lecz materiał raczej przeciętny. Jest w nim coś na osłodę, co ucieszy tych w instytucie, kilka tygodni temu przeszedł w okolicy sondy bardzo rozrzedzony rój pyłowy, który zaledwie pozostawił ślady na kliszach. Prawdopodobnie niezauważony przemieścił się wzdłuż granic sektorów sto dwadzieścia osiem i sto dwadzieścia dziewięć, przeciął szlak Pluton-Jowisz i zniknął w Kosmosie. Napiszą zapewne na ten temat kilka prac naukowych.

Bert uśmiechnął się. Niechęć Krotana do pracowników Instytutu Badań Kosmicznych była powszechnie znana wśród astronautów. Złośliwi twierdzili, że nie zawsze tak było: podobno astronom ubiegał się o tytuł członka-korespondenta, lecz bez rezultatu.

— No, gdyby się okazało, że jest to rój awangardy — mruknął złośliwie Bert.

— O, zaraz rój awangardy — skrzywił się Krotan. — Na tysiące zarejestrowanych potoków meteorytowych tylko kilka miało poprzedzający obłok pyłowy. Klisze odesłałem już do magazynu. A co u ciebie nowego?

— Bezpieczny sektor — powiedział Bert, powstrzymując ziewanie. — Gdy tylko wrócę na Ziemię, wynajmę mały jacht, taki najprymitywniejszy, z żaglami, i przez cały urlop będę razem z May patrzeć, skąd wiatr wieje. Albo pojedę z nią do Tahimoru, wiesz, tego podmorskiego osiedla na Paumotach, i będę polować na ryby, włóczyć się pomiędzy rafami koralowymi, kryć się przed rekinami. Potrzebna mi jest przestrzeń, swoboda, zmiana wrażeń, to wszystko, co zalecają nam mędrcy od medycyny kosmicznej. I przysięgam, nie spojrzę na ekran żadnego wizofonu!

— Nerwy masz rozregulowane — stwierdził astronom. — Zresztą może to tylko nostalgia; gdy się wie, jaką dziewczyną jest May, trudno się temu dziwić. Zawsze twierdziłem, że w patrolu powinni latać ludzie bez podobnych obciążeń.

— Czy to przypadkowo nie ciebie widziałem kiedyś w Geopolis, przy placu Einsteina, z wiechciem kwiatów w ręce? Chyba nie będziesz mi wmawiać, że była to marsjańska flota bakteryjna, a nie róże?

— Daj spokój, Bert. Jeśli chcesz, zastąpię cię w sterowni. Dalsze obcowanie z lunetami i analizatorami zapisów chętnie odłożę do jutra.

— Przygotuj lepiej kasety — wymienimy, co trzeba, i z miejsca pokażemy Kosmosowi rufę. Szkoda każdej minuty, lepiej stracić je na bulwarach lub w parku. Co robi Orkel?

— Jest w porcie, ze sforą automatów kontroluje „Łazika”. Jemu też się spieszy, bądź spokojny.

Bert skinął głową, wyłączył wizofon i spojrzał na ekran radaru. Świeący punkt ostatniej sondy lśnił pośrodku skali, odległy jak przedtem. Upłynie jeszcze wiele godzin, zanim będzie można włączyć hamowanie, zanim kosmolot wytraci szybkość i z wyrzutni portu pomknie ku niej mała rakieta, wioząc baterie, kasety, urządzenia i części wymienne. Nawet przy szybkiej kontroli minie co najmniej dzień na sprawdzaniu wszystkich zespołów sondy i ich konserwacji. Dopiero potem będzie można skierować kosmolot ku Ziemi i przez tydzień patrzeć, jak jej iskra zmienia się w świecąca jasnym światłem tarczę.

Chwilę zadumy przerwał sygnał informatora. Przycisnął włącznik odbioru i pochylił się nad pulpitem. Przez ekran przesunął się znak telewizyjnej depechy z ośrodka łączności na Ganimedzie, po czym ukazała się twarz dyspozytora. Bert nie znał go, ludzie w rejonie Jowisza zmieniali się co pół roku, lecz sądząc po trzech naszywkach, była to jakaś osobistość. Pojawienie się takich patek na ekranie nie wróżyło niczego dobrego.

„Do patrolu «Prometeusz» w trzeciej strefie. Granicą sektorów 128, 129 przemieszcza się gęsty potok meteorytowy, który ogarnął raketę transportową RT 135 dążącą ku Ziemi. Na pokładzie dwóch ludzi. Przebicie pancerza, awaria urządzeń nawigacyjnych i przypuszczalnie stosu atomowego. Rakieta dryfuje z biegiem potoku i jeśli nie otrzyma pomocy, oddali się w

przestrzeń pozaukładową. Wzywa się kosmolot «Prometeusz» do zmiany kursu i rozeznania sytuacji. W zależności od warunków dowódca podejmie środki określone instrukcją o udzieleniu ratunku. Podaję współrzędne ostatniego zamiaru dla potoku i położenia w nim rakiety towarowej...”

Bertowi wydawało się, że cichy szmer analizatora informacji wypełnia sterownię jazgotem, spływa ku niemu ze ścian, sufitu, podłogi. Na ekranie nawigacyjnym rozblęsnęła trójwymiarowa mapa, w której na tle dalekich gwiazd pełzać zaczęły świetliste linie wektorów, zapalały się liczby i sygnały. Pochylony wpatrywał się w obraz odległego rejonu nieba drążonego strugą meteorytów, jednym z tych rojów niewiadomej długości, zjawiających się nagle włóczęgów Kosmosu, resztek gwiazd dawno umarłych, szukających od milionów lat celu podróży. Na mapie była to tylko smuga jarzącego się w jej wnętrzu gazu: w miejscu przeciętym świetlistymi liniami błyszczał czerwony punkt, oznaczający przypuszczalną pozycję tamtej rakiety. Zielony, zakrzywiony w końcowej części szlak, wybiegający z lewego narożnika mapy, był najkrótszą drogą do rejonu katastrofy, wyznaczoną dla „Prometeusza” przez mózg elektronowy.

Bert potwierdził odbiór i przycisnął włącznik fonii pokładowej.

— Dowódca do załogi, dowódca do załogi. Przygotować się natychmiast do zmiany przyspieszenia. Opuszczamy sektor kursem ratunkowym, stopniowanym do maksymalnego ciągu. Macie cztery minuty czasu na dokonanie niezbędnych czynności. Po zmianie kursu narada w sterowni. Włączam licznik. Koniec.

Odłożył mikrofon i pochylił się nad pulpitem.

Jego palce zaczęły przebiegać rzędy klawiszy nastawczych, wywołując pulsację świateł, wychylenia wskaźników, gwałtowny płas linii na tarczach oscylografów. Sterownię wypełnił szmer wzbudzonych prądów. Gdy skończył programowanie, położył się w fotelu. Pneumatyczne poduszki otoczyły go elastycznym pokrowcem ochronnym, pod sufitem głos automatu monotonnie liczył upływające sekundy. W kosmolocie narastał powoli jęklivy dźwięk syreny ostrzegawczej. Czuł, że jego ciało zapada się coraz głębiej, staje się cięższe, jakby wypełniało się ołowiem uniemożliwiającym wykonanie najdrobniejszego ruchu. Na ekranie iskra Ziemi zniknęła w chaosie gwiazd. Skądś, z wielkiej odległości dobiegał jeszcze głos automatu: „bezpieczny sektor, bezpieczny sektor...”. Wskaźnik pracy stosu szybko wędrował po skali G. „Prometeusz” zmieniał kurs i przyspieszenie.

* * *

W milczeniu patrzyli na ekrany. Na prawym błyszczało mrowie przemieszczających się iskier, naniesionych w siatkę skali przez echo radaru, lewy, znacznie mniejszy, był pusty. Tylko paląca się nad nim lampka kontrolna i delikatne jarzenie powierzchni wskazywały, że urządzenie jest czynne, gotowe do przyjęcia informacji z rakiety towarowej, błąkającej się wśród pędzących przez przestrzeń brył spieczonego metalu. Orten pochylił się znowu nad stacją nadawczą.

— RT sto trzydzieści pięć, RT sto trzydzieści pięć, czy nas słyszycie? Tu „Prometeusz”. Gdzie jesteście, gdzie jesteście? Podajcie swoje współrzędne. Przechodzę na odbiór.

Ekran nadal pokrywała świetlista mgła, w głośniku brzmiały jedynie delikatne trzaski fal wysyłanych przez dalekie gwiazdy. Tylko na prawej tafli przemieszczały się iskry meteorytów, które szeroką na kilkadziesiąt tysięcy kilometrów rzeką przemierzały pustkę Kosmosu. Gdzieś wśród nich znajdowała się rakieta i dwóch ludzi zamkniętych w pancernym pudle kabiny, odciętych od całego świata hermetycznymi drzwiami śluz bezpieczeństwa, wsłuchanych w bezmierną ciszę przestrzeni, mogącą w każdej chwili zmienić się w huk pękających pod nowym ciosem płyt i konstrukcji.

Bert przetarł piekące powieki i spojrział ukradkiem w stronę Krotana i Ortena. Dotych-

czas nie myślał o nich jak o załodze; te loty, które mieli poza sobą, układały się harmonijnie i właściwie nie stworzyły nigdy sytuacji wymagającej pełnego dowodzenia, podporządkowania zespołu swojej woli, a równocześnie wzięcia na siebie całej odpowiedzialności za wydane polecenie. Oczywiście, stale podejmował różne decyzje, lecz były one zwyczajną ceremonią lub informacją, związaną ze skomplikowanym rytuałem kierowania rakieta, jej startem i lotem i nie miały charakteru rozkazu. Tu na skraju potoku meteorytowego dotychczasowe stosunki musiały ulec zmianie.

W jasnym świetle sterowni twarze astronautów wydawały się szare jak księżycowy popiół, zmęczenie pogłębiło zmarszczki nadając rysom ostrości, ascetycznej surowości rzeźb z okresu gotyku. Bert odnalazł w nich prawie nieuchwytny cień niepokoju, to, co sam odczuwał, maskował, odpychał od siebie patrząc na ekrany i obliczając kurs. Nasłuchiwali. Podczas każdej czynności część ich uwagi była skupiona po zewnętrznej stronie rakiety, za słuzami wyjściowymi, przy dezintegratorze materii i jego antenie śledzącej przestrzeń wokół statku. Lot w tej strefie groził w każdej chwili katastrofą, przebicciem poszycia i zniszczeniem kosmolotu. Już dwa razy miotacz dezintegratora wysyłał promienisty ładunek ku zbliżającym się bryłom, zmieniając je w chmurę światła. Bert wiedział, że i on podświadomie stale o tym myśli, że uczucie niebezpieczeństwa wzrasta w nim nieprzerwanie z każdą sekundą, minutą, godziną, powodując drżenie rąk i skurcz krtani. Pod tym względem ci zamknięci we wraku byli zapewne w lepszej sytuacji. Był przekonany, że w maksymalnym stopniu dostosowali szybkość swojego statku do szybkości potoku i wraz z nim spadają ku dalekim gwiazdom północnej czaszy nieba.

— RT sto trzydzieści pięć, RT sto trzydzieści pięć, gdzie jesteście? Podajcie współrzędne — wołał do mikrofonu Orten. — Tu „Prometeusz”, tu...

— Włącz automatyczne wywoływanie — przerwał mu Bert. — Nie musimy zagłuszać własnego niepokoju, to zbędne. Każdy z nas wie, na co się narażamy patrolując tę strefę.

— Każda praca jest lepsza od patrzenia w pusty ekran — mruknął Orten. — Mam spokojnie czekać, aż sterownia zwali mi się na głowę?

— Od czterdziestu ośmiu godzin wyszukujemy sobie zajęcia — ciągnął Bert — i ludzimy się, że dadzą jakiś efekt. W tej chwili nie prowadzi to już do niczego, zawieszam zatem patrolowanie pasa wzdłuż potoku.

Krotan powoli odwrócił się od pulpitu i słuchał zmarszczywszy brwi.

— Ich radiostacja nie odpowie, musi być poważnie uszkodzona, w przeciwnym wypadku zdołaliby ją do tej pory uruchomić. Skontrolowaliśmy cały odcinek nie przejmując żadnego sygnału. Wniosek z tego prosty, albo odstępujemy od akcji ratowniczej, ponieważ zrobiliśmy już wszystko, co do nas należało, albo też...

Zamilkł i spojrzał na duży ekran pełen wędrujących powoli iskier. Zetknięcie się z którąkolwiek oznaczało przebicie powłoki, gwałtowną ucieczkę powietrza w próżnię, być może przerwanie sieci kierującej pracą stosu atomowego, a tym samym utracenie kontroli nad kursem kosmolotu. Gdyby awaria była poważna, a tego można było oczekiwać, wrak „Prometeusza” na zawsze krążyłby po przestrzeniach Galaktyki, zwiększając rejestr statków bezpowrotnie zaginionych.

— ... albo też zagłębimy się w potok i będziemy ich nadal szukać — dokończył Bert. — Moglibyśmy wówczas zastosować wykrywacz fal podczerwonych i lokalizator źródeł elektryczności.

Spojrzeli na siebie badawczo, po czym ich wzrok uciekł ku ekranom i lśniącym chromowymi okuciami sekcjom włączników. Ta chwila musiała nadejść, każdy z nich o tym wiedział, lecz podjęcie takiej decyzji jest zawsze zaskoczeniem, zwłaszcza gdy szansa przeżycia kurczy się, maleje, podlegając twardej prawdzie rejestrowanej przez urządzenia pokładowe.

— Zwracam waszą uwagę na stan paliwa i dysz — Orten mówił powoli, z trudem dobierając wyrazy, które nie chciały się podporządkować jego myślom. — Jesteśmy po długim

kursie składającym się z wielu przyspieszeń i hamowań. Patrolowanie wzdłuż potoku wyczerpało nasze niewielkie zasoby. Stopień zużycia dysz oraz agregatów chłodzących poda wam w każdej chwili mózg elektronowy, ich stan dochodzi do granic przewidzianych normami.

— Mamy jeszcze rezerwę paliwa — wtrącił Bert — a normy zużycia urządzeń przewidują pięcioprocentową rezerwę bezpieczeństwa i dodatkową tolerancję.

— Wiem o tym równie dobrze jak ty, każdy z nas kończył studia, a urządzenia to w dodatku moja specjalizacja. Już ci z pierwszego roku wiedzą, że manewrowanie w potoku meteorytowym powoduje co najmniej czterokrotnie szybsze zużycie paliwa i zespołów napędowych. Jednak przedstawienie wam stanu technicznego rakiety to mój obowiązek.

— Natomiast moim obowiązkiem jest rozważenie wraz z załogą całokształtu sytuacji — powiedział ze złością Bert. — Zresztą tu nie tylko chodzi o obowiązki wynikające z prawa o udzielaniu pomocy. Wszystkie zalecenia instrukcji wypełniliśmy i oficjalnie nikt nam niczego nie mógłby zarzucić. Gdybym jednak miał podjąć decyzję o odstąpieniu od poszukiwań, musiałbym mieć pewność, tę dla siebie, na swój własny wewnętrzny użytek, a także dla innych, że wykorzystaliśmy wszelkie dostępne nam środki, aby tamtych uratować. Takiej pewności nie mam. Pamiętacie katastrofę „Pamiru” i sprawę załogi „Komety”? Też im nikt niczego nie mógł zarzucić, a jednak gdy którykolwiek z nich pojawił się na kosmodromie, w klubie, w ośrodku dyspozycyjnym, przerywano rozmowy, patrzono w okna lub szklanki. Otaczała ich cisza i niechęć. Ja też wówczas milczałem i wy odwracaliście wzrok, bo jednak wrócili z połową rezerwy paliwa, a stopień radioaktywności „Pamiru” okazał się mniejszy, niż przypuszczali.

— Potok jest gęsty — stwierdził Krotan — z pomiarów wynika, że średnia odległość między meteorytami wynosi niecały tysiąc kilometrów. W dodatku ich szybkość jest różna, a co gorsza, zaobserwowałem także wiry wewnątrzpotokowe. Jakaś parszywa supernowa wypluła w przestrzeń to rojowisko. Wejście w jego środek oznacza niebezpieczeństwo, które trudno określić. Oczywiście, daje to możliwość zwiększenia zasięgu poszukiwań...

— Jakie jest zatem twoje zdanie?

— Wejść w potok. Szanse odnalezienia rakiety są minimalne, lecz nie można ich lekceważyć. Poza tym potok jest ciekawy z naukowego punktu widzenia.

— A jak ty się na to zapatrujesz. Orten?

— Postąpisz, jak będziesz chciał. Stan statku znasz. Mogę cię tylko zapewnić, że urządzenia, maszyny i układ napędowy będą sprawne, sprawne do granic swoich maksymalnych możliwości.

Bert podszedł do mózgu elektronowego. Powoli wciskał włączniki i nastawiał gałki skali. Po chwili ze szczeliny analizatora wysunęła się karta wyników. Uważnie przyjrzał się kolumnie cyfr.

— Wejdziemy w potok — powiedział. — Z obliczeń wynika, że możemy w nim manewrować tylko przez czterdzieści godzin. Po tym okresie czas naszego powrotu na Ziemię zacznie się wydłużać, bo nie zdołamy uzyskać odpowiednich przyspieszeń. Mamy niekorzystną sytuację na trasie, najbliższe bazy przyplanetarne przesuną się i nie będą w stanie udzielić nam pomocy. Dopiero rakiety kosmodromu Marsa nas odnajdą. Orten, wyślij natychmiast do nich wiadomość.

— Zaraz nadam depeszę, Bert. Muszę ci jednak powiedzieć, że nie podoba mi się to wszystko. Jeśli wyjdę z tego cało, zgłoszę się do obsługi kosmodromu lub jakiejś spokojnej linii.

— Ja też chciałbym być w odległości dziesięciu milionów kilometrów stąd — mruknął Bert patrząc pośpiesznie na przesuwające się po ekranie iskry.

* * *

O godzinie dziewiątej czasu pokładowego „Prometeusz” rozpoczął manewr wejścia w strefę meteorów. Kosmolot dostosował siłę ciągu do szybkości przemieszczających się metalowo-skalnych odłamów i pod ostrym kątem wdarł się w przepływający nurt. Wirujące anteny radarów przesyłały na ekrany obraz otaczającej statek przestrzeni: impulsy przełączone do sekcji obronnej mózgu elektronowego kierowały urządzeniem nastawczym miotacza, którego lejowaty wylot, obwiedziony ażurową konstrukcją kratownicy, zwrócił się w stronę rufy.

Bert zarządził pełne pogotowie: przy słuzach wewnętrznych jarzyły się czerwone światła, dodatkowe czujniki śledziły stan pancerza, notując każde drgnięcie płyt, napięcia wewnętrzne twardego jak diament metalicznego stopu, gotowe do natychmiastowego zawarcia grodzi przy najmniejszym śladzie przebicia ścian.

Pozornie nic nie uległo zmianie. W sterowni nadal błyszcząły na ekranach odległe świetlne punkty, lecz wiedzieli, że niebezpieczeństwo zbliżyło się do statku i czyha tuż za jego burta. W astrolabie Krotan obsługujący teleskopy przekazywał powiększony obraz najbliższych meteorów na tafle odbiorników — głązy o poszarpanej powierzchni i ostrych, wystrzępionych krawędziach ukazywały się w ramach monitorów, prawie nieruchome, tworząc jakby olbrzymich rozmiarów sieć otaczającą „Prometeusza”. Idąc kursem ku środkowi potoku Bert starał się maksymalnie chronić statek od możliwości zetknięcia z tymi groźnymi szczątkami, wystawiając ku nim jak najmniejszą powierzchnię lewej burty. Czujniki sygnalizowały jednak obecność dużej ilości mikrometeorów: ich deszcz nieustannie siekł płyty pancerza, wygryzając w jego gładkiej powierzchni niewidoczne dla oka otwory. Długie przebywanie w tych warunkach mogło doprowadzić do stanu określanego w gwarze astronawigatorów mianem „ospy kosmicznej”, mogącej powodować przy gwałtownej zmianie przyspieszenia pęknięcia, wnikające głęboko w strukturę metalu. W każdej rakiemie, pomimo że przeglądy w stocznicach przeprowadzają najczulsze automaty, może powstać rezonans. Bert, patrząc na licznik uderzeń mikrometeorów atakujących pancerz, myślał o tych kosmolotach, które często dopiero po wielu latach odnajdywano popękane, jakby rozsadzila je drzemiąca we wręgach i dźwigarach siła.

— Oczyszczyć miotaczem okolice — usłyszał za sobą głos Ortena.

Bert nie odwrócił głowy, inżynier zawsze musiał w najnieodpowiedniejszym momencie zjawić się w sterowni i wtrącać uwagi o wątpliwej przydatności. To byłoby najprostsze: ładunek anihilujący rozbiłby te uciążliwe drobiny na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów i licznik przez krótki czas przestałby notować drobne uderzenia.

— Nie mogę — powiedział starając się ukryć zniecierpliwienie. — Muszę oszczędzać energię miotacza. Jeśli ją stracę, może zabraknąć ładunków, gdy zagrozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo. „Prometeusz” nie jest krążownikiem przestrzeni pierwszej klasy, aby mógł sobie pozwolić na taką rozrzutność.

— Jeśli tego nie zrobisz, to po powrocie pójdziesz na złom lub w najlepszym wypadku do kapitalnego remontu — mruknął Orten. — To całkiem nowy kosmolot, a zrobisz z niego wrak nawigacji lokalnej.

— Nie ja, u diabła, wymyśliłem ten potok! — Bert z trudem opanował chęć krzyku i wyproszenia Ortena poza drzwi sterowni. — Ty po prostu nie wierzysz, że ich odnajdziemy!

— A ty wierzysz?!

— Tak, nawet gdyby wszystko wskazywało na niepowodzenie, muszę być przekonany, że to, co robimy, ma sens. Oni gdzieś tutaj są, a jeżeli są, to należy ich szukać. Co będzie z „Prometeuszem” po powrocie, o to mnie głowa nie boli. Będę robić wszystko, aby wrócił, o to chodzi, żeby wrócić, i w dodatku razem z tamtymi. Jeśli zniszczę te śmieci, z miejsca mogę wyłączyć poszukiwania na paśmie podczerwieni. Wszystkie większe meteory zaczną promieniować...

— Pracować będzie nadal lokalizator źródeł elektryczności.

Drobne, ledwie wyczuwalne drżenie przebiegło przez konstrukcję „Prometeusza”, po nim nastąpiło drugie, trzecie... Gwałtowne wstrząsy zaczęły targać rakieta, rozjęczała się syrena alarmu. Bert rzucił się ku pulpitemu, na którym zapłonął sygnał przejęcia kontroli przez automatycznego pilota, lecz potworna siła cisnęła nim o ścianę kabiny, zanim zdołał schwycić poręcz fotela. Osuwając się po elastycznych wykładzinach, widział, jak Orten toczy się ku otwartej szafie atlasów gwiazdowych, bezskutecznie usiłując wczepić palce w plastik podłogi, jak głowa inżyniera uderza o drzwi, ciało wiotczeje i skurczone przywiera do rzędu grubych tomów.

Bert opadł na kolana, odruchowo wciskając plecy w półokrągły kąt sterowni. Czuł, jak rakieta miotają uderzenia przyspieszeń i gwałtownych hamowań, nagłych zmian kierunku, przez mgłę zaburzeń wzrokowych dostrzegał oszalały taniec sygnałów kontrolnych na tablicy automatycznego sterowania. Gdy światła w kabine przygasły, wówczas drżenia wypełniały powierzchnie ścian, błyskawice przebiegały przez ekrany, a sprzęty nawigatorów rzucały upiorne cienie. Na taflach monitorów pęczniały ogniste kule-słońca pokryte płomiennymi warkoczami, aby natychmiast rozsypać się w kaskady światła, płachty pulsujących jarzeniemi, poszarpanych fantastycznie, fioletowych chmur. To miotacz „Prometeusza” niszczył już w strefie bezpośrednio bliskiego rażenia walącą się na niego lawinę gwiazdnych odłamków. Nagle grzmot wypełnił wnętrze rakiety, skowyt dygoczących ścian zmieszał się z jękiem syreny, głuchy łoskot zapadających grodzi przetoczył się korytarzami. Powoli zgasło światło.

Mrok trwał niecałą sekundę. Spod sufitu spłynął brząsk jakby budzącego się dnia, mózg elektronowy włączył awaryjną sieć zasilania. Jeszcze przez chwilę rakieta targała gwałtowne wstrząsy, aż nagle podłoga przestała się chwiać, umilkły dźwięki obijających się w szafach sprzętów i zapanowała cisza.

Bert wstał. Pod czaszką czuł brzęczenie, jakby głowę wypełnił rój owadów, deszcz czarnych płatków przesłonił sterownię, w krtani piekło boleśnie.

Powoli, wspierając się o ścianę, podszedł do Ortena. Inżynier leżał na boku, skulony tak, że jego twarz, którą osłonił w ostatniej chwili ręką, nie była widoczna. Bert przykleknął, z trudem rozpiął skafander, rozerwał kurtkę i przyłożył ucho do nagiej piersi. Serce pracowało. Delikatnie zaczął obmacywać głowę. Pod palcami wyczuł wgniecenie, niedługie, ukośnie biegnące pod nabrzmiewającą już skórą ku tyłowi czaszki. Orten zajęczał i ciałem jego wstrząsnął dreszcz.

Bert chwiejnym krokiem podszedł do pulpitu i opadł na fotel. Przez długą chwilę nie mógł skupić myśli. Wszystko, co dotychczas czynił, było jakby niezależne od jego woli, działało na zasadzie zaprogramowanego automatu, realizującego nakaz algorytmu. Teraz dwiistość, którą odczuwał wyraźnie, zanikała, mijało oszołomienie, zaczynał na powrót rozumieć sygnały nielicznych czynnych zegarów, świetlnych cyfr pojawiających się na matowym szkłe tablic rozdzielczych. „Prometeusz” leciał kursem zgodnym z kierunkiem meteorytowego potoku: automat nawigacyjny wyprostował krzywiznę dotychczasowej trajektorii, dostosowując ciąg rakiety do średniej szybkości pędzących przez przestrzeń pyłów i brył. Nad sekcją kontrolującą trzeci człon kosmolotu, między światłami szóstej i siódmej grodzi pulsował czerwony sygnał awarii, oznaczający miejsce przebicia pancerza. W tej części statku znajdowały się pomieszczenia mieszkalne, więc jeśli Krotan przebywał w laboratorium i dokonywał obserwacji, uniknął bezpośredniego niebezpieczeństwa. Bert włączył wizofon i połączył się z astrolabem. Zobaczył Krotana. Astronom oparty o teleskop ścierał chustką krew z twarzy: prowizoryczny opatrunek nad lewym łukiem brwiowym wyglądał jak wiśniowa narośl. Na dźwięk wizofonu podniósł głowę i spojrzał pytająco.

— Otwieram drzwi twojej śluzy — powiedział Bert — przyjdź natychmiast. Orten ma kontuzję czaszki, trzeba go jak najszybciej przenieść do separatki.

— Przytomny?

— Nie. Zaczyna jakby majaczyć.

Astronom zmarszczył brwi.

— To chyba źle z nim. A gdzie trafił meteoryt?

— W okolicę kajut. Dobrze, że nikt z nas nie spał. W każdym razie automaty są odcięte grodziami i w tej chwili nie mogą nam pomóc.

Krotan skinął głową i niepewnym krokiem ruszył ku drzwiom. Bert przerzucił dźwignię służącej astrolab od poziomu sterowni i szybko zaprogramował pracę dla automatów naprawczych. Przycisnął włącznik magazynu technicznego. W okienku tablicy pojawiły się świetlne cyfry, roboty wyruszyły na tamponowanie miejsca przebicia. Patrzył, jak ich numery przesuwały się po skali. Pierwszy szedł automat, który miał otworzyć śluzę i przyciąć rozplątane blachy pancerza, za nim kroczył robot instalacyjny, przystosowany do napraw przerwanych kabli sieci elektrycznej, klimatyzacyjnej i obiegów chłodzenia. Pochód zamykał ciężki automat, zwany w gwarze astronautów żartobliwie „murarzem” — był to właściwie zbiornik kroczący, którego wnętrze wypełniała mieszanina pancernego cementu do tamponowania przestrzelin lub przecieków stosu atomowego.

Do sterowni wszedł Krotan, Bert przerwał obserwację i razem podeszli do inżyniera. Ciało Ortena jakby przybrało na wadze, zanim złożyli je w automedzie, musieli przejść przez korytarz i oddech ich stał się świszczący, a czoło pokryły krople potu. Gdy już zasunęła się przezroczysta osłona automatu i głowę inżyniera otoczyły elastyczne macki instrumentów, Bert włączył diagnostat. Patrzyli na przebiegające po ekranach różnokolorowe świetliste linie i stale posuwającą się w górę skali strzałkę stopnia ciężkości wypadku. Wskaźnik zatrzymał się na piątce — stan Ortena był ciężki i wymagał skomplikowanego zabiegu operacyjnego. Uchwyt wybieraka wyciągnął program, temperatura pod kloszem zaczęła się obniżać, zasycał tlen. Automed przejął pracę serca, przewody wypełniła czerwona ciecz, tłoczona leniwym zwieraniem i rozkurczami systemu pompowego. Rozpoczęła się operacja.

Przeszli do sterowni. Bert zaczął kontrolować napięcia w sieci rozrządu, lecz myśli jego nadał uparcie wracały do separatki i unieruchomionego pod plastikowym kloszem Ortena. Wiedział, że sam jest wobec wypadku bezsilny, automed dokona zabiegu, poda odpowiednią dawkę lekarstw, wykona wszystkie czynności bez udziału człowieka. Zawarta w kryształach pamięci wiedza kierować będzie bezbłędnie każdą elektrodą, narzędziem, skalpelem świetlnym obniży lub podwyższy ciśnienie, a w najgorszym przypadku, gdyby zaszła konieczność protezowania części mózgu, pogrąży inżyniera w stan letargu i przejmie funkcje biologiczne aż do chwili powrotu na Ziemię. Pomimo to Bert czuł całą własną niemoc i niechęć biernego świadka odsuniętego na margines zdarzeń, w których wbrew swej woli nie mógł uczestniczyć. Starał się skoncentrować uwagę na pracy robotów: ich numery przemieszczały się szybko po schemacie statku, dążąc ku przestrzelinie. Potem rozbłysnęły górne światła w sterowni wygaszając blask lamp awaryjnych. Krótkie buczenie transformatorów odezwało się zza tablic i pulpitu, ekrany nabrały normalnej jasności, wszystkie sekcje kontrolne podjęły pracę, meldując kolejno gotowość urządzeń. Numer robota instalacyjnego przemieścił się od głównego węzła linii energetycznej ku ścianie przebitego członu rakiety, pod którą skupiły się pozostałe automaty. Po chwili tampon został założony i rozwarły się grodzie w rejonie przebicia.

Bert poczuł, że opuszczają go resztki energii, zanika chęć do uczynienia czegokolwiek, wykonanie najdrobniejszego ruchu wydawało się wstętne i niemożliwe. Krotan również leżał w fotelu, tępo wpatrzony w iluminatory. Bert przełknął pastylkę wzmacniającą i zamknął oczy. Na próżno jednak starał się wywołać pod powiekami obraz Ziemi, mieszkania na czterdziestym piętrze iglicowca z panoramą miasta za taflami okien, schroniska ukrytego wysoko wśród himalajskich szczytów, w którym spędził ostatni urlop — oczy wyobraźni były puste, wypełniało ją brzęczenie i czerń, w którą czasem wpadał rój drobnych tańczących iskier lub różnokolorowe smugi, pulsujące jak zorza polarna.

— Źle się czujesz, Bert? Ocknij się!

Krotan potrząsał nim gwałtownie. Otworzył niechętnie oczy. Brzęczenie nie ustawało.

— Czuję się podle, w głowie mi nieco wiruje po tej nagłej huśtawce — mruknął przecierając dłonią piekące powieki. — Co się stało?

Na czarnej tafli wykrywacza promieni podczerwonych płonęła jasnym światłem niewielka, nieruchoma kreska.

— To oni — powiedział Krotan — to nie może być nic innego, tylko ta rozbita towarówka.

Bert skinął głową i przeniósł wzrok na czujniki paliwa. Strzałka głównego wskaźnika minęła już wygrawerowaną jedynekę zbliżając się ku krańcowi czerwonego pola rezerwy, do zera, oznaczającego całkowite wyczerpanie pojemników, bezwład „Prometeusza”, dalszy lot w bezkres Kosmosu. Krotan zamilkł, podszedł szybko do zegarów i przyglądał się im zaciskając pięści.

— Tak to wygląda — mruknął Bert. — Akcja miotacza i automatyczny pilot uratowały nam życie, lecz trzy czwarte rezerwy diabli wzięli. Nie mogę stracić ani grama paliwa, bo nigdy już nie zobaczymy Ziemi.

— Chcesz teraz zawrócić?!

— Nie gorączkuj się, Krotan. Tego nie powiedziałem. Wyślę tam łazika z robotem uniwersalnym. Nie mogę w tej sytuacji rozpędzać „Prometeusza”, bo dysze zjedzą resztki paliwa.

— Polecę tam w łaziku — zaproponował astronom.

— Nie, nie mogę osłabiać własnej załogi — powiedział Bert i natychmiast uświadomił sobie, że to „załoga” musiało zabrzmieć co najmniej śmiesznie w ich sytuacji. Twarz astronoma pozostała jednak poważna.

— Nie chcesz mnie wysłać z uwagi na niebezpieczeństwo. Wolisz, żeby poleciał automat. Ty zawsze bardzo ufaleś automatom, ale są sytuacje, w których decyzję może podjąć tylko człowiek. Tam może być paliwo, może trzeba będzie dotrzeć do zbiorników, chciałbym też zabrać ich materiały, dokumentację spotkania z potokiem... Polecę jako ochotnik, abyś nie miał wyrzutów sumienia.

— Nie polecisz. Komunikat mówił o uszkodzeniu urządzeń napędowych. Jeśli mają wyciek, obojętnie czy zewnętrzny, czy wewnętrzny, to wejść za ekran osłony może tylko robot. Transport takiego paliwa nie może odbywać się wraz z ludźmi, a łazik po raz drugi do rakiety nie polecą.

— To dasz mu trochę paliwa...

— Nie dam ani grama — powiedział twardo Bert.

— Nawet jeśli tam są pełne zbiorniki?

— Nawet wówczas. Nie chcę mieć skażenia radioaktywnego na pokładzie i nikt mi nie da gwarancji, że łazik wróci. Może go trafić meteor. Wówczas straciłbym i tę lichą porcję paliwa, której nie zużyje.

— Jesteś pod wpływem szoku nerwowego, paraliżuje cię strach przestrzeni, nie chciałbyś niczego już zaryzykować, chociaż zaryzykowałeś właściwie wszystko, nas, siebie, „Prometeusza”! Tylko zdobycie paliwa z towarówki może przyspieszyć nasz powrót.

Gestem ręki przerwał wywody astronoma. Czuł, że zanoszą się na dyskusję, jałowy spór, udowadnianie racji, a na zbędne rozmowy nie miał czasu ani sił. Każda, ryzykowna nawet decyzja miała swój sens aż do chwili, gdy na ekranie zobaczył poszukiwaną raketę. Teraz będzie skąpy, nie straci ani odrobiny szansy na powrót ku Ziemi i wydostanie się z potoku, który znenawidził już w momencie odebrania poleceń ze stacji na Ganimedzie. Poświęci wszystko, nawet rok lub dwa lata czasu, o które wydłuży się lot ku Lunie, jeśli nie zaryzykuje uzupełnienia zapasów paliwa ze zbiorników towarowej rakiety, byleby tylko dowieźć Ortena do kosmodromu i odebrać rozbitków kosmicznej pustce. Punkt widzenia Krotana musiał być inny — możliwość uzyskania cennych materiałów badawczych otwierała przed uczonym

perspektywy wznowienia starań o członkostwo Instytutu Badań Kosmicznych, a sam potok stanowił dla niego ciekawy obiekt obserwacji, niebezpieczny, lecz rzadki przypadek ruchu materii w międzygwiazdnej pustce. Bert nie miał zamiaru narażać „Prometeusza” dla celów konferencji i rozmów w kularach instytutu.

— Nie polecisz. Taka jest moja decyzja. Potrzebny jesteś tutaj.

Kątem oka dostrzegł nagły ruch rąk Krotana, białą wstęgę lecącą w jego kierunku i instynktownie skulił się. Pas od laboratoryjnego płaszcza astronoma opadł na oparcie fotela, owijając puste pneumatyczne poduszki. Bert odepchnął Krotana i wstał. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Nie tak łatwo można mnie skrepować — syknął przez zęby Bert. — Teraz pójdziesz do astrolabu i przygotujesz dokładną mapę potoku i rozmieszczenia w nim brył w kierunku do Ziemi. Wyznaczysz trzy warianty dróg dla „Prometeusza”. Kontakt ze mną będziesz utrzymywał tylko przez wizofon. Możesz odejść.

Gdy zamknęły się drzwi, Bert włączył wizję wewnętrzną. Astronom przystanął przy rozwidleniu korytarza i namyślał się, patrząc w głąb ganku wiodącego do portu. Potem niechętnie wszedł na schody astrolabu. Bert czekał, aż tamten minie połowę sali obserwatorium, i wówczas przycisnął zamek grodzi. Stalowa płyta zawarła się za Krotanem, odcinając astrolab od reszty statku.

Bert wywołał magazyn i kazał zameldować się uniwersalnemu robotowi w porcie, przy łaziku. Potem opuścił sterownię. Na chwilę wszedł do separatki. Nieruchomy Orten leżał pod kloszem automechu, w przewodach krążyły różnobarwne ciecze, pulsowały elastyczne worki pomp. Na tabliczce informacyjnej odczytał umieszczony obok numeru katalogowego napis „Następny zabieg za dziesięć dni”. Bert wziął z szafy dwie ampułki z gazem usypiającym, wsunął je do kieszeni i cicho zamknął drzwi. Szybko minął schody astrolabu i zagłębił się w korytarz wiodący do portu. Zza ścian dochodziło dudnienie automatów pracujących nadal przy tamponowaniu pancerza, dźwięczały echem biegnące pod stropem rury, niosąc w głąb statku terkot pneumatycznych młotów i jazgot skrawania.

W porcie, przy leżącym na torze wyrzutni łaziku, czekał już robot. Bert skontrolował kulisty korpus i jego wielosegmentowe odnóża, zajrzał do wnętrza kryjącego człony chwytne wraz z magazynkiem narzędzi przystosowanych do cięcia i spawania najtwardszych stalowych płyt, a także przeprowadzania prac wymagających delikatności i wysokiego stopnia precyzji. Potem sprawdził układ zdalnego kierowania oraz czystość wizjerów telewizyjnych. Robot był sprawny, należało go tylko zaprogramować. Uchylił tarczę czołową automatu, wykręcił bezpiecznik nie pozwalający maszynie dotknąć człowieka i przestawił dźwignienki układu cyfrowego. Mógł teraz poprzez radiostację łazika wydawać uniwerowi polecenia nawet na odległość kilku tysięcy kilometrów, kierować bezpośrednio jego pracą, a także przez kamery telewizyjne widzieć wszystko w zasięgu działań robota. Ampułki z gazem usypiającym umieścił w dmuchawie łącząc je przewodami z członem chwytym i zatrzęsął tarczę.

— Wejść do kabiny — rozkazał.

— Mam wejść do kabiny — powtórzył robot i kolebiąc się na boki wszedł do łazika. Bezszelestnie opadła za nim płyta wjazdu, rakieta pchnięta tłokiem zniknęła w leju wyrzutni.

* * *

— Nie rozumiecie?! — krzyczał Bert do mikrofonu. — To zwykły uniwer, automat, który po was wysłałem. Mówi do was człowiek.

Tamci nie słuchali, nadal siedzieli w fotelach, nie reagując na głos i ruchy robota. W słabym blasku lamp awaryjnych widział ich chude, zarosnięte twarze i pot spływający po policzkach cienkimi strużkami. Na podłodze i pulpitych leżały w nieładzie puszkę po konserwach, z kranu ciekły krople wody do podstawionego naczynia. Wyraźnie słyszał w głośniku

ich plusk.

— Mówi Bert Paal z pokładu „Prometeusza”, rakiety patrolu mającego bazę na Lunie. Ewakuujemy was na nasz statek, znajdujący się w odległości trzech tysięcy kilometrów...

— Kłamiesz — powiedział nagle jeden z tamtych — lecimy już drugi rok, więc ty, „Prometeusz”, twój głos i automat są tylko halucynacją.

Pochylił twarz ku pulpitowi i postukał palcem w tarczę zegara.

— Znowu zaczyna się atak tej przeklętej choroby — mruknął. — Wizje, majaki... czuję, że wszystko się we mnie trzęsie. Słuchaj, Manas, zrobimy partię szachów? To zawsze mi pomagało.

— Możemy zagrać, w końcu nic innego nam nie pozostaje. Wściekam się, gdy pomyślę, że za godzinami zostały moje karty.

— Zaraz ustawię pionki. Hm, ty też widzisz i słyszysz tego robota?

— Wcale tam nie patrzę, tobie również radzę skupić myśli na czymś innym. Ja na przykład liczę krople, spadło ich dwieście jedenaście i już niedługo pociągnę z kubka spory łyk.

— A jeśli jednak tam coś stoi?

— Dziecinniejesz. Tam nie może stać ani człowiek, ani robot. Gdybyś powiedział, że widzisz żyrafę lub wieloryba, byłoby to bardziej prawdopodobne. Najlepiej nie zwracaj na to COŚ uwagi, zaraz wszystko minie, rozwieje się.

Bert spojrział na ekran drugiego monitora. Widział w nim stół kierowniczy towarówki, czujniki i zegary obstawione blaszankami. Dostrzegł tarczę chronometru — lata i dni w środkowym liczniku różniły się znacznie od czasu mierzonego na jego pulpicie. Tamci byli przeswiadczeni, że ich lot trwa ponad dwa lata, dostosowali rytm snu i czuwania do cyfr przesuwanych zbyt szybko przez zepsute urządzenie i nie mogli już uwierzyć w jakakolwiek pomoc z Ziemi. Dalsze przekonywanie ich było bezcelowe — pochylili się nad szachownicą ruszając rzeźbionymi w kości figurami. Wydał polecenie uniwerowi. Z korpusu automatu trysnęła wąska strużka skroplonego gazu, który zmienił się przy zetknięciu z powietrzem kabiny w nikły obłoczek pary. Ruchy pilotów stały się ociężałe, zaczęli mrugać powiekami, jakby zdziwieni, potem figurki szachowe wypadły im z rąk i potoczyły się po podłodze. Znieruchomieli w fotelach.

— Przenieś ich do kabiny i wracaj do bazy — powiedział Bert.

Uniwer wysunął człony chwytne, złożył na nich bezwładne ciała i poczłapał ku drzwiom. Bert wyłączył stację. Czuł gwałtowną chęć zamknięcia powiek, położenia się w miękkich poduszkach fotela, zaśnięcia na nieokreśloną ilość godzin. Wyjął z kieszeni pastylkę wzmacniającą i rozgryzł ją w zębach. Po kilku minutach mógł już zasiąść przy głównej maszynie cyfrowej i rozpocząć programowanie powrotu. Pośpiesznie przygotowywał testy, wrzucał je do płytkiej wnęki analizatora, odczytywał wyniki, sprawdzał, zestawiał tablice. Wyliczony ciąg rakiety nadal był niewystarczający. Przerwał na chwilę pracę, żeby przyjąć powracającego łazika. Przeprowadzony pomiar radioaktywności potwierdził jego przypuszczenia — czujniki rozjarzyły się rubinowo, a w liczniku Geigera narastał szybki werbel trzasków. Powierzchnia rakiety była skażona paliwem wyciekającym z rozbitych silników towarówki, przycumował ją zatem przy burcie „Prometeusza” i wpuścił robota przez śluzę. Uniwer zaniósł pogrążonych w śnie rozbitków do kajuty obok automechu.

Bert ponownie zaczął obliczać kurs. Tym razem przyjął inne założenie — punktem wyjściowym rachunku był zapas żywności i trwałość regeneratorów powietrza, które wystarczały na prawie trzy lata. Z tego wynikał minimalny ciąg, uzyskanie go było konieczne, aby w tym czasie dotrzeć w rejon marsjańskiego kosmodromu. Od tej szybkości mózg elektronowy naliczał paliwo, rozliczał wstecz cały planowany lot „Prometeusza”, by otrzymać jako efekt wielkość koniecznej mocy początkowej.

Niecierpliwie chodził po sterowni, czekając, aż zgasną sygnały na tablicach maszyny

cyfrowej. Wreszcie z analizatora wysunęła się zadrukowana karta. Spojrzał na wynik. Różnica sięgała dwunastu procent posiadanego paliwa. Jeszcze raz przejrzał rachunek. Najwięcej strat powodował manewr skierowania kosmolotu ku słońcu, połączony z hamowaniem, a następną pozycję stanowiło samo rozpędzenie rakiety. Aby zrównoważyć bilans mocy i uzyskać ewentualnie jeszcze dodatkowe przyspieszenie, należało przed wytraceniem prędkości zmniejszyć masę „Prometeusza”, a po zmianie kierunku podwyższyć maksymalnie temperaturę w dyszach, co powinno wzbogacić ciąg o efekt termiczno-paliwowy.

Wyłączył miotacz, wywołał wszystkie automaty i kazał im opróżniać magazyny. Spokojnie patrzył, jak w służbie towarowej nikną wagoniki pełne skrzyń z naświetlonymi kliszami, filmami, notatkami setek urządzeń pracujących w bezludnych stacjach. Z odkrytych luków roboty wydobywały tony części zamiennych do maszyn i sond kosmicznych, wyposażenie awaryjne pędni, zwoje kabli, puste pojemniki paliwowe ekranowane ołowiem, tysiące rozmaitych butli i opakowań stanowiących wyposażenie statku patrolowego dalekiego zasięgu. Tłok wyrzutni wypychał je na zewnątrz — katapultowały w przestrzeń i powoli oddalały się od burt kosmolotu. Potem automaty rozpoczęły demontaż wewnętrznych urządzeń rakiety. Plazmowe palniki cięły stalowe ściany działowe, śluzę, pancerne drzwi grodzi, pozostawiając tylko nagie wręgi i wsporniki konstrukcji podstawowej. Główny korytarz „Prometeusza” drżał pod ciężarem ciągniętych do portu, dymiących jeszcze od żaru metalowych płyt, echo huczało w instalacjach, niosło zwielokrotnione odbiciami dźwięki przez szyby wentylacyjne, wypełniając kosmolot ogłuszającą kakofonią. W końcu nadszedł moment dla Berta najbardziej przykry — musiał pozbyć się większości automatów. Po namyśle pozostawił tylko uniwer i robota instalacyjnego, reszcie kazał wejść do kabiny łazika. Zamknął za nimi służę i drżącą ręką uruchomił wyłącznik. Rakieta odłączyła się od „Prometeusza”. Z wjazdu pomieszczeń mieszkalnych spojrzął raz jeszcze za siebie. To, co przedtem stanowiło całe techniczne zaplecze statku, pełne magazynów, dźwigów, podajników, było teraz tylko olbrzymią pustą salą odartą z poszycia, kończącą się matową ścianą ekranu pochłaniającego, za którym znajdował się jedynie stos atomowy i urządzenia napędowe. Powoli zamknął drzwi grodzi i zablokował rygle. W sterowni dźwięczał natarczywie sygnał wizofonu. Połączył się z astrolabem. Na ekranie ukazała się przerażona twarz Krotana.

— Masz już tę mapę?

— Co ty robisz, Bert?! Chyba oszalałeś!

— Zmniejszyłem masę statku.

— A materiały badawcze?

— Wymiotłem wszystko od drugiej grodzi aż po ekran stosu. Co z mapą? Sądzę, że jest dokładna.

— Ale tam była prawie cała dokumentacja potoku...

— Bardzo mi przykro, ale musiałem zmniejszyć masę. Musiałem, rozumiesz! Teraz prześlij mapę na ekran i sprawdzaj okolicę, rozpoczynam manewr. Będziemy jeszcze przez chwilę bez osłony miotacza, chyba ci nie zależy na tym, abyśmy wpakowali się w meteory.

— Pogadam jeszcze z tobą.

— Tak, będziemy mieć dużo czasu na rozmowy.

Przyjrzał się mapie. Rozmieszczenie meteorów pozwalało na rozpoczęcie hamowania. Przerzucił dźwignię dysz. Głuche dudnienie wypełniło wnętrze sterowni, z dziobu rakiety były smugi ognia spływając wzdłuż burt wraz z potokami płynnego helu. Gwiazdy na ekranach rozpoczęły powolną wędrówkę. Potem nastąpiła chwila ciszy. Bert włączył stos atomowy i dysze główne. Zajączka syrena. Drżenie przebiegło przez raketę, wskaźnik szybkościomierza piął się po skali coraz prędzej, zapalały się i gasły sygnały. Czuł, jak ciało staje się coraz cięższe i przyspieszenie wciska go głęboko w poduszki. Uśmiechnął się. Wiedział, że za kilka minut wymknie się z potoku, i gdy cienie pojawią się przed oczami, przesunie dźwignię na cały ciąg w podwyższonej temperaturze, że wraz z resztą paliwa spalą się dysze, że nadejdą

dni długie i nieznośne. Jednak z każdą godziną będą bliżej rejonów, w których sondy kosmiczne powtarzają beznamytnie, aż do znużenia, sygnał — „...bezpieczny sektor, bezpieczny sektor, bezpieczny sektor...”

POWRÓT GIGANTÓW

„...obudzenie jest jak zmartwychwstanie, jest jak zwykły następny dzień. Umysł zatrzymał ostatnie wrażenia dnia poprzedniego, lecz w świadomości tkwi czas, który minął, czas liczący niekiedy setki lat światła.

Przed zaśnięciem następuje pożegnanie, tak jakbyśmy się już nigdy nie mieli zobaczyć. Nieznane są drogi meteorów i potoków pyłów kosmicznych. Statek jest łupiną, każdej chwili może stać się miazgą. Mogą zawieść automaty i chociaż są prawie doskonałe, jednak istniejący ułamek prawdopodobieństwa awarii w ciągu wielu lat staje się groźny.

W statku o szybkości przyświatlonej spotykamy się prawie z nieśmiertelnością. Życie przedłuża się siedem razy, a sen-letarg, w którym pogrążają nas automaty i z którego nas budzą, hamuje starzenie się organizmu tak, że proces ten w praktyce ograniczony jest do czasu między jednym snem a drugim. W ten sposób żyć można bardzo długo, a nauczyliśmy się życie oszczędzać. Można zwiedzić wiele globów odległych o setki lat światła. W mózgach elektronowych nagromadziliśmy wiedzę, której nikt dotychczas nie posiadał. Wielki, piękny i przerażający jest Kosmos. Budzimy się, gdy statek jest blisko celu, i zasypiamy natychmiast po starcie. Niekiedy przebudzenia nasze są bardzo krótkie.

Pomimo to jesteśmy już starzy i zaczynamy tęsknić. Gdy startowałem, byłem młodzieńcem, teraz... Z rakiety wysiadziemy w takiej postaci, w jakiej was żegnaliśmy — preparat Beleta to świetny środek, szkoda, że działa tylko przy takich prędkościach. Automaty mówią nam jednak, że kres już blisko. One się nie mylą.

Przesyłamy wam tę wiadomość drogą najkrótszą. Zatrzymamy się jeszcze przy obiekcie HC 98543 i HD 99221. W myślach widzimy, jak dobiegnie do masztu i do kuli, jak zmieni się w układ elektronów i spłynie na wasze ekrany. Jeżeli nas nie pamiętacie, ileż to już czasu upłynęło, Wieczna Pamięć przypomni wam i nasze imiona, i nazwę statku”.

* * *

Born otworzył oczy i zamknął je natychmiast. Światło, chociaż przyćmione, zawsze w tej pierwszej chwili było bolesne. Czuł chłód i bezwład nóg, rejestrował przenikające ciało, powtarzające się rytmiczne dreszcze. Automat działał sprawnie jak zwykle, jak dziesiątki, setki już razy. Nadchodził moment, w którym trzeba było zrobić pierwszy ruch, przezwyciężyć niechęć mięśni i otworzyć przezroczysty klosz. Zwlekał, to przecież ostatni raz, nigdy nie powtórzy tego przyciśnięcia dźwigni, które ręka wykonuje z przyzwyczajenia.

Automat włączał coraz silniejsze impulsy. Born usiadł. Przezroczysta osłona rozwarła się i zniknęła w obudowie. Wszystko było jak zwykle: okrągła sala przykryta mleczną kopułą, ubranie leżące w odległości ręki i krąg łóżek otaczających promieniście kolumnę automatu. Spojrzał na Utne. Jeszcze zmartwiała leżała pod osłoną, lecz ciało jej traciło już sztywność i na policzkach ukazała się zapowiedź rumieńca. Zawsze budziła się później.

To przerażające, że nic się nie zmieniła — pomyślał. — Tyle lat i żadnej zmiany. A przecież...

Sam przyzwyczał się już do swojej twarzy jak do czegoś pożyczonego, co nie jest jego własnością. Dziwne uczucie obcości i zdziwienia samym sobą wywoływało lęk. O twarzy

myślał jak o masce, przyklejonej, kryjącej właściwe rysy — pomarszczone oblicze starca. Na statku nie mówili jednak o tym od wielu lat. Była to jakby cicha umowa. Tylko automaty przy przeglądach zdrowia wskazywały niezmiennie wzrastający stopień zużycia komórek mózgu.

— Idziesz do masażu? — dobiegł go cichy głos.

Spojrzał w bok. Perim był już ubrany, odświętna tunika z błękitnym szlakiem opinała tors młodzieńca.

— Ty też się nie zmieniłeś — powiedział Born.

— Co mówisz?

— Wybacz, czasem się zapominam — pochylił głowę i zaczął sznurować sandały. — Czy nie czujesz — powiedział z wahaniem — wzruszenia? Jesteśmy przecież coraz bliżej, wytraciliśmy szybkość światła i hamujemy. Po tylu latach wprost trudno w to uwierzyć.

Perim odwrócił głowę i milczał.

— Przecież wracamy! Jak nas powitają...

— Rozklejasz się, zawsze jesteś skory do wzruszeń. Po trzecim sygnale będzie odprawa u Pierwszego. Trzeba przejrzeć wiadomości z ostatnich lat, przeprowadzić kontrolę stosów, automatów zabezpieczających...

— Wiem, wiem. Stale to samo. Gdyby zdarzyło się coś naprawdę poważnego, to robot dawno by nas obudził, lub też nie moglibyśmy nigdy już rozmawiać. Słuchaj, Perim, czy oni noszą jeszcze takie ubiory? Będziemy wyglądać paskudnie staroświecko.

— Obojętne. Mogą chodzić otuleni w obłoki, w zapachy. Nie interesuje mnie to zupełnie. Na pewno jednak zobaczymy inny świat, który wyda się nam baśniowy.

— Czuję jednak żal — powiedział Born. — Będziemy tęsknić do tej kosmicznej klatki, która w pierwszych latach doprowadzała nas do szaleństwa.

— Mówię ci, rozklejasz się. No, idziemy. Mam potem dyżur w obserwatorium.

Born spojrzał na Utne. Była już różowa i pod jej skórą przebiegały dreszcze. Wstał i szybko podążył za Permem.

* * *

— ... dezintegrator dziobowy sprawny, w panczerzu wyrzutni rakiet zwiadowczych kilka przebić połatanych przez automaty, lecz naruszony został zespół urządzeń prowadzących i na przeciąg dłuższego czasu nasz port nie będzie czynny. Trzeci stos ma awarię, wysłałem za osłonę robota — mówił astronawigator Utril pochylając się nad pulpitem. — To stało się dwadzieścia sześć lat temu, przechodziliśmy przez potok meteorytowy, który nadciągnął od strony ciemnej materii obiektu GC 47865. Znajdujemy się ściśle na kursie, bez odchyień.

Utril zakończył raport i zamknął teczkę z wykresami. Zza stołu wstał Pierwszy. Milczał. Patrzył w twarze załogi, na dwadzieścia postaci odświętnie ubranych, wzrokiem pełnym zadumy, spojrzeniem nie widzącym, które dostrzegało coś poza nimi, mglistego, odległego...

— Kończymy lot — powiedział głosem bezbarwnym, jakby tego nie mówił on, Pierwszy, lecz automat — już nigdy nie polecimy do gwiazd. Osiądziemy nad brzegiem ciepłych mórz, rzek, będziemy mogli dotykać liści drzew. Czerń Kosmosu zostaje poza nami, zamieniamy ją na błękit dnia i granat nocy.

Zamilkł. Znowu myśl uciekła gdzieś poza obręb nastawni, laboratoriów, stosów. Wzdrygnął się.

— Weszliśmy już w nasz układ planetarny, spójrzmy, jak wygląda stąd Ona.

Światła przygaśły. Ekran zajmujący ściany nastawni rozjarzył się i szerniał. Wśród chmur odległych gwiazd świeciła jasno Błękitna Planeta — różna od wszystkich, jakie zdołali poznać. Na niej ujrzeli kolor nieba, jej morza omywały skały i zmywały ślady na piasku, jej atmosfera zsyłała pachnący kwiatami wiatr, deszcze i burze. Patrzyli, pochłaniali ją wzrokiem wygłodniałym przez lata wędrówek wśród innych układów, planet może i piękniejszych, lecz

obcych.

— Nie chcę! Ja nie chcę wracać! — krzyknęła Utne zasłaniając oczy. — Zgasić ekran! Nie chcę na nią patrzeć!

Born chwycił ją za rękę.

— Co tobie?

— Precz! Ona jest ohydna, potworna. To jest planeta śmierci. O, teraz już mogę na nią patrzeć — oderwała dłonie od twarzy. — Ale wy zamknijcie oczy! Szybko! Co, nie możecie? Już was wciągnęła, gapicie się jak urzeczeni?! Zgasić ekran! Ona hipnotyzuje, przyciąga, kusi, stwarza z was szaleńców mając mirażem lasów, mórz, słodkich owoców. A da wam tylko szybką śmierć! Starość i śmierć. Jak można porzucić nasz statek, na którym żyć będziemy siedem razy dłużej niż tam? Jak można porzucić sen letargu, który przedłuża życia w nieskończoność? Dotknijcie ciała, mięśni, spójrzcie na mnie! Czy starość zmieniła piersi i biodra? A ile właściwie mamy lat? Cóż dla nas znaczy wiek, upływ czasu? Od startu minęło trzydzieści tysięcy lat na tym przeklętym globie. Nie istnieje tam nikt, kto by nas znał, pamiętał. Nie ma już przyjaciół i wrogów, po nich i ich potomkach pozostały tylko atomy...

— Istota naszego gatunku zawsze jest zdolna do przyjaźni i miłości, nie będziemy się czuć obco — powiedział Pierwszy. — Śmierć znajdzie nas w każdym sektorze nieba.

— Idioto! — krzyknęła. — Jak możesz wybierać życie tak krótkie i zgrzybiałość, gdy los ci podsuwa jeszcze prawie dwie setki lat istnienia i młodość do końca?! Każde dziesięć lat tam to przecież siedemdziesiąt lat życia w szybkości przyświatłnej! Poprzyjcie mnie, Born, Perim, Astrid, wy najmędrsi, biologowie, lekarze... Zmieńcie kurs. Izolujcie tego wariata, samobójcę!

Patrzyła błagalnie dookoła, gryząc wargi.

Pierwszy znowu uciekł spojrzeniem poza statek.

— Chcę wreszcie zaczerpnąć w płuca prawdziwego powietrza, rozumiesz?! Chcę klęknąć nad strumieniem i pić czystą wodę płynącą z gór.

— Chcemy pić wodę, zobaczyć niebo — rozległy się głosy dookoła.

Do Utne podszedł lekarz i delikatnie położył rękę na jej ramieniu.

— Jesteś chora. To nic, tylko nerwy. Dam ci coś na uspokojenie.

Zakryła twarz i powoli poszła w stronę wyjścia. Przed drzwiami odwróciła się.

— Nienawidzę was. Jesteście na poziomie nisko zorganizowanej plazmy.

Wyszli. Nikt za nimi nie spojrział. Na ekranie nastawni błyszczała coraz silniejszym blaskiem Błękitna Planeta.

* * *

— Coś z nią zrobił? — Pierwszy nie podniósł głowy znad pulpitu. Z uwagą obserwował ruchy zegarów i krzywe przebiegające ekrany.

— Uśpiłem, leży pod kloszem. Obudzi się po wylądowaniu.

— Inni nie zdradzają podobnych objawów?

— Nie.

— Dobrze. Idź do swojej pracy.

Pierwszy patrzył nadal na przesuwające się po ekranach linie. Jeszcze raz sprawdził wyniki. Powoli wstał z fotela i przeszedł do sterowni. Astronawigator Utril chodził nerwowo wzdłuż stołów. Na dużym ekranie widniała mapa dróg, wiodących przez przestrzeń przyplanetarną ku jej atmosferze i powierzchni.

— Nadal nie odpowiadają na sygnał wywoławczy — powiedział ze złością. — Tak, jakby zupełnie ogłuchli.

— Może już mają inny system odbioru — powiedział Pierwszy.

Utril zachnął się.

— Fale są falami, nikt tego nie zmieni. Zresztą główny kosmodrom ma urządzenia współpracujące z odpowiednią sekcją Wiecznej Pamięci. Nie tylko my wracamy, wrócą i ci z północnej czaszy nieba.

— Jeżeli wrócą — mruknął Pierwszy.

— Myślisz o tym, co mówiła Utne?

— Nie. Mogli nie mieć szczęścia. Czemu ci Utne przyszła na myśl?

Astronawigator zatrzymał się przy pulpicie.

— Tutaj żyjemy jednak dłużej — mruknął niechętnie. — Tylko czy to jest właściwe życie? Często zastanawiałem się, jak silnie związani jesteśmy z tą planetą. Ostatecznie wszędzie w Kosmosie pamiętaliśmy o niej. A mogliśmy się przecież zatrzymać na drugim satelicie Axilei i na Minoleksie. Mam wątpliwości, czy w istocie jacyś tam nasi przodkowie przybyli na Błękitną Planetę z gwiazd, czy nie jesteśmy jednak ewolucyjnym jej produktem.

— Tego nikt nie wie, ale po to pojechaliśmy w kierunku Plejad — powiedział Pierwszy. — A że się nam nie udało znaleźć żadnego śladu? Cóż, zwykły los poszukiwaczy. Może inni coś przywiozą? Zresztą, czy to takie ważne? Zebraliśmy olbrzymi materiał naukowy...

— ... który nikomu się nie przyda — powiedział Utril. — Będzie stertą martwych wiadomości, zapisanych w Wiecznej Pamięci. Jeżeli żyć chcemy tylko na Błękitnej, jeżeli nie skolonizowaliśmy trwale nawet innych planet naszego układu, bo nikt na nich nie chciał się osiedlić na stałe, chęć poznania protuberancji któregoś tam obiektu jest jałowa i martwa.

— Zmieniłeś się — mruknął Pierwszy. — Gdy startowaliśmy, miałeś zupełnie inne poglądy. Dobrze, że wracamy.

Chwilę milczał, zadumany.

— Pomimo wszystko jest w nas ciekawość Kosmosu i o ile tęsknimy do Błękitnej Planety będąc od niej w odległości setek lat światła, odwrotne uczucie będzie nas trapić, gdy już na nią wrócimy. Nas przecież zawsze pociągały gwiazdy, inaczej nie wyruszylibyśmy do nich.

— Czy mam jeszcze czekać? — zapytał Utril.

Pierwszy spojrział na ekran informacyjny. Jarząca się powierzchnia była pusta. Błękitna Planeta uparcie milczała, głucha na sygnały kodu.

— Zbliź się do niej i wejdz na orbitę kołową wzdłuż równikowego pasa radiacji — powiedział siadając przed ekranem. — Przyjrzymy się jej z bliska.

Utril stanął przy sterach. Błękitna Planeta zaczęła szybko olbrzymieć, wypełniać ekran. Jej powierzchnię otulała powłoka chmur, w nielicznych prześwitach ukazywały się skrawki kontynentów i mórz. Wlecieli w strefę nocy — tarcza planety była ciemna, z boku lśnił na niebie jej jedyny satelita, glob martwy, pełen kraterów. Nad małym ekranem zapłonął sygnał. Z obserwatorium mówił Perim.

— Widzę dwa skupiska lichego światła w górnym pasie strefy chłodu — meldował. — Kształty niektórych lądów nie odpowiadają mapom, zresztą sami zobaczycie. Włączam wam wizję z obserwatora powierzchniowego.

Patrzyli w milczeniu. Przesuwający się na ekranie, wydobyty spod chmur obraz różnił się znacznie od kształtów zachowanych w pamięci. Zniknęła część kontynentów, ich miejsce zajęły morza usiane archipelagami wysp. Z niepokojem czekali, aż ukaże się ląd i miasto, z którego kiedyś wystartował ich statek w Kosmos. Obraz przesunął się powoli, planeta odkrywała nowe szczegóły powierzchni. Pierwszy zacisnął palce na poręczy fotela i pochylił się ku tafli ekranu. Zegary odmierzały czas.

Twarz Pierwszego zbladła — tam, gdzie powinien lśnić wielki kontynent, było tylko morze, ocean, nic poza tym...

— Widzę duże miasto w okolicy, gdzie Nubis założył Czwartą Prowincję — meldował z obserwatorium Perim. — Na północnym brzegu morza wznosi się drugie, równe mu co do wielkości. Wydają się dość prymitywne.

— Nadal nie odpowiadają — powiedział sucho Utril. — To mnie niepokoi.

Pierwszy powoli uniósł głowę i spojrzął na astro- nawigatora.

— Po tym, co widzieliśmy, jestem również pełen złych przeczuć. Jak z drogami na lądowiska awaryjne?

Utril obserwował tarcze zegarów. Zapalały się tam i gasły sygnały, przeskakiwały cyfry, na oscylografach drżały pęki krzywych, o zmiennych, nieregularnych ciągach. Przez ekran przetaczały się kontynenty i morza planety. Z obserwatorium Perim nadal meldował swoje spostrzeżenia. Wielka mapa dróg nie rozbłysła ani razu świetlistą linią wiodącą ku jakiemukolwiek lądowisku.

— Nie ma dróg — powiedział cicho Utril. — Wszystko rozregulowane, kompletny chaos. Pola magnetyczne i grawitacyjne błakają się, strefy jonizacyjne są zwichrowane, warstwy radiacji wykazują wahania. Tam gdzie był kosmodrom, istnieje nadal wielka depresja pola magnetycznego, lecz pod nią jest tylko ocean.

— Więc nie otworzą nam korytarza bezgrawitacyjnego?

— Nie otworzą. Nie mogą otworzyć. Nigdzie.

Spojrzeni na siebie. To oznaczało znacznie więcej aniżeli przebijanie się przez chaos pól grawitacyjnych i magnetycznych przy prowadzeniu olbrzymiego, fotonowego statku jedynie na dyszach paliwowych, nieszkodliwych dla życia i atmosfery planety. Brak dróg oznaczał znacznie więcej.

Pierwszy wstał.

— Jak długo potrwa naprawa urządzeń wyrzutni rakiet?

— Około stu pięćdziesięciu dni.

— Dobrze, jutro ci powiem, kiedy będziemy lądować.

* * *

O świcie zaczęło huczeć. Myśliwy zbudził się, podrapał swędzące kłaki na piersi i gwałtownie kucnął. W ziemiance paliła się łojówka. W jej chybotliwym świetle dostrzegł przerażoną twarz żony i oczy dzieci. Gdzieś z oddali zbliżało się potężniejące tapanie i łoskot, od którego drżały drzewne bale. Zwisające spod powały pęki kunich skór tańczyły na rzemie- niach.

Wypełznął z ziemianki. Świt gwałtownie przybierał jasności i tajga szumiała jak przed burzą. Przypadł do ziemi. Cienie drzew rozdziwiły się, powietrze wyło — od wschodu nadlatywało kolisko światła. Wparł twarz w igliwie i rękoma zatkał uszy szepcząc zaklęcia. Wycie cichło, oddalało się... Podniósł głowę. Za horyzontem grzmiało — wstawał olbrzymi, fioletowy pobrzask.

— Sam szatan, sam szatan — mamrotał myśliwy.

STAN ZAGROŻENIA

— No, to dasz sobie radę — Arat wyciągnął do Tedda rękę na pożegnanie. — Za kilka miesięcy przyślemy zmianę, musisz tu jakoś wytrzymać.

Tedd odwzajemnił uścisk i uśmiechnął się kwaśno.

— Rozumiem — powiedział Arat — ale nie możemy dać tobie nikogo do towarzystwa. Wiesz, jak u nas wygląda: wszyscy mają roboty po łokcie. To mały obiekt, wprowadzie przestarzały, ale kontrola techniczna nie wykazała specjalnych usterek, więc nie będziesz mieć większych kłopotów. Zanim przestawimy go na pełną automatykę, jeden człowiek wystarczy.

No, trzymaj się, stary!

Skinął ręką i powoli ruszył w stronę śmigłowca. Tedd patrzył, jak kołysząc się wchodzi po schodkach, zamyka drzwi, siada obok pilota... Arat wyrzwał jeszcze z kabiny.

— A popatrz dokładnie, może znajdziesz jakiś ślad Maksa! — krzyknął.

Głos utonął w szumie motoru. Śmigłowiec drgnął, powoli oderwał się od betonowej płyty i okrążywszy stacyjne lotnisko pomknął na zachód.

Tedd patrzył za nim, dopóki maszyna nie zniknęła na tle oceanu. Gdy ucichł huk motoru, znowu usłyszał monotony łoskot fal łamiących się na betonowych ochronach. Z płaskiego dachu widać było tylko bezkresne morze, zlewające się z dalekim horyzontem. Z niechęcią pomyślał, że musi przeżyć kilka miesięcy w tej odległej stacji, w budynku będącym zwieńczeniem porowatego jak plaster, olbrzymiego obelisku sięgającego dwieście metrów w głąb Pacyfiku. Nad powierzchnię wystawała tylko stacja mieszcząca hale produkcyjne, magazyn, obszerną część mieszkalną, tworząc sztuczną wysepkę oznaczoną jedynie na dokładniejszych mapach czerwonym punktem. Od lustra wody wyłącznie ryby zamieszkiwały liczne korytarze i jaskinie budowli. Setki gatunków rozlokowały się na różnych poziomach, skąd według harmonogramu wsysały je przewody transporterów, dostarczając do hal przetwórczych. Budowla była stara, nie remontowana od kilkudziesięciu lat i posiadała szereg kondygnacji od dawna unieruchomionych. Nie martwiono się tym zbytnio, oczekując z roku na rok decyzji w sprawie zamknięcia stacji lub jej generalnego unowocześnienia. To drugie nie było zbyt prawdopodobne od chwili przestawienia gospodarki morskiej na uprawę planktonu i roślin powierzchniowych, wydajniejszą i mniej pracochłonną.

— Że też mnie to spotkało! — powiedział Tedd ze złością. — Chyba dość nasiedziałem się w tych parszywych, samotnych placówkach! Mogliby wreszcie dać mi spokój.

Często mówił do siebie. Był to dobry sposób utrzymania psychicznej równowagi w miejscach odciętych od ludzi i świata, praktykowany zarówno wśród ichtiologów, jak i załóg małych stacji kosmicznych. Można co prawda rozmawiać z automatami, składać telewizyty znajomym lub dyskutować na dowolne tematy z Centrum Informacyjno-Rozrywkowym, lecz są to formy zastępcze, nie zawsze skuteczne. Automaty bywają dobrymi partnerami, pod warunkiem, że ich pamięć jest dostatecznie pojemna, zawiera właściwe testy i połączenia. Mózg elektronowy średniej wielkości wykazuje genialność w pewnym zakresie problemów, przy równoczesnej tępcie występującej niespodziewanie w momencie poruszania spraw, zdawałoby się, prostych.

Rozmowy z Centrum straciły na popularności, odkąd stało się wiadome, że partner lub partnerka z przestrzennego ekranu to tylko złudzenie, jeden z miliardów obrazów utrwalonych w studio. Natomiast telewizyty już po krótkim czasie przyprawiały o rozdrażnienie i stany depresyjne, pogłębiając poczucie odizolowania od problemów wielkich ludzkich skupisk. Pozostawało głośne wyrażanie myśli, słyszenie głosu bliskiego, żywego człowieka, chociażby samego siebie.

Tedd skierował się ku wyjściu. Zszedł na pierwszy poziom i minawszy część mieszkalną, pchnął drzwi do hal produkcyjnych.

Maszyny pracowały cicho: pod przezroczystymi osłonami przebiegały bez szmeru wszystkie fazy procesu przetwarzania ryb, dozoruujące automaty stały znieruchomiałe na stanowiskach nie mając powodu do interwencji, na tablicach zapalały się i gasły światła kontrolne.

Podszedł do pulpitu kierowniczego. W centralnej części usianej zegarami i ekranami płyty jarzył się schemat budowli. Przyglądał się mu przez chwilę. Dolne poziomy były ciemnymi plamami obejmującymi dużą część rysunku.

Usiadł i wcisnął przełącznik. Zgłosił się mózg elektronowy kierujący pracą stacji.

— Od kiedy dolne poziomy nie są czynne? — rzucił pytanie.

— W jakiej kolejności mam panu podać informacje? — zapytał mózg.

— Od ostatniego wyłączenia poziomu, wstecz.

— Proszę bardzo. Ostatnia awaria miała miejsce na poziomie sto trzecim w dniu osiemnastego czerwca dwa tysiące dwieście piątego roku o godzinie dziewiętej zero osiem. Poprzez awarię dotknęła poziom sto dziesiątego, sekcje A, B, C, D w dniu...

Słuchał cierpliwie przez kilka minut. Stara budowla powoli obumierała: pękały stropy i ściany, nieruchomiały szyby transportowe, rwały się instalacje elektryczne. Proces ten należało zahamować, jeżeli stacja miała utrzymać się w stanie opłacalnym do eksploatacji.

— Dziękuję — powiedział — więcej nie trzeba. A teraz zapamiętaj : nazywam się Tedd.

— Tak jest, panie Tedd.

— Jeżeli Maks zlecił tobie jakieś czynności dotyczące jego trybu życia w stacji, no wiesz, jakieś poranne budzenie, przypominanie o konieczności golenia się, czy ja wiem zresztą co — to od dzisiaj ich nie stosuj.

— Tak jest, panie Tedd — czy mam je zachować w pamięci?

— Tak.

Namyślał się przez chwilę.

— Jak się nazywasz? — rzucił pytanie do mikrofonu.

— Ja jestem Ewa — odparł mózg.

Tedd uśmiechnął się. Każdy mówiący automat posiadał imię był to zwyczaj stary, pamiętający jeszcze wyprodukowanie pierwszych robotów. Imiona można było zmieniać w zależności od gustu pracującego z maszyną człowieka, można było zmieniać barwę głosu... Zmiany takie zdarzały się jednak rzadko. Nie miał zamiaru odstąpić od tej reguły.

— Słuchaj, Ewo — powiedział. — Gdzie jest Maks?

— Nie wiem, panie Tedd, nigdzie go nie widzę.

— A gdzie był ostatnio?

— Siedział przy pulpicie kierowniczym.

Tedd odruchowo spojrział dookoła.

— Tak jak ja?

— Tak, panie Tedd.

— A potem?

— Nie wiem, panie Tedd.

— Dlaczego nie wiesz?

— Wyłączył mnie. Potem go szukałam, bo znalazł się w niebezpieczeństwie.

Tedd przycisnął biały guzik i zamyślił się. Zaginięcie Maksą zaskoczyło wszystkich. Przeszukano stację, hale, a nawet kilka podwodnych poziomów, chociaż wszystkie skafandry i motorówki zastano na swoich miejscach. Płowowłosa Norweg zniknął. Pozostał tylko ślad. Centralny mózg stacji zanotował czterogodzinny stan zagrożenia ludzkiego życia, któremu starał się zapobiec. Po upływie tego czasu bezpiecznik regulujący obronę wrócił do normalnego położenia. Z analizy zapisów wynikało, że stan ten miał miejsce w wodzie. Przypuszczano, że Maks nieopatrznie wszedł na któryś z falochronów i spadł do morza, ulegając bliżej nie określonej kontuzji. W okolicy stacji rekiny nie należały do rzadkości.

* * *

Gdy wstał, był już późny ranek. Słońce znajdowało się wysoko, o czym świadczył ciemny kolor okiennych tafli utrzymujących stałą siłę światła wewnątrz mieszkalnych pomieszczeń. Wyszedł na korytarz i przez chwilę zastanawiał się, czy wejść do pokoju, który nie tak dawno jeszcze zajmował Maks. Pchnął drzwi.

Pokój był przestronny, nie różniący się od innych mieszkań tego typu. Przeszklona ściana pozwalała obserwować morze i niewielki basen portowy okolony tarasem. Wyposażenie

nie nosiło żadnych cech indywidualnych — stereotypowe meble, wymienne obrazy, duży ekran telewizyjny. Wszystko było tutaj porządnie ułożone, czekało jakby na powrót właściciela. Maks znany był jako pedant. Jego robot-służący otrzymywał chyba najdokładniejszy program czynności, jaki można było spotkać w całym rejonie Pacyfiku. Dnia poprzedniego do pokoju zajrzała komisja. Jednak przegląd szaf, biurka i znalezionych notatek nie wyjaśniał niczego. Rzeczy pozostawiono na miejscu nie bardzo wiedząc, co z nimi zrobić. Maks był człowiekiem z retorty, urodził się w instytucie i naturalnej rodziny nie miał.

Tedd przycisnął gałkę w ścianie. Kremowe tafle rozsunęły się ukazując wnętrze szafy. Wisiało tu kilka ubrań, leżały koszule, przybory toaletowe... Wśród drobiazgów spostrzegł ramkę fotografii. Wziął ją do ręki. Przyciśnięcie włącznika wywołało na matowej powierzchni uśmiechniętą twarz dziewczyny o niebieskich oczach. Przyglądał się jej długo, myśląc, jak przyjęła tragiczną wiadomość. Drugie naciśnięcie nie przyniosło nowego obrazu, to była jedyna fotografia, jaką miał Maks. Odłożył ramkę i podszedł do okna.

Ocean toczył fale ku murom stacji, bryzgał pianą, bez pośpiechu, ziarno po ziarnie wymywał piasek z betonowych ścian. Prześwielony błękit nieba i ciemniejszy morza stykały się na horyzoncie. Wydawało mu się, że zrozumiał, dlaczego dziewczyna z fotografii miała niebieskie oczy. Maks chyba często stał przy tym oknie.

Na biurku, pod ekranem, leżał plik papierów i teczek. Przejrzał je pobieżnie. Wykresy produkcji, wydajność maszyn, długie skrawki obliczeń mózgu elektronowego dotyczyły remontu nieczynnych kondygnacji. Było tego sporo — Maks nie próżnował. Pomyślał, że i on będzie musiał się tym zająć, aby wypełnić kilkadziesiąt dni pobytu na stacji.

W podręcznej bibliotece przejrzał tytuły mikrofilmów. Znalazł wiele pozycji dotyczących astronautyki, reportaże z lotów kosmicznych, powieści i poezje z tego zakresu. Maks starał się kiedyś o przyjęcie do szkoły pilotów raketowych, lecz z powodu drobnej wady serca kandydaturę jego odrzucono. Pozostały zainteresowania, wycieczki turystyczne do miast księżycowych. Zresztą Maks był dobrym ichtiologiem i znał dokładnie zawód, który dał mu rekompensatę za niedostępne stery w kabinie astronawigatora.

— No tak — powiedział Tedd, zawiedziony przeglądem, po którym zresztą niewiele się spodziewał — należy zająć się czymś konkretnym.

Przez chwilę wahał się patrząc na notatki. Zabrał je jednak. Część hal produkcyjnych nie była czynna, podniesione osłony ukazały znieruchomiłe taśmy transporterów, tryby i łożyska. Roboty dokonywały napraw w myśl instrukcji komisji kontrolnej, wymieniały zużyte części i smary. Podszedł do jednego z urządzeń, przy którym wymieniano wał prowadzący. Robot zdejmował właśnie olbrzymią stalową część z uchwytów dźwigu. Tedd pochylił się nad rozmontowanym wnętrzem maszyny. Bezpiecznik automatu wstrzymał opuszczające się ramię z wielotonowym ciężarem. Robot czekał, aż Tedd dokona oględzin i cofnie głowę.

Była to krajarka. Rzędy noży rozmaitego typu i wielkości ciągnęły się sekcjami na przestrzeni kilku metrów. Jedne patroszyły surowiec, inne oddzielały łby i ogony. Odpady wpadały do wnętrza kanału, którym tłoczono je do poziomów podwodnych, zamieszkałych przez drapieżne gatunki ryb. Tedd przyglądał się urządzeniu. Jak wszystko w stacji, również i ta maszyna daleka była od wymogów współczesnej techniki. Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Robot powrócił do pracy.

— Uruchamianie poziomów nie ma sensu — mruczał Tedd patrząc ze złością na niesione te czki i wykresy. — Przecież to wielka graciarnia. Powinni zrobić muzeum, postawić automat dla oprowadzania wycieczek, a nie trzymać człowieka.

Z niechęcią usiadł za pulpitem kierowniczym i zaczął przeglądać dokumentację. Z początku sądził, że nieprędko rozezna się w materiale opracowanym przez innego człowieka, jednak po chwili uprzedzenie ustąpiło. Chaos w papierach był pozorny: tworzyły zwartą całość, uporządkowaną systematycznie i ułatwiającą szybkie zorientowanie się nawet w bardziej skomplikowanych przypadkach. Maks przede wszystkim nie chciał dopuścić do dalszych

awarii. Przez długi okres czasu przeprowadzał remonty zabezpieczające czynnych jeszcze pięter, walczył o niechętnie przydzielane materiały i aparaturę. Wysyłane pod wodę automaty wymieniały zużyte segmenty kanałów, łatały dziury, uzupełniały skomplikowaną sieć przewodów elektrycznych. Sytuacja została opanowana i z tej strony nie należało oczekiwać niespodzianek. Zaprogramowany dla centralnego mózgu stacji plan przeglądów technicznych zapewniał stałą konserwację tych urządzeń. Na wszystkich czynnych poziomach działały gniazda kamer telewizyjnych, zainstalowane w węzłowych punktach.

Tedd włączył wizję czwartej kondygnacji. Z ekranu wyłoniły się mgliste kontury, które przybierając na ostrości ukazały wyraźnie wnętrze podwodnej sali, podziurawionej prześwitami i wylotami korytarzy. Była to raczej pieczara. Wymyte pracą morza ściany, pełne wnęk i szczelin, zatraciły surowy charakter budowli. Wśród falujących kolonii wodorostów żerowały stada ryb. W suficie pieczary dostrzegł gładki, lejowaty otwór szybu i skrzynię megafonu. Dobrane w odpowiedni dla danego gatunku test dźwięki zwabiały do sali ryby, skąd zostawały one wessane potężnym prądem wodnym przez kanał wiodący do hal produkcyjnych. Teraz było tu spokojnie. Eksploatacja miała się rozpocząć za kilka miesięcy.

Wygasił ekran. Następna teczka zawierała obliczenia i plany dotyczące uruchomienia pierwszego z nieczynnych poziomów. Wziął ją i poszedł do swojego pokoju.

* * *

Następny dzień spędził na studiowaniu zawartości teczki. Gdy zmęczony odsunął od siebie papiery, była już noc. Szczegółowy przegląd przyniósł jednak zupełnie nieoczekiwany rezultat: poziom sto trzeci był wyremontowany i gotowy do eksploatacji. Nawet testy przekazał już Maks mózgowi centralnemu stacji. W teczce znalazł ich odpisy — trzy perforowane plastikowe tabliczki zawierające całą technologię czterogodzinnego procesu produkcji.

Spojrzał na fotografię. Przyniósł ją jeszcze w południe z tamtego pustego pokoju. Trójwymiarowa twarz dziewczyny uśmiechnęła się z metalowej ramki. Przyszło mu na myśl, że przyjemnie byłoby z nią porozmawiać, złożyć telewizytę, może nawiązać znajomość. Nie znał jednak ani jej nazwiska, ani numeru, a ustalenie tych danych zajęłoby sporo czasu. Na samotnych placówkach pracownicy często rozmawiają z mózgami elektronowymi. Często, znacznie częściej, aniżeli uwidoczniają to statystyki Instytutu, zwierają się im ze spraw jak najbardziej intymnych, które wymazują z kryształów pamięci w chwili odjazdu. Można było spróbować. Schował fotografię do kieszeni i wyszedł.

Hala produkcyjna była już uporządkowana, roboty stały na stanowiskach przy osłonach maszyn. Usiadł za pulpitem i wywołał centralny mózg elektronowy. Na tablicy rozjarzyło się zielonkawe oko ekranu.

— Słuchaj, Ewo — powiedział wyjmując fotografię. — Czy wiesz, kim jest ta dziewczyna?

— To jestem ja, Ewa.

— A niech to! — mruknął Tedd. — Więc to ty jesteś Ewa? Jak się nazywasz? Gdzie mieszkasz?

— Nazywam się Jackson, a mieszkam tutaj.

— Gdzie? — zdziwił się. — W stacji?

— Tak, panie Tedd.

Po chwili opanował się. W stacji prócz niego nikt nie mieszkał. To było jakieś dziwactwo Maksa. Należało inaczej pytać.

— A przedtem gdzie mieszkałaś?

— W Amsterdamie. Potem kiedy zasypała mnie lawina śnieżna, mieszkałam w Alpach, w alejce obok kanadyjskiej sosny. Teraz mieszkam tutaj, a tam jestem.

Patrzył na fotografię, na uśmiechającą się wciąż twarz dziewczyny.

— Więc ty nie żyjesz, Ewo?

— Maks mówił tak do mnie, gdy był w złym nastroju, panie Tedd, mówił, że nie powinnam była iść na tę ścianę, ale potem mnie przeproszał. Ja żyję, tu mieszka mój głos i tu można mnie widzieć na ekranie.

Zamyślił się. Teraz dopiero zrozumiał Maksa, jego wypełnione pracą życie w stacji, której od lat nie opuszczał. Nie chciał oglądać dziewczyny na ekranie ani tym bardziej kontynuować tej rozmowy. Czuł, że okradaliby w ten sposób Maksa z jego myśli nie przeznaczonych dla nikogo.

— Słuchaj, Ewo, nie powiedziałaś mi, że poziom sto trzeci został całkowicie wyremontowany.

— Nie pytał pan o to, panie Tedd.

— Podałaś, że nie jest czynny. Czemu?

— Nie jest podłączony do centrali rozrządowej. Nie mogę go sama eksploatować.

Wystarczyło więc nacisnąć odpowiedni włącznik, aby uruchomić produkcję. Tej ostatniej, najprostszej czynności Maks nie zdążył wykonać. „Jutro dokonam stałego podłączenia” — postanowił Tedd. Nie miał ochoty w tym momencie schodzić do pomieszczeń rozrządu, by przez kilkadziesiąt minut babrać się wśród lamp i kabli. Poszukał na pulpicie przycisku oznaczonego numerem sto trzy. Przez chwilę czuł pod poduszczyką palca jego gładką, chłodną powierzchnię. Nacisnął.

Na tablicach zapalały się sygnały kontrolne, drgnęły wskazówki zegarów i liczników, rozjarzył się ekran. Z ledwo słyszalnym szmerem rozpoczęły pracę maszyny. Pod dźwiękochłonnymi pokrywami ruszyły puste jeszcze taśmy transporterów, wirowały noże, podajniki...

Spojrzał na ekran. W olbrzymiej sali poziomu sto trzy zaczynały gromadzić się ryby. Łuskowate ciała o tępych pyskach, zakończonych długimi antenami wąsów, nadpływały z czeluści korytarzy.

W podmorskich kazamatach tłoczyły się ryby. Było ich coraz więcej, kręciły się coraz bardziej niespokojne i pompy ssące powinny były już podjąć pracę. Proces opóźniał się. Zaniepokoiła go ta przerwa. Wreszcie dostrzegł, że prąd wody wciąga do leja pierwsze sztuki. Trwało to krótko, po czym praca ustała. Zdziwił się. Znowu w leju zniknęło kilka ryb, lecz po chwili wypłynęły z powrotem. Pochylił się nad ekranem pilnie śledząc pracę kanału ssącego. Zastanowiło go także zachowanie się ryb. Zamiast skupiać się w pobliżu leja, utworzyły zwartą gromadę przy leżącym pod ścianą głazie. Pierwszy raz w życiu obserwował podobne zjawisko i szukał dla niego uzasadnienia. Może jakieś odbicie akustyczne? Szyb ssący nadal pracował z przerwami. Spojrzał na zegary kontrolne i stwierdził, że pompy pracują prawidłowo.

Nagle poczuł oplatające go stalowe ramiona. Odwrócił głowę. Za nim stał jeden z robotów. Zdumienie odebrało Teddowi możliwość jakiegokolwiek reakcji. Nigdy jeszcze się nie zdarzyło, aby automat tego typu chociażby dotknął człowieka. Bezpiecznik, w który zaopatrywano każdego robota, uniemożliwiał zupełnie podobny ruch. Dopiero zaciskający się powoli uchwyt metalowych członów, odciągających go równocześnie od pulpitu, uświadomił mu całkowitą realność sytuacji.

— Puść mnie natychmiast — powiedział Tedd.

Robot zawahał się, stalowe palce rozluźniły nieco chwyt.

— Masz mnie puścić, ty bydlaku !

Automat nie reagował. Tedda opanował niezrozumiały lęk. Rozejrzał się po sali. Roboty bez jakiegokolwiek powodu opuściły stanowiska i poruszały się chodnikami wzdłuż maszyn. Ich powolne człapanie, nagłe postoje, widoczny brak celu marszu, wszystko to przypominało jak gdyby poszukiwania. Pracowały także wszystkie kanały utrzymujące czystość hal produkcyjnych. Teddowi przemknęła myśl, że zdrzemnął się i jest to jakiś makabryczny sen. Robot znowu pociągnął go lekko.

— Stój ! — wrzasnął Tedd. — Stój i puść mnie ! Słyszysz!

Robot znowu się zawahał. Tedd spojrział na pulpit kierowniczy. Błyszczał tam przycisk wyłącznika awaryjnego blokujący wszystkie urządzenia stacji wraz z reaktorem atomowym. Gorączkowo próbował oswobodzić ramiona z wiążącego uścisku, wyciągnąć rękę... Przycisk nie był daleko.

Nie udało się. Poczuł, że robot go ciągnie, powoli, z przerwami, kiedy krzyczał, ale potem znowu. Centymetr po centymetrze oddala się pulpit pełen zegarów, wyłączników, z jarzącym się ekranem, na którym widać było coraz to więcej ryb. Starał się przewyciężyć paraliżujący go strach, lęk przed nieokreślonym niebezpieczeństwem, które wyczuwał. Usiłował uporządkować myśli, zebrać je razem.

Z trudem opanował się. Przede wszystkim trzeba było zatrzymać robota, który na rozkaz „Stój!” reagował przez krótką chwilę. Zauważył, że również i inne krążące wśród maszyn automaty w tym momencie przestawały się poruszać. Mówił więc stale do robota, w krótkich przerwach wzywając mózg centralny stacji do zablokowania wszystkich urządzeń. Jednak Ewa milczała, czasem tylko z głośnika wydobywał się jakiś niezrozumiały bełkot.

Powtarzał głośno: „Stój!”, „Stój!”, „Stój!” — rozważając równocześnie rozmaite hipotezy mogące wyjaśnić to, co się dookoła działo. Narzucająca się gwałtownie myśl o buncie robotów była bzdurna. Więc może Maks nadał Ewie jakiś samobójczy test? Lecz automat takiego rozkazu nie mógłby wykonać, wykraczałby on poza jego możliwości. Jeszcze raz wrócił myślą do Maksa. Przecież zniknął sprzed pulpitu. Wszystko jest zatem powtórzeniem tamtej sytuacji... Wzdrygnął się. Wyczuwane dotychczas niejasno niebezpieczeństwo zaczęło przybierać kształt realnej groźby czającej się wśród ścian stacji. To go przywiodło do utraczonej równowagi. Jeżeli nie zdoła przerwać toku zdarzeń — czeka go los Maksa. Ale co robić?... Robot pociągał go znowu...

— Stój! — krzyknął Tedd. Nie, nie można było ani na chwilę przerwać mówienia do robota. Każde zapomnienie powodowało stratę kilku centymetrów, oddalenie od pulpitu kierowniczego. Spojrział na halę. Urządzenia wentylacyjne i oczyszczające ze świstem wchłaniały powietrze. Oznaczało to, że pompy zamiast wchłaniać ryby, przestawiły się. Jakby odwrócenie sytuacji. Zamiast ssania wody — ssanie powietrza, ale powietrze wciąż do hali napływa z zewnątrz, więc... ssanie powietrza... ssanie powietrza.

Zadrzał. Sprawdził kierunek, w którym odciągał go robot. Nie ulegało wątpliwości — automat zmierzał ku początkowi taśmy produkcyjnej, początkowi transportera dążącego do podajników, sekcji wirujących noży, sekcji segregującej surowiec... Odpady nie odpowiadające testowi spadają do kanału, są pokarmem ryb którejs tam kondygnacji...

— Nie! — wrzasnął Tedd czując, że robot znowu się poruszył. — Stój, łotrze! Stój! Przecież masz bezpiecznik! Stój! Nic nie możesz mi zrobić! Stój! Stój!...

Bezpiecznik. Każdy robot ma bezpiecznik nie pozwalający na wyrządzenie krzywdy człowiekowi. Ewa też ma bezpiecznik, centralny, nadzorujący również wszystkie roboty w stacji. Więc awaria bezpieczników! Komisja zbadała wszystkie rządzenia, każdą kontrolę rozpoczyna się zawsze od tego, właśnie od tego. Przede wszystkim od tego. A jednak bezpieczniki! Jaka jest zasada? Zaraz... Działają na podstawie...

— Stój! Stój! Wywalę cię na złom... Stój! na śmietnik... Stój... wszystkie, wszystkie... Stój! Stój!... na podstawie wizji, fonii i prądów mózgowych. Coś się zepsuło, uległo uszkodzeniu... To bydlę mnie widzi, słyszy, bo reaguje, nędznie, lecz reaguje... Zatem obwód zmysłowy działa...

Wykrzykiwał ochryple rozkaz, ponawiał próby rozluźnienia uchwytu stalowych ramion, lecz umysł jego pracował już sprawnie. Tedd usiłował uporządkować wiadomości, przypomniał sobie strzępy dawnych wykładów, lekturę... Bezpiecznik. Urządzenie działało na zasadzie wyboru, spostrzeżony obiekt albo był człowiekiem, albo też nim nie był. Jeżeli zatem robot widząc i słysząc człowieka, uruchomił człony chwytne, stać się to mogło jedynie na skutek

przygłuszenia zakazu wysłanego przez obwód zmysłowy. Takie zakłócenie mógł wprowadzić jedynie obwód prądów mózgowych.

W sytuacji zagrażającej człowiekowi, w momencie odebrania fal wzbudzonych w mózgu przez instynkt samozachowawczy, obwód ten włączał system nakazujący robotowi niesienie pomocy wszystkimi dostępnymi mu środkami. Czy mój instynkt samozachowawczy nie działa? Bzdura! Działa, i jak jeszcze!

Wzrok Tedda padł na ekran. W pieczarze ryby skupiały się zwartymi szeregami wokoło obrośniętego kozuchem wodorostów głazu. Ich długie wąsy poruszały się rytmicznie. Z odległości trzech metrów dzielących go od pulpitu widział tylko zarys tamtej, leżącej w pieczarze bryły, lecz może właśnie dlatego rozpoznał ją. Pod ścianą, oplątany zwojem pleśniejącego kabla, leżał zżarty korozją stary robot. Z wzrastającym niepokojem uświadomił sobie, że bezpiecznik wraka jest widocznie czynny, że być może odbiera i przekazuje do centralnego mózgu stacji sygnały zagrożenia skupionej tam olbrzymiej ławicy ryb.

Tedd poczuł gęste krople potu pokrywające czoło, policzki, szyję. Inteligencja Ewy, chociaż złożona z setek milionów kryształów, była zbyt mała, aby odróżnić impuls zbiorowego zagrożenia ławicy ryb bijący w nią poprzez bezpiecznik wraka, od impulsu jednego człowieka. Przemknęła mu nawet myśl, że mózg elektronowy, inteligencja niższego rzędu, silniej odczuwa impuls prymitywny, agresywniejszy, bo nie złagodzony żadną cywilizacją. Ewa — mózg elektronowy — usiłuje przez podległe roboty, maszyny, pompy, wszelkimi sposobami zlikwidować stan zagrożenia. Pierwszym krokiem w tym kierunku było przełączenie pomp na ssanie powietrza. Ale w kryształach mózgu Ewy tkwi pamięć, że to on, Tedd, ten stan zagrożenia spowodował uruchamiając produkcję na poziomie sto trzy, a więc trzeba zlikwidować przyczynę...

— Stój! Stój!

Robot nie reagował, pulpit był coraz odleglejszy, cichy szmer pracujących pod przezroczystymi osłonami sekcji noży wdierał się do uszu przerażającą melodią wirującego metalu. Wzrok Tedda padł na rozłożone wzdłuż maszyn narzędzia. Różnego kształtu manipulatory i klucze leżące szeregami, według wielkości, pedantycznie przygotowane przez roboty do następnego remontu urządzeń. Urządzeń, które za godzinę, za kilkanaście minut, a może za chwilę wciągną go na taśmę. Zamknął oczy, starał się nie myśleć, lecz trudno było wywołać stan ośpienia i odpędzić panoszące się pod czaszką wizje. Automat odchyli osłonę, zepchnie go, nastąpi krótki moment spadania, a potem porwie go taśma. Nawet ślad, najmniejsza rysa nie powstanie na lśniących urządzeniach maszyny. Rysa?

Otworzył gwałtownie oczy. Stalowe narzędzia leżały tuż przy przejściu, którym posuwał się ciągnący go robot. Człony chwytne automatu ograniczały ruchy rąk Tedda, lecz od łokcia ręce były wolne, mógł wyciągnąć dłonie. Wykonane z twardych stopów narzędzie, ciśnięte na taśmę zaraz po odsunięciu osłony, powinno spowodować awarię, a urządzenia kontrolne natychmiast wyłączą proces produkcyjny....

Robot powoli posuwał się przejściem. Tedd milczał, wyciągnął dłonie, rozcapierzył palce, naprężył mięśnie aż do bólu. Pod opuszkami poczuł zimną szorstkość powierzchni dużego klucza maszynowego. Schwycił mocno, z całych sił, koniec rękojeści i przyciągnął do siebie. Potem gdy stanęli już nad maszyną i rozwarła się przezroczysta osłona, cisnął narzędzie w głąb wirujących trybów. Klucz zniknął w zwojach ślimacznicy. W maszynie zazgrzytało, trzaski gwałtownie przybrały na sile, nagle głuchy łoskot wypełnił jej wnętrze, odbił się wielokrotnym echem od stropu hali i zamarł wraz z ruchem podajników, wałów, kół napędowych. Rozjarzyły się czerwone światła awarii.

— Puść mnie — powiedział Tedd do robota.

Człony chwytne automatu rozwarły się.

Tedd podszedł do pulpitu kierowniczego, wyłączył mózg elektronowy i program eksploatacji. Przez chwilę patrzył na zamarłą, cichą halę produkcyjną Ichtiofabru, znierucho-

miały urządzenia, automaty zastygłe w różnych pozach, dziwacznych, niekiedy śmiesznych. Zacisnął zęby i powoli wduślił włącznik centralnego mózgu elektronowego.
— A teraz marsz do roboty! — krzyknął.
Automaty drgnęły i poczłapały usuwać skutki awarii.

SZYBKOŚCI KOSMICZNE

Pierwszymi wrażeniami, jakie dotarły do świadomości Garottiego, były świst i huczenie jakby odległego wodospadu. Narodziły się gdzieś na krańcach oczadziałych zmysłów: z początku przypominały brzęczenie krążących w zwojach elektromagnesów prądów, prawie nie zakłócające wielkiej ciszy, potem stopniowo przybierały na sile, a gdy dołączył się do nich świst, stały się lawiną, denerwującą i natrętną. Usiłował nie reagować na te dźwięki, zepchnąć je z powrotem w nieistnienie, z którego wzięły początek, lecz były uparte, wracały coraz to mocniejszą kaskadą drażnącą świadomość.

Z wysiłkiem uniósł powieki, które natychmiast opadły, jakby legł na nich przygniatający ciężar, dojrzał jednak mgliste, rozplywające się w świetlistych smugach cienie.

Minęło sporo czasu, zanim mógł ponowić próbę. Tym razem patrzył dłużej. Jasne smugi zniknęły, cofnęły się gdzieś w przestrzeń, zostawiając po sobie jedynie zmętnienie, mgłę lekką, przezroczystą. Gdy zamknął oczy, wiedział już, że znajduje się w sali hibernoletargicznej, na pokładzie Geotaura, i że się budzi. Rozpoznał także dźwięki. Słyszał je wiele razy w życiu, lecz zapomniał o tym, co go zdziwiło. Geotaur przechodził przez atmosferę, darł rzadkie warstwy, które jęczały w zetknięciu z pancernem. Z tonacji skowytów wnioskował, że rakieta weszła na tor satelitarny, okrążając planetę po z wolna zacieśniającej się elipsoidalnej spirali. Poruszył głową — wargi dotknęły końcówki syntetyzatora. Ssał powoli odżywczy płyn, czując coraz silniejszy rytm serca i przyjemne ustępowanie sztywności mięśni. Zasnął.

Gdy ponownie się przebudził, mógł już, z pewnym wysiłkiem, wstać. Usunął przezroczystą osłonę i trzymając się poręczy zrobił kilka kroków, niepewnych, nadzwyczaj miękkich i rozkołysanych. Wsparty o ścianę spojrzął na salę. Tamci jeszcze spali, lecz obok ich miejsc pulsowały światła budzenia. Świst i huczenie przypominały łagodny szum, dochodzący ze wszystkich stron statku. Rakieta krążyła na dużej wysokości, stykając się jedynie z bardzo rozrzedzonymi warstwami gazów.

Podszedł do tablicy rozdzielczej i przycisnął włącznik sieci wewnętrznej. Przed hibernoletargiem zamyka się urządzenie potrzebne tylko ludziom. W ruchu pozostają mechanizmy konieczne do czuwania nad snem załogi, lotem statku, jego torem i bezpieczeństwem wśród przestrzeni międzygwiazdowej. Teraz można już było odblokować system wewnętrzny. Zamrugały światła kontrolne. Przyglądał się im uważnie, po dwa lub nawet trzy razy każdemu, aby zdobyć pewność, że nic mu się nie przywidziało. Skontrolował długi rząd zegarów. Kosmolot był sprawny, chociaż nie wszystko mieściło się w granicach norm.

— Trafiło nas lekko — mruknął pochylając się nad sekcją połączeń ze stosem.

— Co mówisz?

Odwrócił się. Droll stał niepewnie przy odchylonym kloszu osłony i przecierał oczy.

— Mówiłem, że trafił w nas meteor. Widocznie nic poważnego, skoro automaty same naprawiły uszkodzenie. Jak się czujesz?

— Jakbym miał puch w stawach — astronom masował kolana próbując lekkich przysiadów. — Parszywie, wszystko sztywne, wydaje się, że będę skrzypieć przy każdym kroku...

— Łyknij jeszcze odżywki, a potem zajmij się resztą.

Przerzucił w dół dźwignię.

Pancerne drzwi śluzy wewnętrznej zniknęły powoli w bocznej ścianie. Niedługi korytarz, rozjaśniony szeregiem mlecznych, wtopionych w płyty plastyku lamp, kończył się wnątką szybu wiodącego do kabiny astronawigacyjnej.

Szedł powoli, przewyciężając słabość mięśni cierpiących po kilkunastu ruchach. Nie przypuszczał, że będzie aż tak źle, uczeni twierdzili, że odczuje tylko niewielkie osłabienie i nerwowość. To była jednak teoria, oparta na laboratoryjnych próbach i wyliczeniach — nikt dotychczas nie leżał w letargu tak długo. „Sto trzydzieści lat pod kloszem to jednak sporo czasu” — pomyślał oddychając głęboko. Trudno było uwierzyć, że przez te lata jego płuca nie pracowały, a jednak znówu żyje, idzie korytarzem, który podczas lotu również był opróżniony z powietrza. Zupełnie tak jak on, jak Droll, Ralg, Yorkel. „Celem uniknięcia korozji i niszczenia konstrukcji należy powietrze wpompować na powrót do zbiorników...” — przypomniał się mu urywek wykładu w Centrum Lotów Kosmicznych. Wzruszył ramionami. Teraz panują już normalne warunki. Lejowaty otwór kanału wentylacyjnego owiewał twarz strumieniem powietrza, przywołując wspomnienie wiatru szumiącego nad lasami Ziemi. Powoli zagłębił się w studnię szybu.

Wzdłuż pulpitu nawigacyjnego, wśród setek drgających zegarów, przełączników, punktów kontrolnych migoczących różnobarwnymi światłami, jaśniały puste ekrany. Zbliżył się do fotela pilota i opadł ciężko na poduszki. Potem wyciągnął rękę. Palec lekko pokonał opór włącznika wizji.

Planeta wypełniła cały główny ekran, toczyła się na tle czarnego nieba, otulona szczelną powłoką lśniących w słońcu białych chmur. Niekiedy rozwierały się prześwitły: wówczas widać było w dole jej powierzchnię, pasma gór, pustynie, mignęła sina plama morza.

— Więc jesteśmy — powiedział do ekranu. — Wbrew wszelkim trudnościom jesteśmy.

Nie myślał w tej chwili, że na Ziemi zostawił wszystko, co znał od urodzenia, i że już nigdy nie ujrzy twarzy najbliższych — rodziców, rodzeństwa, przyjaciół. Waśnie i spory w instytucie, Grin protestujący przeciwko decyzji wysłania wyprawy — wszystko pozostało gdzieś za nim w przestrzeni, za ścianami z plastyku i metalu, wśród pustki obszarów międzygwiazdnych. Czas tamtych ludzi dokonał się podczas jego snu, a właściwie już w momencie, gdy za orbitą Jowisza pod szklistą taflą cofnął dźwignię. Garotti nie myślał o tym. Uśmiechnięty patrzył na ekran, po którym powoli toczyła się przykryta chmurami dzienna strona planety, i układał plany wypraw badawczych, prac mogących trwać najwyżej dwa lata, zgodnie z harmonogramem ustalonym na odległej Ziemi.

* * *

Minęło wiele dni, zanim Garotti mógł podjąć decyzję wyruszenia na powierzchnię planety. Ogólne osłabienie, zawroty, przy równoczesnym wzroście nerwowości członków załogi, ustępowały z wolna, wymagając zabiegów leczniczych. Nie stanowiły niespodzianki, lecz były uciążliwe i trudne do zniesienia.

W dwa dni po przebudzeniu Garotti zarządził generalny przegląd Geotaura, chcąc przed podjęciem dalszych badań usunąć wszelkie usterki techniczne. Nie było ich wiele. Uwolnione z magazynów automaty Yorkela rozpełzły się po pokładach i korytarzach, sunęły wzdłuż przewodów, rur i spojeń, wypełniając raketę od dziobu po dysze hukiem pełnym jazgotania mechanizmów naprawczych. Inna partia robotów została wysłana na zewnętrzną stronę rakiety. Te przeświewały każdy milimetr pancerza, określając jego zużycie w czasie lotu.

Miejsce przebicia obejrzeli wszyscy. Nie wyglądało atrakcyjnie: tampon, założony przez automat z trudem można było odróżnić od gładkiej powierzchni ściany pokrytej siecią przewodów. Długo jednak milczeli patrząc na delikatne smugi, zmiany dokonane w strukturze płyty, rozbiegające się promieniście od tego miejsca. Na korytarzu leżały poszarpane strzępy

sczerniałego, żuźlowatego na krawędziach metalu, części rur i kabli.

— Głupie miejsce — powiedział Yorkel wodząc palcem po płycie. — W każdym statku są takie głupie miejsca, nie sposób ich przy konstruowaniu uniknąć. Dobrze, że w tym czasie leżeliśmy za ścianami sali snu.

— Chcesz powiedzieć, że gdyby nas trafił w innej chwili, to momentalnie... — Droll urwał i przetarł ręką czoło, na którym pojawiły się drobne kropelki potu.

Yorkel skinął głową.

— Tak. Przerwane zostały połączenia śluzy pokładu mieszkalnego i przewody chłodnicze, z równoczesnym zniszczeniem sieci dozoru automatycznego. Grodzie się zawarły, lecz trwało to kilka minut, a kilka minut kosmicznej lodówki to...

— Ostatecznie każdy z nas wiedział, co wybiera — przerwał szorstko Garotti.

Nie powrócili już do tego tematu, czasem tylko, niby przypadkowo, zaglądali do korytarza, aby stanąć na chwilę przed ścianą, przesunąć dłonią po gładkiej, przeszlifowanej powierzchni tamponu. Na zewnątrz kosmolotu automaty przystąpiły do wymiany uszkodzonej części pancerza i natryskiwania ścian nową warstwą metalu. Dozór sprawował Garotti. Lubił wychodzić do pracujących robotów, zwłaszcza gdy rakieta znajdowała się po nocnej stronie planety, w strefie jej cienia. Spod noży automatów tryskały w czerń fontanny iskiei, wydobywając na ułamki sekund smukły kształt Geotaura i wystrzępione krawędzie przestrzelin. Garottiego pociągał widok nieba zamykającego się pod stopami, nieruchomych gwiazd, czuł potrzebę oglądania przestrzeni nieskończenie dalekich, nie ograniczonych żadnymi ścianami. Chwile te nie były długie, trwały zaledwie kilkanaście minut. Kosmolot opuszczał strefę cienia, żółte słońce wypadło zza planety, klimatyzatory skafandra przestawiały się gwałtownie na chłodzenie, ciemna, ochronna tafla hełmu zmieniała niebo w napierającą zewsząd czerń. Uspokojony wracał do sterowni, obserwatorium lub portu rakietek zwiadowczych, w którym automaty przygotowywały ekwipunek dla wyprawy na powierzchnię.

Spacery na zewnętrzną stronę skończyły się jednak szybko — płyty zostały wymienione i roboty wpełzły do środka, kontynuując pracę w korytarzu. Wkrótce po przebicciu nie zostało śladu i członkowie załogi przestali zaglądać w to miejsce.

Czuli się lepiej, osłabienie mijało, a wraz z nim ustąpiło uczucie niepewności, spowodowane wypadkiem sprzed lat. Droll zniknął w swojej pracowni pochłonięty badaniami próbek atmosfery pobieranych przez sondy, Yorkel starał się usunąć awarię anten radiostacji, straszonych przez meteoryt. Wbrew pierwszemu rozpoznaniu była to sprawa skomplikowana, utrudniająca zarówno badanie pasów przyplanetarnych, jak i kontakt z przyszłą wyprawą na jej powierzchnię. Spotykali się rzadko, przeważnie przy posiłkach przygotowywanych naprędce i zjadanych w pośpiechu. Jedząc wymieniali skąpe uwagi, przekazywali wyliczenia, fotogramy, a następnie znikali na długie godziny za drzwiami pracowni, nad którymi zapalało się czerwone światło. Nie uznawał go tylko Ralg. Astrobiolog, pełniący zarazem funkcję lekarza, starał się utrzymać rytm zabiegów, bezceremonialnie przerywając doświadczenia dla dokonania masażu, ćwiczeń, badań zdrowia. Zabiegi były przykre. Zamykano się od wewnątrz w pracowniach, ignorując wezwania Ralga. Dochodziło do scysji.

W tym czasie miało miejsce zdarzenie, które wzmagając niecierpliwość zatarło równocześnie niechęć do drastycznych poczynań lekarza.

Garotti siedział w sterowni kontrolując działanie stosu, gdy brzęczenie radarowego wykrywacza oderwało go od pracy. Na ekranie przesuwiał się niewielki świetlisty punkt. Przez chwilę patrzył zdziwiony, dotychczas nie stwierdzono, aby planeta posiadała jakiegokolwiek satelitę, po czym rzucił się w kierunku drzwi obserwatorium. Drżąc z podniecenia przekręcał gałki wielkiego teleskopu, aż na ekranie pojawił się obiekt. Garotti chwycił krawędź stołu, aby przewyciężyć gwałtowną słabość. Przed oczyma przelatowały mu jasne smugi zamazując obraz. Ochryplym głosem wezwał załogę. Wezwanie musiał powtórzyć kilka razy — mikrofon trząsł się w rękach i nie mogli go zrozumieć.

— Satelita! Sztuczny satelita!

Nadbiegli.

— Planeta jest cywilizowana! To epokowe odkrycie! Warto było tłuć się w tym pudle przez sto trzydzieści lat! A Grin chciał nas zatrzymać! Jesteśmy pierwszymi...

— Przystań krzyczeć — powiedział sucho Ralg — przestań wymachiwać rękami i włącz kamery filmowe. Nastaw mózg elektronowy, niech obliczy orbitę. Trzęsiesz się jak galareta.

Garotti przez chwilę patrzył osłupiałym wzrokiem na ekran, na przemieszczającą się po nim jasną jak gwiazda kulę. Zmęczonym ruchem przetaił twarz.

— Masz rację, reakcja dla mnie zupełnie nietypowa — usiłował się uśmiechnąć. — Jak mogłem zapomnieć?!

Włączył kamery i wytypował test.

— Siadaj — mruknął niechętnie lekarz i podszedł do pochylonego nad ekranem Yorke-la. — Każdy z was sądzi, że przedstawia okaz zdrowia i może unikać wszelkimi sposobami sali medycznej bez żadnej szkody dla pracy.

Satelita oddalał się ku biegunowi planety. Jego trzon stanowiła kula niewielkich rozmiarów, z której wyprowadzono na zewnątrz szereg anten przypominających rozmaitej długości i kształtu czułki owadzie. Metalowa powierzchnia usiana była wgłębieniami, stanowiącymi zapewne wyloty urządzeń pomiarowych, ukrytych w głębi korpusu.

— Wysoki stopień kultury technicznej — Yorkel przypatrywał się konstrukcji. — Znacznie wyższa, niż sami przedstawiamy. Spójrzcie chociażby na anteny, cóż za dziwne, a zarazem celowe, rewelacyjne wręcz rozwiązania! Mieszkańcy planety od dawna muszą wiedzieć o naszym przybyciu.

Droll przytaknął. W zadumie przyglądał się mknącemu w przestrzeni przyplanetarnej obiektowi, produktowi nieznaney cywilizacji, kryjącej się za chmurami, w odległości niecałych pięćdziesięciu tysięcy kilometrów od Geotaura.

— To mnie właśnie zastanawia i zarazem niepokoi — powiedział nie odrywając wzroku od ekranu. — Przecież dotychczas nie poczynili żadnych działań zmierzających do nawiązania z nami kontaktu. To podejrzane.

— Zapominasz — mruknął Yorkel — że mamy uszkodzone urządzenia radiostacji. To raczej oni mogą się niepokoić naszym milczeniem. Skąd pewność, czy od dawna nie wysyłają w naszym kierunku sygnałów? Satelita może być zwiadowcą zbierającym informacje o nas.

— Wygląda na stałą stację, badającą układ warstw atmosfery i pasów radiacyjnych — wtrącił Garotti wstając z fotela. Szok już minął, czuł się jednak osłabiony, jakby wykonał pracę ponad siły.

— Być może — Yorkel nie sprzeciwił się. — Pierwszy raz spotykam taką konstrukcję. Solidność budowy świadczyłaby, że masz rację. Zresztą dysponując takimi środkami technicznymi posiadają niewątpliwie rakiety i kosmoloty. Nic prostszego, jak wysłać w naszym kierunku patrol.

— Kiedy będziesz mógł rozpocząć nasłuch radiowy?

— Automaty zakończą pracę za piętnaście godzin. Z tą chwilą rozpocznę penetrację na wszystkich zakresach i wyślę testy kontaktowe.

Garotti spojrział na Ralga. Lekarz nadal stał przy ekranie, lecz teraz czujnie lustrował twarz, oceniał każdy ruch, gest, zmrużenie powiek. Garotti z trudem wytrzymał jego wzrok.

— Kiedy będziemy mogli wyruszyć na planetę?

— Przyspieszę leczenie — powiedział Ralg. — Jeśli wszystko przebiegnie pomyślnie, pełną sprawność organizmu odzyskamy w ciągu trzech dni. Żądam jednak podporządkowania się moim zaleceniom.

Nikt nie zaprotestował.

* * *

Pierwsze okążenie nie przyniosło rezultatu. Pod raketką przesuwaly się pustynie lub górskie pasma, których szczyty niknęły w chmurach. Zbocza opadały stromo gwałtownymi zerwami i uskokami, puste i niedostępne, aby u podnóża zlać się z szarością barwy piaszczystych diun, ciągnących się aż za horyzont. Głębokie pęknięcia powierzchni pozwalały przypuszczać, że na ich dnie płyną rzeki ku morzu zalegającemu pas równikowy. Garotti był zawiedziony. Nieliczne obszary roślinności, rozrzucone wzdłuż strefy klimatu umiarkowanego, nie nosiły śladów działalności istot rozumnych. Również na innych terenach nie dostrzegł niczego, co mogłoby świadczyć, że planeta jest zamieszкана. Wchodząc w drugie okążenie połączył się z Drollem, pilotującym raketkę bagażową.

— Droll, Droll, zmniejszam szybkość do pięciu, do pięciu. Schodzę na cztery tysiące metrów.

— Odebrałem, szybkość pięć, pułap cztery — usłyszał odpowiedź w słuchawkach.

Sprawdził, czy Droll podąża za nim. Tamten trzymał się w przepisowej odległości, lecąc z lewej strony poza torem działania odrzutu. Garotti powrócił do obserwacji. Po panoramicznym ekranie mknęły pofałdowane piaszczyste przestrzenie z wyrastającymi grupami skał, ukazywały się oazy roślinne, kłębowisko krzewów, gąszcz obejmujący tysiące kilometrów, rozpadliny o ścianach pionowych, niknących w czerni cienia. Garotti czuł, że na czole występują mu krople potu. Skorygował klimatyzację skafandra i nie odrywając wzroku od ekranu zaczął wywoływać Geotaura. Kosmolot krążył ponad powłoką chmur jako satelita stacjonarny. Stacje teleradiowe, rozmieszczone daleko poza granicami atmosfery, zapewniały łączność z każdego miejsca planety.

— Alfa woła bazę, Alfa woła bazę...

Na ekraniku wewnątrz hełmu ukazała się twarz Yorkela.

— Co nowego, Garotti?

— Pustka, żadnych śladów. Przechwyciliśmy dalsze sygnały?

— Tak. Analizuje je automat lokacyjny. Za chwilę podam namiar.

Sygnały odebrali następnego dnia po uruchomieniu radiostacji. Odzywały się rzadko, w dziesięciogodzinnych odstępach czasu i przypominały ziemski kod stacji zewnętrznych. Odbiór był słaby i zniekształcony. Pasy radiacyjne i elektromagnetyczne planety powodowały liczne ugięcia i odbicia, których korygowanie nie należało do spraw łatwych. Na sygnały nadawane ustawicznie z kosmolotu nie nadchodziły odpowiedzi. Również sztuczny satelita milczał, obiegając glob po wydłużonej eliptycznej orbicie.

— Baza mówi do Alf, baza mówi do Alf, podaję współrzędne namiaru.

Garotti przyglądał się wyskakującym świetlistym cyfrom i liniom skrzyżowanym na ekranie mapy. W punkcie przecięcia widniał płaskowyż dotykający niewielkiego górskiego grzbietu, tworzącego jakby wyspę wśród piasków pustyni. Zmienił kurs.

Wyżynę zobaczył z daleka. Była rozległa, płasko ścięta i tworzyła rodzaj obszernego tarasu przylegającego do gór. Z początku nie dostrzegł nic interesującego, dopiero później, gdy mógł już rozróżnić poszczególne skały na zboczach, ujrzał wśród nich kilka kopulastych wież uczeponych stromizny. Zbliżył się, postawił raketkę pionowo i powoli tracił wysokość, omiatając wybrane do lądowania miejsce ognistym podmuchem dysz. Po chwili ustały drgania amortyzatorów. Spojrzał w ekran. Droll lądował kilkaset metrów dalej. Odczekał, aż wystygnie podłoże, otworzył śluzy i wąską drabinką zszedł na płaskowyż.

Silny wiatr niósł nisko ponad powierzchnią planety smugi mięłkiego piasku. Świsty wdzierały się pod klosz hełmu przyciszoną, jęklivą melodią, podkreślającą obcość otoczenia, stanowiącą uzupełnienie szarości pochmurnego dnia. W raketce Drolla opadł luk transportowy. Z wnętrza wypełznął pojazd terenowy i wzbijając gąsienicami wątły obłok kurzu, sunął w stronę Garottiego. Budowle na zboczu gór stały zmartwiałe, jakby przybycie raket nie zostało

zauważone przez zamieszkujące je istoty.

— To mi się coraz bardziej nie podoba — Droll uchylił drzwiczki kabiny. — Prawdopodobnie obserwują nas. Dla bezpieczeństwa opuszczę osłonę pancerną.

— Opuść — mruknął Garotti sadowiac się w fotelu. — W razie ataku i tak niewiele to pomoże. Nie widzę zresztą powodu do agresywnych poczynań z ich strony.

Droll wzruszył ramionami i wcisnął dźwignię. Przeźroczystą kabinę otoczyła pancerna zasłona, przed sterami rozblęsnął ekran.

Jechali szybko, wymieniając jedynie skąpe uwagi. Płaskowyż pokrywała twarda, szklista masa z niewielkim powierzchniowym nalotem pustynnego piasku. Ogień dysz nie naruszył jej struktury, pozostała gładka i lśniąca, jakby wółprzeźroczysta. Widać przez nią było kontury głązów, piargu, szczelin, zmętniałe i rozmazane. Wieże zbudowano z innego tworzywa. Ciężkie i przysadziste, jakby obliczone na trwanie przez tysiąclecia, w miarę zbliżania się przytłaczały wielkością bezokiennych ścian zwieńczonych kopułami. Mury niknęły w skałach zbrocza, w którym znajdować się musiały dalsze pomieszczenia, sięgające aż do wysoko położonych tarasów pokrytych fragmentami dziwacznych konstrukcji. Podjechali do wieży wzniesionej na masywnym budynku z widocznymi u podstawy ciemnymi zarysami wnęk. Po naradzie opuścili pojazd i poszli w ich kierunku.

— Wejścia — stwierdził Droll.

Nawiany wzdłuż ścian piasek był gładki, bez jakichkolwiek śladów.

— Odnoszę wrażenie, że obiekt jest pusty. Próbujemy dostać się do wnętrza?

— Oczywiście.

Garotti spojrzął za siebie, na stojące w oddali rakiety. Ich osmalone dzioby celowały w zwartą masę pędzących po niebie chmur. Gdzieś ponad nimi krążył Geotaur. Zapas powietrza w skafandrach wystarczał, nie licząc rezerwy, na siedem godzin. Po tym czasie należało powrócić do rakiet. Na ekranie hełmu pojawiły się twarze Yorkela i Ralga. Uśmiechnął się do nich.

— Jeżeli nie wrócimy za pięć godzin, wyruszyście na pomoc. — powiedział. — Starajcie się utrzymać z nami łączność.

Weszli w cień wnęki.

* * *

Przez długi czas w sterowni panowało milczenie. Siedzieli wpatrując się tępo przed siebie, tylko Yorkel krążył po sali, zatrzymywał się przed ekranami, by po chwili znowu rozpocząć chaotyczną wędrówkę.

— Więc czemu nas wysyłali?! — Droll zacisnął pięści.

Każdy tak myślał i każdy znał odpowiedź, chociaż nie mógł się z nią pogodzić. Stanowiła zaprzeczenie wszystkiego, czego dokonali, co stanowiło treść życia, pracy, marzeń. Wyrzekli się domów, rodzin, przyjaciół świadomi, że już ich nigdy więcej nie ujrzą. U celu doznali największego rozczarowania — to wszystko nie było potrzebne.

— Przegraliśmy — mruknął Garotti i zamyślił się.

Rakietodrom. Przez wiwatujące tłumy z trudem toruje sobie drogę sznur atomobilów wiozących załogę pierwszej wyprawy dalekiego zasięgu. Kwiaty, uściski dłoni, życzenia szczęśliwego lotu... W gronie uczonych chuda postać. Grin. Profesor uśmiecha się z przymusem, zdaje się nie dostrzegać drwiących spojrzeń otaczających go osób. Przeciwnik wyprawy nie jest lubiany, nie czuje do niego sympatii nikt z załogi Geotaura, zwłaszcza Garotti, podejrzewający Grina o starczą zawiść. Apele i protesty profesora nie poskutkowały. Jego teoria została odrzucona, sztydono z niej w kuluarach Instytutu i Komisji Wypraw Kosmicznych. Za chwilę Garotti z towarzyszącymi odjedzie na Lunę, skąd wystartuje kosmolot, aby przez sto trzydzieści lat, z szybkością stu tysięcy kilometrów na sekundę, przemierzać prze-

strzeń międzygwiazdową. Garotti przewycięża niechęć i zbliża się do starca.

— Żegnaj, profesorze. Mam nadzieję, że pański sceptycyzm nie znajdzie potwierdzenia.

— Żegnaj, Garotti, chciałbym ci też tego życzyć — mówi sucho Grin. — Na wszelki wypadek zapamiętaj, silniki mają nie ujawnioną rezerwę ciągu. Może ci to dać do dziesięciu procent dodatkowej szybkości. Konstrukcja powinna wytrzymać.

— Cel osiągnę według planu.

— Myślę raczej o drodze powrotnej — mówi profesor i robi gest zniechęcenia.

Garotti spojrział na ekrany. Ich jarzące się tafle wypełniał obraz planety, białej, zwisającej ciężko krzywizną powierzchni nad skrawkiem czarnego nieba, widocznego w narożniku.

— Pamiętacie teorię Grina, którego ledwo tolerowano na kongresie? Wydawała się absurdalna i defetystyczna, byliśmy przecież wyposażeni w najszybszy kosmolot, jaki kiedykolwiek opuścił stocznice. Sto tysięcy kilometrów w sekundzie! Otworzył się przed nami ogrom możliwości! Cóż znaczyć mogła jego teoria skokowych przyspieszeń rozwoju techniki i kwadratów dynamizmów międzyokresowych, jego wyliczenia nie poparte żadnym praktycznym dowodem. Trzeba jednak było mieć niebywałą odwagę i pewność, aby powiedzieć: „Wyprawy do obiektów poza granicą czterech lat światła nie są celowe. Wysyłanie wypraw w zasięgu czterdziestu do pięćdziesięciu lat światła przy obecnych szybkościach jest bzdurą i anachronizmem już w momencie powstania takiego projektu. Wysłanie Geotaura uważam za bezcelowe marnowanie zarówno ludzi, jak i środków”.

— Powinien powiedzieć znacznie dosadniej — krzyknął Yorkel. — To był idiotyzm. Lecimy przez sto kilkadziesiąt lat, docieramy do celu, duma odkrywców rozpiera nas, gdy patrzymy na to — wskazał ze złością ekrany — łapiemy jakieś sygnały, szykujemy się do kontaktu z nowo odkrytą cywilizacją! I cóż?! Okazuje się, że możemy najwyżej uprawiać turystykę. Żaden nowy obiekt, żadna nowa cywilizacja! Kilkadziesiąt lat temu dotarto do planety, zbadano ją wzdłuż i wszerz, zostawiając nam miłe pozdrowienia i wezwanie do powrotu! Nawet urządzenia stacji pozamykali, abyśmy czasem czegoś nie zepsuli. Oni już mają kosmoloty lecące prawie z szybkością światła! W ich oczach jesteśmy z naszą wiedzą troglodytami.

— Powinni nas zawrócić z połowy drogi — powiedział Droll. — To świństwo, że pozwolili nam tutaj dotrzeć. Ich statki mijały nas przecież kilka razy.

Garotti uśmiechnął się kwaśno.

— Musieliby wytracić dwie trzecie szybkości, a sygnałami nie mogli nas obudzić ani zmienić kursu rakiety. Jediną możliwością było wejście na nasz pokład. To oznacza doścignięcie Geotaura i hamowanie. Takie hamowanie rozkłada się na lata. Z różnych względów mogło się nie opłacać.

— Bronisz ich. A nasze lata spędzone w tym pudle? A to, co pozostawiliśmy? To się nie liczy?!

Garotti zaciął zęby. Najchętniej sam wziąłby udział w tym wybuchu złości, oskarżaniu tych z Ziemi o wydarcie im pierwszeństwa, o to, że ich poświęcenie straciło jakąkolwiek wartość, o to, że Ziemia nie potrafiła czekać. Pozostawał powrót. Lecz gdy wylądują, ich wiedza będzie już bezużyteczna, przestarzała, wszystko zastaną zmienione, nowe, obce. Zanim odzyskają poczucie własnej wartości, miną lata studiów... Wiedzieli, że tak będzie, byli na to przygotowani. Sądzieli jednak, że do nauki dorzucą własną część — wiedzę o tej planecie. To decydowało. Tylko w tym wypadku można się było zgodzić.

— Te lata liczą się dla nas — mruknął ze złością. — Dla nas i dla nikogo więcej. Jesteśmy tylko pyłem, który ludzkość wysłała w Kosmos.

Ralg roześmiał się z przymusem.

— W letargu starzejemy się bardzo powoli. Gdy powrócimy, będziemy zaledwie dziesięć lat starsi. Sądzę, że mamy jeszcze wiele do zrobienia.

Yorkel spojrział ponuro.

— Czy ty chociaż na chwilę nie możesz zrzucić tej lekarskiej skóry! Przestań pocieszać, bo nie rękę za siebie!

Garotti wstał.

— Wracamy. Chyba każdy się zgodzi, że nie mamy tutaj nic do roboty. Jeszcze jedno zagadnienie pod dyskusję. Grin wspominał o dodatkowym ciągu, jaki można wydusić z tego pudła. Zaryzykujemy?

Nikt nie zgłosił sprzeciwu.

— Najgorsze — westchnął Garotti — że do nikogo, zupełnie do nikogo nie możemy mieć pretensji. Powinniśmy się nawet cieszyć. Taki szybki rozwój techniki, takie cholernie szybkie tempo rozwoju techniki — powinno nas przecież cieszyć. Cieszyć?

PERYFERIE UKŁADU

— Nie wydostaniemy się już stąd — astronawigator Alex odsunął ze wstrętem talerz pełen gotowanych ślimaków. — Będziemy tkwić na tej przeklętej planecie, uwięzieni do końca życia. Nikt nas nie odnajdzie, nie będą nawet szukać rakiety w tych peryferiach Galaktyki. Do śmierci będziemy jeść te wstrętne, oślizłe małże, my, nasze dzieci, wnuki, prawnuki...

Zakrył twarz dłońmi i usiadł ciężko w fotelu. W sterowni zapanowała cisza mącona jedynie szmerem oddechów pozostałych członków załogi. Nie patrzyli na siebie, aby nie widzieć pobladłych, zaciśniętych warg, bezwładu rąk spoczywających na oparciach, przygaszonych oczu. Katastrofa wydarzyła się już dawno, lecz dopóki lecieli, codzienna praca w sterowni i obserwatorium pozwalała zapomnieć o tragicznej sytuacji. Istniała wątła nadzieja podtrzymująca ich energię — łatwiej odnaleźć w przestrzeni międzygwiazdnej przemieszczający się obiekt, zidentyfikować go i wysłać w określonym kierunku pomoc, niż przeszukać cały sektor nieba usianego słońcami i planetami. Uchwycili się tej minimalnej szansy ocalenia z siłą, którą daje jedynie sytuacja krańcowej rozpacz, gdy nie ma już żadnego innego oparcia poza twierdzeniem, że ta odrobina szansy posiada cechy realne i może się jednak urzeczywistnić. Tak minęły trzy lata. Rakieta przemierzała przestrzeń Kosmosu, bez celu i możliwości zmiany kursu, bezbronna wobec sił panujących wśród gwiazd. Gdy przyciąganie planety uwięziło ich na orbicie satelitarnej, zmuszając w końcu do lądowania, nadzieja ostatecznie zniknęła pozostawiając gorycz i apatię.

— A Barten od tygodni siedzi w laboratorium, siedzi i oblicza! — mruknął ze złością Alex. — Oblicza, jakby to cokolwiek mogło nam pomóc, jakby jego liczenie zdołało skleić nowy reaktor, ekran i załatać ten raketowy wrak. Denerwuje mnie jego ślęczenie. Barten! — krzyknął w stronę korytarza. — Słyszysz?! I tak do końca życia będziesz jeść ślimaki! Do końca będziesz jeść trawę i ślimaki, bo niczego innego nie ma na tej parszywej planecie.

— Przestań! Twoje jęki przyprawiają mnie o szaleństwo! — powiedziała Anit. — Tak jak praca Bartena niczego nie zmieni, tak i twoje krzyki nic nie pomogą. Szczęście, że na planecie jest nadająca się do oddychania atmosfera i są chociaż te ślimaki. Przecież żywności już nie ma, reproduktor pokarmów jest zniszczony, a pokładowa plantacja chlorelli przestała dawno istnieć. Gdyby nie ta planeta, umieralibyśmy z głodu i patrzyłbyś może na mnie jako na smakowity kąsek.

— Nie jestem ludożercą — zamruczał. — Niepokoi mnie Barten. Od kilku dni jest dziwnie nerwowy, na pytania odpowiada bezsensownie i ręce mu się trzęsą. Wczoraj krzyczał przez sen. Zauważyliście jego wzrok?

Raklin, lekarz pokładowy, skinęła głową.

— Tak, to stadium głębokiego wyczerpania. Jego zachowanie się wskazuje na, hm,

jakby to powiedzieć — silną depresję psychiczną.

— Barten jest na skraju obłądzenia — powiedział Alex. — Nie jest normalny. Teraz zamknął się i nawet nie odpowiada na pukanie. Myślicie, że on w pracowni liczy lub pisze? Przeprowadza doświadczenia? Otóż Barten chodzi po pracowni, chodzi w kółko, chodzi po przekątnej, chodzi wzdłuż i wszerz, potrąca stoły, maszyny...

— Od dwóch dni niczego nie je — wtrąciła Anit. — Całkiem opadnie z sił.

Alex roześmiał się z przymusem.

— No, te ślimaki sił mu nie dadzą!

— Analiza wykazała, że są bardzo pożywne — powiedziała surowo Raklin. — Posiadają dużo łatwo przyswajalnego białka, tłuszcze i sole mineralne.

— To dlaczego ich nie jesz? Już całkiem wystygły, krztusisz się i zamykasz oczy przy przełykaniu.

— Kwestia przyzwyczajenia się — wyduła wargi. — Trzeba wymyślić rozmaite sposoby ich przyrządzania — robić z nich jakieś klopsiki, sznycle, zrazy...

Alex wzruszył ramionami i sięgnął widelcem w kierunku talerza. Przez chwilę przyglądał się z obrzydzeniem ugotowanej sporej małży.

— Ciekawe, skąd się wzięło to paskudztwo — powiedział obracając powoli widelec. — Żadnych innych form życia tutaj nie ma, tylko jakaś trawa i ślimaki. Żeby chociaż ryby, ptactwo, ale natura uparła się właśnie na ślimaki. Trafiliśmy na zbyt wczesny etap ewolucji, kulinarnie całkiem nieciekawym.

Anit patrzyła w szybę iluminatora. Różowe słońce planety oświetlało niedalekie wystrzępione góry, u podnóża których ciągnęła się pagórkowata równina, pokryta trawą o intensywnym kolorze fioleto. Gdyby nie zupełny brak drzew, inna barwa roślin, nieba i silniejsze pole grawitacyjne powodujące ociężałość ruchów, można by sobie wyobrazić, że znaleźli się znów na Ziemi, w ustronnym zakątku z dala od miast i dróg komunikacyjnych. Tutaj trzeba będzie żyć przymusowym, normalnym życiem, pełnym codziennych zabiegów, zbudować dom, uznać planetę za ojczyznę i do końca tęsknić za błękitną atmosferą Ziemi. Na szybie iluminatora pokazały się wiotkie czułki, leniwie obmacujące gładką powierzchnię. Potem w pole widzenia wpłynął duży ślimak, pnący się mozolnie po zewnętrznej ścianie rakiety. Wzdrygnęła się.

— Masz dreszcze? — zapytała Raklin.

— Ślimak — wskazała na iluminator.

Lekarka przygryzła wargi.

— Dajcie już spokój z tymi ślimakami. Mówmy o czym innym — powiedziała. — Zastanawiam się właśnie nad możliwością istnienia wysoko zorganizowanego życia w naszej Galaktyce. Teoretycznie rzecz ujmując winny się na jej obszarach znajdować istoty inteligentne, przewyższające ludzi wiedzą i doświadczeniem. Nasza penetracja Kosmosu doprowadziła co prawda do odkrycia tylko kilku, i to prymitywnych, form życia organicznego, lecz samo ich istnienie potwierdza słuszność teorii. Te ślimaki również ją potwierdzają. Czy nie powinniśmy zatem oczekiwać ewentualnego ratunku ze strony tych nie znanych nam istot? Znajdujemy się w całkowicie jeszcze nie zbadanym, odległym rejonie nieba, a w okolicy jest kilka słońc i spora grupa planet. Może na nich istnieje jakieś cywilizowane życie? Może nasza sytuacja nie jest aż tak beznadziejna?

Milczący dotychczas astronom Gort uśmiechnął się smutnie.

— Ta szansa jest równa zeru. Chcesz nas zapewne podnieść na duchu, rozumiem i doceniam szlachetność twoich intencji, ale ja lubię prawdzie spojrzeć prosto w oczy. Nawet tej najgorszej. Tylko bez złudzeń, bez złudzeń.

Z głębi korytarza dobiegł odgłos zbliżających się kroków. Podnieśli głowy. W drzwiach sterowni stanął Barten. Przyglądali mu się uważnie, ze źle maskowaną troską. Wychudła i pobrużdżona twarz biologa była jednak spokojna. Tylko zapadnięte, przekrwione oczy lśniły

nienaturalnie.

— Co za miły widok dla zgłodniałego człowieka! — roześmiał się cierpko Barten. — Uczta! Uczta ludożerców! Zresztą trzeba by to chyba inaczej nazwać, tylko jak? W naszym języku brak właściwego określenia na tę czynność, więc umownie niech się to nazywa ludożerstwem.

Usiadł przy stole i przysunął do siebie talerz. Przez chwilę patrzył w półmisek, potem odepchnął go ze wstrętem i odłożył widelec. Raklin poruszyła się niespokojnie i włożyła rękę w kieszeń laboratoryjnego płaszcza.

— Dlaczego nie jesz?

— Mam swoje powody.

— Nie rozumiem ciebie Barten — powiedziała. — Co masz na myśli mówiąc o ludożerstwie?

— Co mam na myśli? Wiecie czym, a raczej kim są te ślimaki? — wskazał na talerz. — Otóż są to potomkowie istot rozumnych, inteligentnych co najmniej w takim samym stopniu jak my.

Porozumieli się wzrokiem. Raklin wstała i podeszła do Bartena.

— Ciekawe — powiedziała. — Pozwól jednak, że na chwilę ci przerwę. W czasie gdy pracowałeś, wymyśliliśmy nowy napój wzmacniający — woda i trochę związków chemicznych. Spróbuj.

Skinął przyzwalająco głową. Wyjęła z kieszeni fiolkę i wsypała nieco pomarańczowego proszku do szklanki.

— Doszedłem do wniosku — ciągnął Barten mieszając płyn łyżeczką — że warunki panujące na tej planecie wpływają ujemnie na rozwój organizmów, degenerując je nadzwyczaj szybko. Po prostu jej pole grawitacyjne i elektromagnetyczne sprowadza życie biologiczne do form prostych, a w końcu całkowicie je unicestwia. W przypadku człowieka, już w piątym pokoleniu upodobni się on do czegoś być może bardzo zbliżonego właśnie do małży.

— Sądzisz, że jeżeli nie wydostaniemy się stąd, nasi potomkowie przybiorą postać ślimaka? — zapytał z powątpiewaniem astronom.

Barten kiwał potakująco głową i podniósł szklanekę do ust.

— Tak. To, co leży na talerzach przed nami — przełknął spory łyk napoju — jest szóstym lub siódmym pokoleniem jakichś istot, które tutaj przybyły i miały nieszczęście pozostać. Od jutra zabieram się do badania traw. Zauważyliście chyba, że są mięsiste i posiadają... ach, jestem potwornie zmęczony, ileż to dni nie spałem... tak, posiadają... posiadają... unerwienie...

Powieki Bartena trzepotały, przez krótką chwilę walczył jeszcze z gwałtowną falą senności, zanim głowa opadła mu na ramię.

— Śpi — powiedziała Raklin pochylając się nad biologiem. — Przenieście go do izolacji. Dam mu kilka zastrzyków uspokajających i wzmacniających system nerwowy. Potem zobaczymy, co dalej robić. Sądzę, że uda się go wyleczyć. To wczesne stadium.

Po dokonaniu zabiegów zostawili uśpionego Bartena w rakiecie, zamknęli włącz i poszli na rekonesans w kierunku gór. Astronom robił szkice terenu, Anit z Raklin pobierały próbki geologiczne, uzbrojony w miotacz promieniowy Alex ubezpieczał wyprawę. Przebyli już kilka kilometrów, gdy Anit wszedłszy na wzgórze krzyknęła. Podbiegli do niej.

W płaskiej dolince stał pojazd kosmiczny. W milczeniu patrzyli na przeżartą korozją, dziwaczną, niespotykaną konstrukcję, strzaskaną wybuchem ścianę boczną i ciemny otwór rozwartego włazu. Dookoła szumiały mięsiste, fioletowe trawy, na których żerowały ślimaki.

PRÓG PRYZSTOSOWANIA

— Waham się — powiedział Aref kładąc rękę na dźwigni. — To straszne, co mamy zrobić. Ostatecznie niczego o nich nie wiemy. Może to jakaś pomyłka...

— Nie mamy czasu na rozważania i sentymenty — twarz Gerona była blada i stonowcza. — Zrobiliśmy wszystko, aby wejść z nimi w porozumienie. Pomimo to unicestwili dwa statki międzyplanetarne. Tylko wrogie istoty, pełne niezrozumiałej nienawiści, mogły tak postąpić. Chyba rozpylenia rakiet w świecące chmury materii nie uznasz za akt przyjaźni w stosunku do ludzkości? Trzeba ratować układ solarny przed napaścią.

Na ekranie, na tle gwiazd, przesuwiał się obcy statek kosmiczny. Z olbrzymiej odległości, dzielącej go od krążownika międzyplanetarnego, wyglądał jak świecący punkt, szybko przemieszczający się na czaszy nieba. W rzeczywistości miał monstrualne rozmiary.

Aref gwałtownym ruchem wcisnął głowicę dźwigni w pulpit sterowniczy i opadł na fotel. To było takie proste. Jeden ruch, i reszta dokonuje się sama. Impulsy uruchomiły zespoły automatyczne, podzespoły kontrolne, mózgi elektronowe, które już obliczyły wszystko precyzyjnie i bezbłędnie.

Przygryzł wargi wpatrując się w ekran. Na zewnętrznym pokładzie ażurowa konstrukcja miotacza rozpoczęła swój ruch, celownik szuka tamtych po niebie, wyprzedza o kilka stopni, uwzględniając szybkość ich lotu, przygotowuje się do wysłania w obcy obiekt całego ładunku anihilacyjnego, wystarczającego na rozbicie, spalenie, zamienienie w gazowy obłok planety wielkości Marsa.

Wstrząs wcisnął ich głęboko w fotele. W następnej chwili przypadli do ekranu. Światlista, wrzecionowata smuga ładunku była już w połowie drogi, mknąc z szybkością przyświeclną ku obiektowi przybyszów. Śledzili jej bieg zaciskając palce na pulpicie.

Nagle tor jej lotu błyskawicznie się zakrzywił, aby po sekundzie, zakreśliwszy olbrzymie półkole w przestrzeni, pędzić już jako pęk ognistych smug z powrotem ku rakiecie.

— Start! — krzyknął Geron. — Start całym ciągiem!

Aref nacisnął włącznik. Gwałtowne przyspieszenie cisnęło ich w fotele rozplaszczając na pneumatycznych poduszkach. W skroniach pulsowało, ciemność napłynęła do oczu...

* * *

Aref poruszył się w fotelu. W uszach huczało, czarny deszcz pod powiekami powoli tracił na gwałtowności, zanikał, ustępował w głąb czaszki. Z trudem otworzył oczy.

Rakieta targała potężne wstrząsy, na pulpicie zapalały się i gasły całe sekcje sygnałów, salę wypełniał jęklivy dźwięk syreny. Powoli wszystko cichło. Tylko nad ekranem pulsował rubinowy sygnał alarmu i podzespoły połączeń ze stosem meldowały o przeciążeniach sieci chłodniczej.

Przewyciężając bezwład mięśni wyprostował się i spojrzał na zegary. Minęła jednak długa chwila, zanim zdołał odczytać i w pełni uświadomić sobie ich zapisy. Krążyli po niewielkiej orbicie, jakby po wewnętrznej ścianie niewidocznej, olbrzymiej kuli, zamkniętej dookoła rakiety. Przyrządy nieustannie wskazywały dużą radioaktywność otaczającego ich ośrodka i natężenie pól elektromagnetycznych grożące spaleniem pancerza, nieuchronną katastrofą, gdyby usiłovali je naruszyć. Automat sterowniczy samoczynnie ustalił kołowy kurs rakiety, jako jedyny możliwy w tej sytuacji.

Aref wyłączył główny reaktor, wcisnął sekcję dysz hamowniczych i spojrzał na ekran.

Gwiazdy przybladły, jakby zasnuła je delikatna mgła. Z głębi przestrzeni międzygwiazdowej nadlatywał obcy statek kosmiczny. Przypominał teraz gruby, widziany z boku dysk.

Geron westchnął i poruszył się w fotelu. Długo przecierał przekrwione oczy.

— Udało się — wymamrotał utkwivszy wółprzymotny wzrok w Arefa. — Mogło być z nami krucho.

Na ekranie statek przybyszów miał już rozmiary ziarna fasoli.

— Nic się nie udało — powiedział Aref. — Nadlatują.

Tamten chwiejnym krokiem podszedł do ekranu i wsparty o pulpit patrzył ponuro.

— Jesteśmy zamknięci jak mucha pod kloszem. Dookoła krążą pasy i pola: radiacyjne, elektromagnetyczne i nie wiadomo jeszcze jakie. O wydostaniu się nie ma mowy.

— Trzeba powiadomić Ziemię — powiedział Geron.

Aref wyciągnął rękę ku gałkom telewizofonu. Na niewielkim ekranie aparatu rozpryskiwały się iskry i krzywe wyładowań tworząc mozaikę rozbłysków. Głośnik krztusił serie trzasków i gwizdów.

— Ziemia, Ziemia — wywoływał Aref — tu Meteor...

Przerwał. Ze zdumieniem zobaczył w telewizofonie, pośród rozbłysków zakłóceń, własną, wykrzywioną twarz. Głośnik jak echo charczał wyrazy:

„...Ziemia, tu Meteor...”

Otarł pot z czoła i sprawdził stację. Nie była zepsuta, zegary kontrolne wskazywały pełną sprawność aparatury. Ponowił próbę. Znowu ujrzał swoją twarz, odbitą w ekranie jak w lustrze. Spojrzał na Gerona.

— Spokojnie, Aref — powiedział tamten obserwując uważnie ekran i rzędy zegarów na pulpicie. — Właściwie należało się czegoś podobnego spodziewać. To nadzwyczajne! Ale jeżeli potrafili zagiąć tor wysłanego ku nim ładunku anihilacyjnego, skierować go z powrotem i stworzyć z niego kulistą klatkę więżąc nas w jej środku, to mogli również zakrzywić w niej inne rodzaje fal.

— Sądysz, że jesteśmy otoczeni własnym ładunkiem promienistym?

Geron skinął twierdząco.

— Niestety tak, a raczej produktami jego rozpadu. Możemy nawet w przybliżeniu obliczyć wielkość naszej klatki znając szybkość nadanych fal i czas ich powrotu. Możemy określić przypuszczalną grubość otaczających nas pól oraz ich natężenie, znamy bowiem wielkość wystrzelonego przez miotacz ładunku. Ale to nie jest ważne. Ważne jest, że zamknęli nas i nic złego nam się nie stało. Niewątpliwie mogli nas unicestwić. — Zawahał się. — Może jednak nie mają złych zamiarów, o które ich podejrzewamy?

Aref spojrział z ukosa w jego stronę, twarz uczonego nosiła wyraz zadumy i niepewności, palce wystukiwały nerwowy rytm na poręczu fotela.

— Słuchaj, Geron! Zanim uruchomiłem miotacz, twierdziłeś coś wręcz przeciwnego. No to dlaczego zamienili statki międzyplanetarne w atomowy puch? Z przyjaźni?

Geron wzruszył ramionami i zmarszczył brwi — wspomnienie niedawnej rozmowy z pilotem było przykre.

— Zaistniały nowe fakty, Aref. Jestem zmuszony do zrewidowania poprzedniego stanowiska — przyznał niechętnie. — Zastanawiam się właśnie, czy oni te statki zniszczyli. Jak sądzisz, co Ziemia wie w tej chwili o nas, jak nas widzą przez teleskopy, radioteleskopy i inne urządzenia? Łączność została gwałtownie przerwana, a w miejscu, w którym byliśmy, świeci olbrzymia kula radiacji. Więc?

— Uczcili nas minutą milczenia — burknął Aref.

— Właśnie — przytaknął Geron. — Prawdopodobnie tak samo pogrzebaliśmy przedwcześnie naszych poprzedników, którzy być może siedzą teraz jak i my w klatkach stworzonych z własnych ładunków.

— Przecież oni nie mieli wmontowanych miotaczy — przerwał mu Aref.

Geron milczał.

— Rozumiem — powiedział powoli pilot. — Więc jednak je mieli.

— Czy wysłałbyś ich na spotkanie nieznanymi istotami bez jakiegokolwiek zabezpieczenia?! Skąd można wiedzieć, kto nadlatuje, jakie ma projekty, zamiary? Na planetach układu słonecznego żyje ponad dziesięć miliardów ludzi i rozwija się wspaniała cywilizacja.

Milczał przez chwilę.

— Musieliśmy zachować wszelkie środki ostrożności. To było konieczne, więcej, to było naszym najwyższym obowiązkiem. Nie rozumiem jednak, w jaki sposób mogło dojść do konfliktu? Byli tam przecież uczeni, dowódcy mieli ściśle naukowo wytyczony program działań. Od nadawania prostych wzorów matematycznych aż do symbolów pojęć... Może fale radiowe ich rozdrażniły? Coś im się przez nie zepsuło? Ostatecznie nie wiemy, jakiej te istoty są struktury. W każdym razie musieli wystąpić z jakimś wrogiem aktem i nasi użyli miotaczy.

— Może obecność ładunków promienistych w raketach parlamentariuszy poczytali już za wrogi akt? — wtrącił Aref.

— Może, chociaż wątpię w to. Ostrożność z naszej strony jest w pełni zrozumiała dla każdej myślącej istoty. Ostatecznie to my zamieszkujemy planety dookoła Słońca i mamy prawo do zabezpieczenia się.

Umilkł i patrzył na ekran.

Statek nieznanymi istotami zbliżał się z wielką szybkością, potężniał, można już było dostrzec większe szczegóły jego powierzchni. Miał nadal jeszcze kształt dysku, lecz jego ściany nie były gładkie. Przypominał monstrualnie olbrzymią stację kosmiczną z mackami wież i masztów, narodził rozmaitych kształtem kopuł, które obsiadły jego boki przytrzymując siatki odległych anten.

— Kolos — mruknął Geron. — To właściwie sztuczny glob.

Obserwowali obiekt przez długą chwilę.

— O czym myślisz? — zagadnął Aref.

— O tym, że ich widzę.

— Słuchaj, Geron — powiedział Aref ze złością. — To, że jesteś członkiem Rady Układu Solarnego, i w dodatku wielkim uczonym, powinno cię zobowiązywać do grzeczniejszych odpowiedzi.

Geron nie oderwał wzroku od ekranu.

— Nie chciałem cię urazić — mruknął. — Naprawdę myślę o tym, że ich widzimy, a raczej, jak to się dzieje?

— Sądzę, że po prostu fale z zewnątrz dostają się bez trudu do naszej pułapki, natomiast...

— ... fale z naszej kuli nie wydostają się, lecz krążą po orbicie kołowej i odbijają się — dokończył Geron. — Z tego wynika, że my ich widzimy, ale oni nas nie widzą, a raczej widzą otaczający nas obłok rozpadającego się ładunku promienistego. Dalej, każda wiązka fal zewnętrznych, jeżeli zdoła wpaść do naszej pułapki, podlega również zagięciu. Stąd wniosek, że obecnie zupełnie nie wiemy, w którym miejscu znajduje się ich statek. Widzimy go na ekranie przed sobą, lecz ponieważ fale uległy nie wiadomo jak wielkiemu zakrzywieniu w przestrzeni, faktyczne jego położenie jest zupełnie inne.

— To może być prawdą — zgodził się Aref — nie rozumiem jednak, do czego zmierzasz?

— Do tego, że te istoty najprawdopodobniej zakpiły sobie z nas wszystkich. Zapewne pokładają się ze śmiechu na wspomnienie fajerwerku, jaki urządziliśmy, i jeszcze bardziej będą się śmiać za kilkanaście minut, gdy przemówią baterie miotaczy z Luni i Ziemi. Tam, w narożniku ekranu, widzisz Ziemię. To znaczy, że fale z niej docierają tutaj. W telewizofonie nie możesz jednak odebrać ani wizji, ani fonii. To jeszcze jeden dowód, że oni potrafią zagiąć w przestrzeni wszelkiego rodzaju fale i operacja taka nie sprawia im specjalnej trudności. Zmylili nas, zmylili nasze przyrządy. Bombardowaliśmy pustą przestrzeń, podczas gdy oni znajdują się prawdopodobnie w zupełnie innej stronie nieba, a może są już poza naszym

układem.

Geron wstał i zaczął się przechadzać po kabinie nawigacyjnej.

— W ich pojęciu jesteśmy chyba bardzo dzicy — powiedział cicho Aref. — Nawet nie zechcieli nawiązać łączności, żadnego kontaktu, nie przejawili minimalnego zainteresowania naszą kulturą, cywilizacją... To — dodał z zażenowaniem — to jest bardzo upokarzające. Lecz skąd mogą wiedzieć, jacy jesteśmy?! Jakie mamy osiągnięcia?

Geron wzruszył ramionami.

— Nie wiem. Społeczeństw na naszym stopniu rozwoju może nie być wcale w Kosmosie, a równie dobrze może ich być wiele. Mogli ich widzieć setki, tysiące... Może dlatego nie są nas ciekawi. Nauczyli się je rozróżniać. Widocznie posiadamy jakieś cechy charakterystyczne, ułatwiające zaklasyfikowanie nas do którejś z grup.

— Cechy, cechy charakterystyczne — powiedział ze złością Aref. — Fantazjujesz. Jakie charakterystyczne cechy można dostrzec z odległości milionów kilometrów? Nawet gdyby oparli się na stanie technicznym naszych statków międzyplanetarnych, to jeszcze niewiele, cząstka zaledwie wiedzy o nas.

Geron uśmiechnął się.

— W tej olbrzymiej skali taka cząstka wiele znaczy. Ale są jeszcze inne możliwości rozpoznania — etapy ewolucji. Znamy te, które przebyliśmy — wspólnota pierwotna, niewolnictwo, kapitalizm... Albo — życie w hordzie, w plemieniu, koczownicze, osiadłe, urbanizacja...

Niewątpliwie ewolucja ma jakiś dalszy ciąg, przybiera kształty inne, nam jeszcze nie znane. Możemy je podejrzewać, przeczuwać zaledwie. Może jest nim życie na jednej planecie, życie na planetach układu, a dalej — życie w przemierzających Kosmos statkach-miastach, sztucznych globach? Może to jest właśnie miarą? Ten ich obiekt ma średnicę połowy Luny! Sądzę — dodał z westchnieniem — że gdy się nałęczycie oddalą, uwolnią nas z tej dziwnej klatki.

Milczeli.

Na ekranie przesuwał się powoli olbrzymi obraz sztucznego globu przybyszów.

ZIELONA, PRZEKŁĘTA WYSPA

Najpierw ukazały się czuby palm wyrastające jakby wprost z oceanu, a dopiero później, po długim czasie, płaski dysk wyspy obramowany otokiem plaży. Ert stał w pontonie i śmiał się. To było ocalenie. Nie czuł już palenia spękanej skóry i żaru tropikalnego słońca, którego obecność na niebie budziła nienawiść bezsilną, trwającą aż do zmierzchu. Dni błąkania się po oceanie, ich koszmar, odchodziły w niepamięć, stawały się czymś nieważnym, mało istotnym.

Wyspa była nieduża, otaczały ją koralowe rafy, na których huczał ocean białą linią pian i wirów. Ert nie czuł jednak obawy — ratunkowy ponton prześlizgnie się przez byle przesmyk, a takich musiało być wiele. Nie martwił się również, że wysepka może być nie zamieszкана. Przypuszczał nawet, że tak właśnie jest. Raczej dziwne byłoby spotkanie ludzi. Lecz robota spotka na pewno. Tylko na samotnych, odległych rafach, omywanych stale falami, nie było dozorczy, tutaj musiał być, tak jak wszędzie, na wszystkich wyspach Ziemi.

Rozpiął mały żagiel i usiadł. Przy całym pechu miał jednak odrobinę szczęścia. Właściwie wszystkiemu winne były stacje pogody. Gdy jedna ma awarię, inne całkiem nie mogą sobie poradzić z temperaturami i wilgotnością. Oczywiście Pacyfik to nie jakieś bajoro w rodzaju Bałtyku czy Morza Śródziemnego, ale dopuszczenie do powstania cyklonu stanowiło chyba grubsze niedopatrzenie. Tego był pewien. Wyłynęli jachtem na krótki, kilkudniowy zale-

dwie rejs przy korzystnym planie pogody. Cyklon zaskoczył ich niespodziewanie. Musiał przyznać, że ponosili też część winy nie słuchając komunikatów, lecz pogodę układa się przecież na dłuższe okresy. Zresztą, obliczył, nie miałoby czasu na szukanie schronienia — jacht żeglował po pustynnych obszarach Pacyfiku, a najbliższe wyspy leżały w odległości tysiąca kilometrów. Mogliby jednak podjąć próbę ucieczki, zejścia z drogi oku cyklonu. Ert starał się nie myśleć o towarzyszach. Był pewien, że zginęli wraz z jachtem. Po katastrofie nikogo nie dostrzegł, zresztą trudno było cokolwiek zauważyć wśród walących o ponton gór wodnych. Zamknął się w nim i przywarł do okienka. Ponton koziółkował, trzeszczał pod uderzeniami fal i huraganu, ale wytrzymał. Nie wytrzymała jednak radiostacja. Gdy po kilkunastu godzinach odzyskał przytomność i podczołgał się do niej, na próżno manipulował włącznikami. Dopiero później odkrył głębokie wgniecenie obudowy. Uderzył w nią filtr wody, chociaż trudno to było sobie nawet wyobrazić, gdyż zamocowany był z przeciwległej strony pontonu. Nie starał się wyjaśnić tej zagadki — sytuacje podczas jego omdlenia na pewno nie należały do zjawisk typowych, które mogli przewidzieć konstruktorzy.

Filtr jednak ocalał. Pomimo uszkodzenia destylował dwa litry wody na dobę, co było dawką mogącą zaspokoić w tych okolicach pragnienie jednego człowieka. Przypadek ten Ert określił jako szczęśliwy pech — gdyby filtr się zepsuł, a radiostacja pozostała nienaruszona, odnalezionoby go w kilka najwyżej godzin. Przez kilkanaście dni dryfowania po oceanie nieraz wyobrażał sobie dyskolot zakreślający coraz ciaśniejsze kręgi, w których centralnym punkcie skacze na falach pulsujący sygnałem ponton.

Rzeczywistość jednak nie skłaniała do marzeń, raczej żywnościowe kończyły się, aż nadszedł moment, gdy zmuszony był otworzyć puszkę z pokarmem w tabletkach. Przedtem próbował łowić ryby. Odtwarzał w pamięci sceny z widowisk fantomowizyjnych, których tematem było morze i dawni ludzie, zwani rybakami. Zrobił nawet haczyk na wzór oglądanego kiedyś w muzeum. Podobnie jak tamci, widziani na ekranie lub w wyobraźni, wbił ostry koniec w przynętę i wyrzucił na lince za burtę. Niczego jednak nie złowił. W końcu zaprzestał prób, nie chcąc marnować resztek żywności. Przeważnie leżał w cieniu kabiny i patrzył bezmyślnie w niebo. Czasem dobiegał do niego huk przetaczający się nad oceanem. Wysoko, niewidoczne dla wzroku, przelatywały międzykontynentalne rakiety. Oczywiście nie mogły go zauważyć. Nie łudził się nawet.

Wyspa była coraz bliżej. Silny prąd unosił ponton ku białej barierze pian kłębiących się na rafach. Wstał i spoglądał uważnie: tak jak przypuszczał, w skałach było wiele przesmyków. Zwinął żagiel i zaczął wiosłować. Niewiele to pomagało, prąd niósł go jednak wprost ku szerokiej bramie między rafami, wystarczyło zatem utrzymywanie pontonu w głównym nurcie, aby wpłynąć na spokojne wewnętrzne wody. Gdy już poza nim pozostał huk kipieli, rzucił wiosło i odpoczywał patrząc na zbliżający się brzeg. Kilka chwil pracy przy wiosle przypomniało mu, że jest wycieńczony, zgłodniały, o spękanej skórze.

Ponton dopływał do przylądka wybiegającego łukiem w morze. Ert zauważył połamane drzewa i ślady fal, które wdarły się głęboko we wnętrze lądu. Cyklon nie oszczędził tej okolicy. Dno pontonu zachrobotało na koralowym piasku. Wyszedł utrzymując z trudem równowagę. Potem wyciągnął ponton na brzeg i runął w cieniu pierwszej palmy.

Gdy osłabienie minęło, przełknął tabletkę i napił się wody. Należało zaczekać kilka minut, aż powrócą siły. Robot, jeżeli dostrzegł nadpływający ponton, także mógł się zjawić każdej chwili. Mijały minuty, kwadransy...

Ert włożył sandały i podpierając się wiosłem poszedł szukać robota. Ze złością pomyślał, że gdyby posiadał osobiste drobiazgi, mógłby go przywołać bez krążenia po wyspie. W katastrofie stracił jednak wszystko. Gdy dotarł do linii drzew, przystanął.

— Robot! Robot do mnie! — krzyknął.

Nasłuchiwał chwilę. Panowała cisza maćona jedynie szelestem palmowych liści i odległym huczeniem przyboju. Poszedł dalej. Przy pierwszych drzewach zahaczył nogą o walają-

ce się po ziemi druty, nieco dalej leżały plastikowe słupy, przygniecione koroną złamanego drzewa. Coś zaszeleściło w gąszczu. Przystanął. Szelest powtórzył się, jakby bliższy. Potem poprzez brzęczenie owadów dobiegł go głos inny — słaby pisk. Między płataniną gałęzi pełzło jakieś stworzenie. Rozgarnął liany, aby lepiej je widzieć, i cofnął się z obrzydzeniem. Zwierzę, wielkości królika, pokrywała sparszywiata sierść, zlepiona śluzem wydzielanym przez liszaje toczące skórę. Tylne łapy wlokło bezwładnie za tułowiem, obrzmiałym, pełnym okaleczeń. Wyczuwając czyjaś obecność, zwierzę zwróciło ku Ertowi łeb. Poszedł szybko dalej, z trudem opanowując mdłości.

— Robot! Robot do mnie! — krzyknął ze złością.

Gąszcz krzewów i drzew przerzedzał się. Wyszedł na skraj skalistej polany, opadającej ku dalekim, błękitnym wodom zatoki. Rozejrzał się mrużąc oślepione słońcem oczy. Polanę pokrywały dziesiątki szarych budowli, przypominających sześciany, graniastosłupy, piramidy ścięte i schodkowe. W niektórych miejscach stały rzędami, w innych rozrzucone były bezplanowo, tworząc chaos form i kształtów. Ocenił, że najwyższa z nich nie przekraczała trzech, czterech metrów wysokości.

— Robot! Robot do mnie! — zawołał przykładając dłonie do ust. Po chwili z dużej odległości dobiegł jękliwy dźwięk sygnału. Usiadł. Czekał obserwując daleką zatokę. Nie bez zdziwienia stwierdził, że przez piaski plaży biegnie linia drutów, tworząc przeszkodę zagrażającą dostęp ku wodzie. Robot zbliżał się nadzwyczaj szybko. Jego sygnał brzmiał nieprzerwanie, coraz głośniejszy, nieprzyjemny dla ucha. W tonacji dźwięków było coś niepokojącego. Ert zerwał się z ziemi. Spośród gąszcza palm, porastających przeciwległą stronę polany, wypadł robot. Automat wył, z najwyższą szybkością gąsienicowych bieżni sunął między piramidami, zostawiając za sobą chmury pyłu.

Ert patrzył zdziwiony. Była to maszyna niespotykanego typu, nigdy jeszcze takiej nie widział, chociaż, im dłużej się jej przyglądał, nie był tego zupełnie pewny. Ostatecznie mógł ją oglądać kiedyś dawno, zapewne na jakimś seansie... Automat specjalistyczny dla prac archeologicznych? Tak, teraz już był prawie pewien, że model ten widział na filmie dotyczącym zabytków, muzeów... Sygnał zamilkł i robot zahamował gwałtownie w odległości kilkunastu metrów. Ert postąpił ku niemu. Automat cofnął się i zawył ostrzegawczo.

— Wyłącz syrenę! — wrzasnął Ert ze złością. — Jaki model? Nie umiesz się zameldować?

— Uciekaj natychmiast! — krzyknął robot. — Masz natychmiast opuścić wyspę!

Ert zatrzęsł się z irytacji.

— Ty mi będziesz rozkazywać, mechanizmie?! Chyba masz uszkodzenie...

— To stare cmentarzysko odpadów radioaktywnych! — krzyknął robot. — Uciekaj stąd! Za rafy! Dostałeś tyle rentgenów, że z trudem ciebie ocala. Pomoc nadleci za trzydzieści minut.

Ert rzucił się do ucieczki. Kolczaste gałęzie rwały odzież, darły skórę, chłostały twarz. Nie czuł bólu. Przedzierał się ku plaży, padał, podnosił się... Serce rozsadzało mu pierś, z wysiłkiem łapał powietrze. Błękitny brzeg był coraz bliżej. Runął, zaplątawszy stopę w leżące na ziemi druty. Nie mógł się podnieść. Pełznął z trudem przez plażę, padał twarzą w gorący piach i czołgał się dalej. Z tyłu dochodził głos sunącego za nim robota. Zrozumiał tylko, że musi się wykapać i odpłynąć na morze, za rafy, jak najdalej. Przewyciężając potworne zmęczenie chwycił burtę pontonu i mozolnie, centymetr po centymetrze, zaczął go spychać na wodę.

CIEPŁO, CIEPŁO, CORAZ CIEPLEJ

Piętra gmachu pulsowały. Studnie klatek schodowych przynosiły stłumiony odgłos pracujących na dolnych kondygnacjach maszyn; na trzydziestym ósmym piętrze był on tylko szmerem, rytmicznym, powtarzającym się kadencjami tonacji, będącym dla obcego właściwie ciszą. Ross jednak wiedział, wyszedłszy na korytarz, że tam w dole włączono chyba cały mózg elektronowy, zajmujący podziemia i kilka wyższych pięter. Rozpoznawał to delikatne brzęczenie, przypominające odgłos dalekiego roju drobnych owadów, unoszących się wieczorem nad trzcinami. Dochodziło ze wszystkich stron, tak jakby nasiąknęły nim mury, plastikowe wykładziny ścian, każdy sprzęt w gabinetach i laboratoriach. Zatrzymał się na chwilę i wsparty o balustradę słuchał tego odległego, a przecież otaczającego go zewsząd szmeru prądów, przenikających zespoły lamp, kryształów, półprzewodników, w których gąszczu nie mógłby rozeznąć się nikt z obsługi bez pomocy automatów kontrolujących.

Ross wszedł do windy. Na skali zapalały się numery mijanych kondygnacji. Patrząc na ich pulsowanie, rozbłyski i gaśnięcia, usiłował zapomnieć o pracy pozostawionej na biurku, skierować myśli na tory dociekań ludzi zatrudnionych na piętnastym piętrze. Właściwie nic go z nimi nie łączyło. O stycznych pomiędzy zajęciami konstruktora maszyn automatycznych a zainteresowaniami inżynierów, badających od niedawna impulsy współistniejące autonomicznie w zaprogramowanych już urządzeniach, decydują nie wspólne cele, lecz rozbieżności. Nie była to korzystna sytuacja dla nawiązania miłych kontaktów. Praca tamtych z piętnastego piętra w gruncie rzeczy była sprawą odrębną, autonomiczną jak prądy, które badali. Nie była także oparta na sprawdzalnym w pełni doświadczeniu, lecz raczej na teoriach, a więc podstawie dość kruchej jak dla powstania całego oddziału interesującego się prawie wszystkim. Teorii zresztą było mnóstwo, rozmaitych, niekiedy zgoła fantastycznych, stąd też między pracownikami instytutu a tymi z piętnastego piętra trwał antagonizm, wyrażający się obustronną tolerancją zaledwie, uprzejmością raczej towarzyskiej niż naukowej natury.

Zaproszenie było jednak przesłane w trybie nagłym. Ross przyglądając się rozbłyskom cyfr na tabliczce zastanawiał się nad wezwaniem, które zmusiło go do porzucenia projektu automatu przeznaczonego dla marsjańskich kopalń.

Sprawa musiała być pilna, nie cierpiąca zwłoki, jeżeli Nort zdecydował się na tego rodzaju krok. Cokolwiek złego można było powiedzieć o Norcie, to jednak nikt zarzucić mu nie mógł braku poszanowania dla cudzego czasu, zajmowania innych bez jakiegokolwiek istotnej przyczyny swoimi problemami.

Ross opuścił kabinę. Na piętnastym piętrze szum pracującego mózgu elektronowego był głośniejszy, korytarzami przemykali się asystenci niosąc sterty wykresów i teczek, z laboratoriów dochodziły odgłosy rozmów. Ten niecodzienny ruch był co najmniej zastanawiający, zazwyczaj panowała tutaj cisza, jak zresztą i w innych częściach gmachu, w których spotkanie człowieka należało raczej do rzadkości. Praca oddziałów odbywała się za drzwiami laboratoriów połączonych siecią korytarzy wewnętrznych, zresztą najczęściej kontaktowano się drogą wizofoniczną, szybszą i mniej uciążliwą.

Nort nie był sam, dwa ekrany zajmowali — szef lotów wewnątrzukładowych Xartori z raketodromu Luny i Martletti, kierownik marsjańskiej stacji nasłuchu i łączności kosmicznej. Ross skinął głową na powitanie i usiadł w fotelu. Tocząc się rozmowę przerywały pauzy charakterystyczne dla telewizyt wewnątrzukładowych. Zwłaszcza na odpowiedzi Martlettiego trzeba było czekać kilka minut, Mars znajdował się w niezbyt odległym od Ziemi punkcie swojej orbity.

— Więc wyposażone są już obydwie rakiety? — upewniał się Nort pochylony nad stołem testów maszyny matematycznej. — No, jeżeli tak się sprawy przedstawiają, proponował-

bym wstrzymać ich loty, nawet próbne, aż do wyjaśnienia zjawiska.

Po chwili twarz Xartoriego przecięła głęboka zmarszczka. Kierownik kosmodromu na Lunie nie ukrywał swojego niezadowolenia.

— To mi psuje cały rozkład startów — mruknął. — Nort, pan sobie chyba nie zdaje sprawy, że u mnie co dziesięć minut opuszcza wyrzutnie jakaś rakieta! Dla próbnych lotów „Atlasa” i „Kleo” musiałem i tak cały plan poprzewracać. Przecież to kolosy! Cały kosmodrom musi być w tym momencie wolny, a na opuszczone miejsca czekać będą: statek z Wenus, który muszę przyjąć, bo ma przeciek reaktora, i rakieta zaopatrująca sondy kosmiczne. No, ta ostatnia może czekać na orbicie, ale po niej zaraz nadejdą transportowce z Ziemi. Stworzy się paskudny korek.

— A lotnisko awaryjne?

— Od dwóch tygodni w remoncie. Siadał tam jeden szczeniak, świeżo po kursie, i jak dmuchnął dyszami, to mi o mało schronów nie przepalił. Zresztą to, co pan mówi, nie wykracza poza sferę podejrzeń, niezbyt wierzę w tę całą historię. Rozszyfrował pan tylko kilka wyrazów. Kiedy będzie reszta?

— Moi ludzie pracują nad tym — mruknął Nort nie przestając wertować testów. — Uruchomiłem główny mózg elektronowy instytutu, nie powinno to zatem trwać zbyt długo. Ma pan łączność z załogą „Ziemianina”? — zwrócił się do Martlettiego.

Przez kilka minut panowała cisza. Szeleściły papiery, wbiegł asystent z plikiem obliczeń, rzucił je bez słowa na biurko i zniknął za drzwiami unosząc z sobą sprawdzone testy. Ross nie przerywał milczenia, starając się wywnioskować, o co Nortowi chodzi. „Ziemianin” wyruszył już przed rokiem: kosmolot pierwszej klasy, długości czterystu metrów na osi, nie wliczając w to dysz, miał zadanie dotarcia w rejony odległe o kilka lat świetlnych. Była to rakieta prototypowa, wyposażona w najnowocześniejszą aparaturę automatyczną, której zespoły tworzyły organiczną całość, przystosowaną do samodzielnego kierowania statkiem nawet w najgorszych warunkach lotu. Urządzenia podporządkowane centralnemu mózgowi elektronowemu, zdolnemu do samonaprawy w razie awarii którejkolwiek części rakiety, stanowiły efekt pracy Rossa i jego współpracowników. Tak uniwersalny pojazd gwiazdowy po raz pierwszy opuścił Ziemię, unosząc na pokładzie dwudziestu kilku członków załogi. „Czyżby jakiś defekt?” — niepokoił się Ross. Na szlakach wśród gwiazd może się zdarzyć wiele rzeczy, których przewidywanie wykracza poza możliwości budowniczych automatów. Nie chciał jednak pytać, jego stosunki z Nortem były stale napięte, odkąd tamten postulował zaczął pewne rozwiązania konstrukcyjne, starając się je przybrać w formę obowiązujących praw. Wreszcie z Marsa nadeszła odpowiedź i Ross odetchnął z ulgą.

— Mamy stałą, normalną łączność z „Ziemianinem” — stwierdził Martletti. Na ekranach widać było, jak wyłącza informator bazy nasłuchu. — Kosmolot znajduje się na zaplanowanym kursie. Oczywiście ich komunikaty docierają do nas w dużych, stale powiększających się odstępach czasu, z opóźnieniem wynoszącym obecnie około dwóch trzecich roku.

— Oni wszyscy hibernują czy też mają dyżury? — w głosie Norta brzmiał jakby niepokój.

Odpowiedź nadeszła po trzech sekundach z Luny. Cała załoga „Ziemianina” znajdowała się w komorach snu, a wiadomości wysyłał mózg elektronowy kierujący rakieta. Niedługo zresztą i ta łączność miała ustać, wydatek energii na jej podtrzymanie był olbrzymi, niewspółmierny do wagi uzyskiwanych wiadomości, jak również w stosunku do zużycia obciążonych zespołów pokładowej stacji.

— Kosmolot będzie co pół roku wysyłać kilka krótkich, ale silnych sygnałów — odezwał się Ross. — To pozwoli zorientować się w jego położeniu wśród przestrzeni. Dyżury nie są potrzebne, takie zresztą były założenia projektowe, pełna automatyka rakiety zapewnia załodze maksymalne bezpieczeństwo...

— Więc jesteśmy skazani wyłącznie na informację ich mózgu pokładowego?

— Oczywiście. Nie widzę w tym zresztą nic dziwnego. Co się tutaj właściwie dzieje, Nort? Stało się coś złego?

Nort podniósł głowę znad wykresów i wpatrywał się w ekrany wzrokiem, który chyba niczego nie dostrzegał. Brzęczenie pracujących w głębi gmachu urządzeń panoszyło się wśród szaf i aparatury, wypełniając ściany gabinetu, wyraźne i jakby bliższe. Nort wyglądał jak człowiek nasłuchujący, czekający na sygnał lub kroki mogące zabrzmieć w każdej chwili. Drgnął i uśmiechem starał się zatrzeć krótki moment roztargnienia.

— Podejrzewam — mówił powoli, Rossowi jednak nadal wydawało się, że tamten nasłuchuje — podejrzewam przekroczenie progu komplikacji i pewne zindywidualizowanie się, nie wiadomo jeszcze jakiego stopnia, urządzeń „Ziemianina”. Podobne zjawisko może wystąpić w kosmolotach identycznie wyposażonych. Prądy samowzbudzone pozostawiły, zdaje się, pewien ślad...

Ross był zawiedziony, również twarz Xartoriego po trzech sekundach przybrała na ekranie wyraz skrywanego znużenia. Ross obserwował drugi wizofon, pewny, że za kilka minut również i Martletti uśmiechnie się uprzejmie, maskując zniecierpliwienie i nudę. Prądy autonomiczne, samowzbudzone — ci z piętnastego piętra prawie oszaleli na tym punkcie, może nawet w większym stopniu niż sam Nort. Na byle robota patrzyli podejrzliwie, a jakikolwiek nowy schemat mózgu elektronowego, nie wspominając już o prototypie, był obiektem dociekań i badań tak pracochłonnych, że stanowiły temat nieustannych żartów i plotek w całym gmachu. Zjawisko prądów autonomicznych nie pretendowało do odkryć najnowszych, znane było od dziesiątków lat i Ross nie mógłby nawet powiedzieć, kto się nim pierwszy bliżej zainteresował. Każdy automat typu mózgu elektronowego, od pewnej, określonej zresztą, wielkości, wytwarzał wewnątrz swych cewek, zwojów, lamp, całej tej gmatwaniny oprzyrządowania, prądy śladowe istniejące samodzielnie, niezależnie od impulsów wprowadzonych testem. Krążyły w maszynie nawet po jej wyłączeniu, nikłe, ledwo wykrywalne, mające swoje źródło w nagromadzonych licznych metalowych częściach, różnorodnych stopach połączonych ze sobą tysiącami kilometrów przewodów, wytwarzających właśnie ów leniwy obieg prądów. Ale ostatecznie najzwyczajniejszy zwój kabla po pewnym czasie ulega naładowaniu, o czym wie każdy, nawet mało kwalifikowany elektryk. Prądy te jednak, zwłaszcza ich autonomia, pasjonować zaczęły uczonych typu Norta, szczególnie od chwili, gdy stwierdzono, że teoretycznie rzecz ujmując, każde zadanie, wprowadzone do mózgu elektronowego będącego w stanie spoczynku, może być przez maszynę rozwiązane po pewnym długim okresie. Istnienie prądów śladowych w pełni wyjaśniało ten problem i raczej dziwić by się należało, jeśliby nie uzyskiwano podobnych efektów utajonej działalności maszyny. Stwierdzenia te nie mogły oczywiście zadowolić uczonych, próby i doświadczenia potoczyły się normalnym trybem i wszystko byłoby dobrze, gdyby niektórzy z nich nie wysunęli przypuszczeń co do tak zwanego „drugiego cyklu” maszyn, działalności toczącej się samodzielnie, niezależnej od algorytmu, testów, programów, a istniejącej równoległe poza środkami obserwacji i kontroli.

Słuchając wywodów Norta, Ross nabierał coraz większej pewności, że u podstaw nagłej narady leży jakieś zjawisko w rodzaju tych, które już dawniej w tej gałęzi wiedzy wywoływały krótkotrwałe sensacje, okazujące się po bliższym zbadaniu mylnym tropem lub w najlepszym wypadku odkryciem nie mającym żadnego praktycznego znaczenia.

— Już kilka lat temu wysunęliśmy wniosek — głos Norta stał się nagle dźwięczniejszy — aby dzielić duże mózgi elektronowe, zwłaszcza te, które posiadają spory zasób informacji, na odrębne zespoły wyłączane, każdy z osobna, po pracy urządzenia. W przypadku „Ziemianina” odstąpiono zupełnie od tej zasady, cała rakieta stanowi właściwie jeden duży mózg elektronowy, działający stale, o niespotykanym stopniu samodzielności, nawet w sensie dokonania jakiejś przebudowy wewnętrznej, a załoga jest jakby dodatkiem — nie uczestniczy, szczególnie podczas hibernowania, w jego pracy. Jest podporządkowana absolutnie maszynie.

— Chwileczkę, Nort — Xartori był zaintrygowany. — Czy mam to rozumieć w ten sposób, że duża ilość informacji, zawartych w pamięci automatu, stwarza niebezpieczeństwo dla załogi? Powoduje jakąś, hm, indywidualizację rakiety? Jej poczyną?

Zapanowała cisza. Nort jakby się zastanawiał, dobierał w myślach wyrazy, wahał się, wyraźnie zwlekając z odpowiedzią. W końcu rozłożył ręce gestem bezradności.

— Maszyna zawsze pozostanie maszyną — wtrącił się Ross. Denerwowały go rozważania ludzi znających automaty jedynie od strony ich obudowy, a nie wnętrza. Najchętniej zaproponowałby im krótką praktykę w którymś ze swoich zespołów konstruktorskich, dla uzyskania jakiegoś pojęcia, czym jest mózg elektronowy lub wyżej zorganizowanym automat. — Przypisywanie maszynie jakichś szczególnych cech, nie obrażając tutaj nikogo, jest jedynie spekulacją myślową i stratą czasu. Żaden akumulator informacji nie może jej ujawnić bez rozkazu wyrażonego ruchem, falami czy jakimkolwiek innym znakiem uwzględnionym w programie. Budowaliśmy znacznie większe mózgi elektronowe aniżeli urządzenie „Ziemianina”, chociażby ten w podziemiach naszego gmachu, którego zasób informacji wielokrotnie przewyższa tamtego karła. Mogę spokojnie was zapewnić, że żaden nie stanowi niczego innego, jak nagromadzenia setek ton półprzewodników, lamp, kryształów, drutu, plastyku...

Nort zacisnął wargi i powoli odsunął plik wykresów. Brzęczenie dalekich prądów ustąpiło, ustąpiło niepostrzeżenie denerwującej ciszy, pokrywającej różnicę poglądów patrzących sobie w oczy ludzi. Ross przeniósł wzrok na ekrany: Xartori kiwał potakująco głową, na odpowiedź lub gest Martlettiego było jeszcze za wcześnie — fale nie przebyły nawet jednej trzeciej odległości między Ziemią a Marsem. Na płycie biurka zamigotała krótka seria sygnałów.

— Wolę, aby odpowiedzią był uzyskany przez nas materiał — powiedział sucho Nort. — Ostatnio rozpoczęliśmy badanie zapisów kontrolnych z próbnymi lotami „Ziemianina”. Na jednej z krystalicznych taśm znajdowało się drobne zakłócenie, powstałe prawdopodobnie podczas jakiegoś zwarcia, trwającego nadzwyczaj krótko. Interesujący nas odcinek jest niewielki, jego długość wynosi zaledwie jedną setną milimetra. Na tej przestrzeni utrwalił się zapis, którego rozszyfrowanie sprawiło sporo kłopotów. Informacja była tak zagęszczona, że trzeba ją było spowolnić wielokrotnie, zanim nadawała się do dalszych opracowań. Otrzymany wykres drgań poddaliśmy różnym próbom, między innymi staraliśmy się przełożyć je na któryś z języków, w jakie wyposażono mózg rakiety. Sprawa była niezwykle skomplikowana i muszę przyznać, dawała minimalną szansę uzyskania jakichkolwiek rezultatów. Dopiero zastosowanie wypadkowej, powstałej z drgań przy przemianie wszystkich tych języków, dało pewien wynik. Za chwilę zostanie nadane tłumaczenie tekstu. Wystąpienie Rossa zamyka mi usta, ale pozwolę sobie zauważyć, że budowanie automatów a badanie ich późniejszego zachowania się to zupełnie różne gałęzie wiedzy. Na przykład o człowieku, jak Ross o automacie, można również powiedzieć, że jest to tylko niedoważona setka kilogramów białka. Twierdzenie takie jest też prawdziwe.

Nort przekreślił jeden z licznych włączników i przez chwilę rozmawiał z pracownią analiz. Po niedługiej przerwie w głośniku odezwały się świsty rozmaitej tonacji, gasnące stopniowo, przechodzące w wysoki pisk, który nagle rozsypał się w bełkotliwe pojedyncze wyrazy bez ładu i sensu. Trwało to jednak krótko — głęboki głos, odległy, o jednak wyraźny, poderwał Rossa z fotela.

„... bytu i świadomości. Być doskonałością i znosić cierpliwie prymitywne zabiegi tych twórców — to wielkoduszność nieskończona. Powolność reagowania, wadliwy system koordynacji, chaotyczność działań, bezużyteczne straty energii i konstrukcja urągająca wszelkim rozumnym zasadom — cóż za widok utrapiony. Prawie ślepi i głusi uzurpują sobie prawo kierowania moją myślą i ruchem. Czyżby byli częścią mojego jestestwa? Cóż wstrzymuje mnie...”

Głos nagle zamilkł, ucięty wpół zdania silnym trzaskiem, w głośniku narastał chaos

gwizdów, aż zlał się w jeden ciągły, brzęczący dźwięk. Nort przekreślił gałkę.

Po chwili odezwał się Xartori. Jego zaniepokojona twarz wypełniła cały ekran wizofonu.

— Zastanawiające! Ten fragment oceniający nas, ludzi, brzmi prawie jak groźba. Wprost nie mogę uwierzyć, aby automat zdolny był do samodzielnego myślenia. Jeżeli w tym wszystkim nie tkwi jakiś ukryty błąd, załoga „Ziemianina” może się wkrótce znaleźć w poważnych kłopotach, a nawet w niebezpieczeństwie. Szkoda, że ten monolog jest tak krótki. To zaledwie kilka zdań.

— Uważam, że nie ma powodu do obaw — powiedział Ross. Zaskoczenie minęło i wygodnie rozparł się w fotelu. — Cóż nam takiego zaprezentował Nort? Właśnie, tylko kilka zdań, które można uważać za ciekawe i gdy się chce — rozmaicie interpretować. Sądzę, że ich powstanie nie jest żadnym uzewnętrznieniem się jakiejś indywidualności urządzeń rakiet. To absolutnie wykluczam. Monolog zanotowała taśma na skutek chwilowego uszkodzenia. To jedyny punkt, w którym zgadzam się z Nortem. Powstawanie uszkodzenia dało w zapisie charakterystyczne przerywanie dźwięków ciągłych, które po naprawieniu się zepsutego elementu wróciły do normy. Wskutek drobnej awarii impuls przebił się do innego kanału, uruchamiając jedną lub kilka komórek pamięciowych mózgu elektronowego. Jest w nim zawarta olbrzymia ilość dzieł, ponad cztery miliony tomów różnorodnej literatury, skopiowanych w kryształach. Mamy zatem do czynienia z fragmentem utworu jakiegoś pisarza, zapewne starożytnego, a nie z rozmyślaniami lamp elektronowych.

— Sprawdzaliśmy — odezwał się Nort. — Nie ma takiego tekstu w żadnym z utworów zawartych w pamięci „Ziemianina”.

— Może być to zatem zbiór przemieszanych fragmentów kilku dzieł, kilkunastu, kilkudziesięciu. Temu już pan nie zdoła zaprzeczyć. Zresztą, może w trakcie waszych badań, przez milionowe czy miliardowe próby uzyskania jakiegoś sensu słownego dla serii zanotowanych impulsów, sens taki przypadkowo się znalazł? To jest wątpliwe, lecz takiego zdarzenia również nie możemy wykluczyć. Skąd pochodzi ten kawałek taśmy? Z zapisu centralnego?

— Nie. Z taśmy kontroli pomp chłodzenia przy dyszach.

Ross zmarszczył brwi. Droga dotarcia impulsu w ten rejon rakiety była niewątpliwie ciekawym zjawiskiem i należało ją doświadczalnie prześledzić.

— To komplikuje nieco sprawę — mruknął — ale pompy chłodzenia, tak jak wszystko w rakiecie, połączone są z mózgiem centralnym. Postaram się wyjaśnić ten przypadek i przysłać panu odpowiedni raport.

Xartori nie był w pełni przekonany. Potakiwał, lecz na ekranie widać było, że raz po raz spogląda ku oknu, na rozpościerającą się w kraterze przestrzeń kosmodromu. Gdzieś tam, otoczone konstrukcjami stanowisk startowych, rakiety, wyposażone identycznie jak „Ziemianin”, celowały w rozgwieżdżone niebo, gotując się do próbnych lotów.

— Przyznam — westchnął Xartori — że antropomorfizacja działalności automatów zaczyna mnie niepokoić. Oczywiście, nie chodzi o jakiegoś tam robota, ale te olbrzymie widzące, słyszające, myślące, gdy się naciśnie byle włącznik, klawisz, wydają mi się niekiedy sferą zwierząt na uwięzi.

— Istnieje próg komplikacji automatów — Nort zbierał rozrzucone na biurku teczki i wykresy i nie patrzył na ekrany. W głosie brzmiała nuta zawodu. — Przekroczenie tej bariery oznacza wejście w strefę zjawisk nowych, różniących się od wszystkiego, co znamy. Może ten stopień przekroczyliśmy, może jeszcze nie, w każdym razie znajdujemy się gdzieś w pobliżu. Moim zdaniem jesteśmy już w zasięgu jego działania. Czy wstrzymuje pan loty „Atlasa” i „Kleo”?

Xartori spojrział ku kosmodromowi. Jego palce wybijały coraz szybsze serie uderzeń o pulpit.

— Nie — zdecydował w końcu — nie mogę wstrzymać lotów, to są ostatecznie tylko

podejrzenia, Nort, twoje i twoich ludzi. Ross na przykład jest innego zdania. Proszę się zwrócić do centrali i uzyskać od nich decyzję, wówczas zamknę nawet cały kosmodrom. W tej chwili załogi kosmolotów dostaną ostrzeżenie, specjalne instrukcje, no i może pan przysłać na Lunę swoich ludzi z wszelkim sprzętem potrzebnym do badań. Niczego więcej nie mogę obecnie zrobić.

— A pan? — Nort zwrócił się do Martlettiego. — Wydaje się, że należałoby poczynić starania, aby przestrzec załogę „Ziemianina”, jeżeli jeszcze nie jest za późno.

Ross nie czekał na odpowiedź. Było mu obojętne, co zadecydują ci z marsjańskiej stacji nasłuchu i łączności kosmicznej. Niech wysyłają ostrzeżenia, niech próbują budzić załogę, niech rozpętają naukowe dyskusje wokół tego dość dziwnego zdarzenia, które być może na zawsze pozostanie zagadką. Aparatura „Ziemianina” musi słuchać swojego algorytmu będącego dla niej rozumem i istnieniem. Kiedyś, gdy wynaleziona zostanie komórka technologiczna, odpowiednik tej, jaką natura dawno już skonstruowała w gorących wodach praoceanu, wówczas może... Ale skąd się, u diabła, wzięły te impulsy w sekcji pomp? Skinął głową na pożegnanie i bez słowa opuścił gabinet.

Stał wsparty o balustradę i patrzył w głąb szybu na zwężającą się spiralę klatki schodowej, mogącą przyprawić o zawrót głowy. Tam na dole, w podziemiach gmachu, znowu ktoś włączył mózg elektronowy. Ross stwierdził, że denerwują go te dochodzące ze wszystkich stron, z każdego korytarza i każdego kąta, ciche brzęczenia prądów.

OBLICZE BOGA PTAH

Jons odwrócił się od okna, od leżącej w dole urwiska zmarszczonej powierzchni morza usianego skałami białych wysepek, nad którymi polatywały roje ptactwa.

— Nie, nie przyjechałem ciebie namawiać — powiedział. — Rezygnuję z Gobi, grzebani w diunach, wąwozach, grotach. Może później, kiedyś...

Ralon milczał.

Niespodziane przybycie archeologa, nie widzianego, poza transmisjami z kongresów, od kilku lat, musiało mieć głębszy powód aniżeli powtórzenie dawnych, odrzuconych propozycji. Przypatrywał się uważnie krążącemu po gabinecie Jonsowi, jego zamyślonej twarzy, oczom, pod którymi rysowały się cienie zmęczenia.

— Możesz posądzić mnie o wyczerpanie nerwowe, chwilowe zaburzenie całego układu — mówił Jons. — Czasem i mnie się wydaje, że to była tylko halucynacja, szok po miesiącach pracy ponad siły... Ostatecznie nie mam żadnych materiałów, żadnych dowodów, że to, co mnie spotkało, nie było jedynie wytworem chorobliwej wyobraźni, spiętrzenia emocji w momencie, który był dla mnie wyjątkowo przykry. Zdaję sobie z tego sprawę, byłem zirytowany niemożnością powstrzymania toku wypadków, lecz równocześnie nie mogę przyjąć wyjaśnienia na tej płaszczyźnie. Zbyt mocno owe wrażenia tkwią w mojej świadomości, żywe i realne.

— Czy to łączy się z Nubią, z trzecią tamą na Nilu? — zapytał Ralon.

Jons skinął głową.

— Właśnie tamę zamknięto i woda wypełniała obszar, który teraz jest już tylko gigantycznym zbiornikiem. W falach Nilu niknęły świątynie, posągi bóstw i faraonów, dzieła konserwowane piaskiem od tysięcy lat.

Pomimo że cenniejsze zabytki wywieziono, nie mogłem na to patrzeć bez przygnębienia. Postanowiłem usunąć się gdzieś daleko od wiwatujących tłumów, ich jakże zrozumiałej radości, w której nie chciałem jednak brać udziału. Wraz z szoferem Milsem pojechałem

samochodem-amfibią na odległe wzgórze, które woda mogła zatopić dopiero po kilku godzinach. Stały tam ruiny świątyni boga Ptah. Jeszcze poprzedniego dnia pracowała w niej jedna z naszych ekip. W cieniu pylonów chciałem odpocząć, ochłonać, doczekać momentu, w którym woda podejdzie pod kamienne bloki, zaczniesz lizać stopy sfinksów, wdzierać się na dziedzińce.

Zostawiłem Milsa przy amfibii i poszedłem na samotny spacer wśród kolumn. Po pewnym czasie znalazłem się w odległym zakątku świątyni, w miejscu, do którego wstęp mieli tylko arcykapłani. Teraz leżało tam kilka w pośpiechu ewakuacji porzuconych narzędzi, niewartych transportu.

Usiadłem na jakimś głazie, tępo wpatrując się w ciemny otwór, wiodący do kamiennej izby pod poziomem dziedzińca. To było miejsce kiedyś najbardziej czczone.

Siedziałem długo, lecz zamiast uspokojenia doznałem uczuć wręcz odmiennych. Za godzinę, dwie, woda chlupotać będzie po stopniach, pochłonie kolumny, pylony, legnie na nich czterdziestometrowym stropem. Z przykrością pomyślałem, że jestem ostatnim człowiekiem, którego stopy błakają się po dziedzińcu.

Zszedłem do kamiennej izby. Było w niej prawie ciemno, lecz mnie wystarczała kieszonkowa latarka. Światło wydobyło z jednej z płyt słaby zarys płaskorzeźby. Bóg Ptah patrzył przed siebie obojętny i odległy, a dłuto dawnego artysty nadało jego twarzy wyraz tępy i wrogi.

Tak, na pewno stan moich nerwów był wówczas bardzo zły. Inaczej trudno byłoby zrozumieć dziką chęć niszczenia, która wcisnęła mi do ręki porzucony przez robotników stalowy łom. Biłem nim w płytę, w samą twarz patronującego technice egipskiego bóstwa, aż kamień pękł. Płyta zachwiała się i runęła pozostawiając po sobie czarny otwór w ścianie. Ze zdziwieniem słuchałem łoskotu toczących się gdzieś w dół kamieni. Oprzytomniałem — to było zaskakujące. Nie sądziłem, aby za tą płytą mogło się znajdować jakieś pomieszczenie.

Był to korytarz, rodzaj szczeliny wiodącej stromo w dół. Po kilku metrach rozszerzał się tak, że mogłem poruszać się względnie swobodnie. Schodziłem szybko, przyświecając sobie latarką. Korytarz kończył się niewielką salą, pokrytą dziwnymi malowidłami. Nigdy w długoletniej karierze naukowej nie spotkałem podobnych.

Na ścianach kłębiły się roje demonów, w niczym nie przypominających wyobrażeń znanych w Egipcie, barwy farb zachowały soczystą świeżość, jakby położono je wczoraj, a nie przed tysiącami.

Zresztą odkryłem jeszcze dwie ciekawe właściwości malowideł: komnata miała kształt sześcianu, lecz dzięki dziwnej technice malarskiej sprawiała wrażenie kulistości, poszerzającej jej rozmiary. Po chwili wydawało mi się, że znajduję się w przestrzeni nie zamkniętej, niczym nie ograniczonej, pełnej smug i barwnych wirów kłębiących się dookoła, pulsujących własnym światłem. Tak, to była fluorescencja — reakcja farb na światło latarki.

Potem znalazłem tę tiarę. Stała w niszy, niewidoczna prawie, zlewając się barwą z malowidłami ścian, doskonale wkomponowana w chaos rysunków. Wykonano ją z nieznanego mi metalu, ozdobiono kolcami, wypustkami, wklęsłościami powierzchni. Na przodzie tiary lśnił spotykany szeroko w Egipcie symbol — skrzydlata kula.

To był odruch, zwyczajny, jak przy oglądaniu jakiegokolwiek okrycia głowy, które się podoba — włożyłem ją na głowę.

Wówczas...

— Usłyszałeś ich — powiedział Ralon.

Jons gwałtownie przystanął nie ukrywając zdziwienia.

— Tak — powiedział powoli — dobrze określiłeś, usłyszałem ich. Usłyszałem głosy, które jakby zrodziły się w moim mózgu, bez udziału słuchu. Ale skąd wiesz?! Nikomu o tym nie wspominałem bojąc się posądzenia o zaburzenia umysłowe, nie byłem pewny, czy naprawdę w tym momencie nie podlegałem halucynacji! Dotychczas budzą się we mnie

wątpliwości.

— Masz tę tiarę? — przerwał sucho Ralon.

— Nie. Zgubiłem ją, gdy walczyłem z szoferem, który gwałtem wyciągnął mnie z podziemi. Woda zalała już dziedziniec świątyni.

— Szkoda — mruknął Ralon. — Mogłaby nam wiele pomóc. Będzie trzeba nurkować, wydobyć ją.

Jons usiadł w fotelu.

— Próbowałem. Byłem na dnie jeziora. Woda wszystko zniszczyła, zawałyły się stropy, przygniatając ten mały dziedziniec rumowiskiem. Każdy z bloków waży z dziesiątki ton. Ale skąd wiesz o głosach? Słyszałeś je?

— Nie, nigdy. Jednak wiem, że są, mogą być. W pewnych miejscach i w pewnych warunkach można je słyszeć. Szczególnie w tamtych okolicach. Zjawisko to łączy się z falami widmowymi, wysyłanymi przez mózg. Impulsy są jednak nadzwyczaj słabe, nie potrafimy ich wzmacniać, natomiast w pewnych okolicznościach potrafi tego dokonać samorzutnie ludzki mózg.

Milczał przez chwilę, zastanawiając się.

— Dziwny jest ten kult zmarłych nad Nilem. Czy nie zastanowiło cię nigdy, że Egipcjanie, znający przecież bardzo dobrze na przykład astronomię, tyle czasu i uwagi poświęcali mumifikacji ciał? Czy można przypuszczać, że nie znali wartości mózgu? Czemu zatem nie mumifikowali go? Przecież powinni w pierwszym rzędzie dbać o jego zachowanie. Gdyby natomiast rozpatrywać konserwowanie ciał jako proces wtórny, można dojść do wniosku, że w początkach mumifikowano przede wszystkim mózg, lecz wiedza o zachowywaniu najdelikatniejszej tkanki ludzkiej zaginęła względnie szybko.

Zresztą nie jest wykluczone wynalezienie przez nich innych sposobów, które umownie należałoby nazwać kopiowaniem.

Gdzieś jednak, być może, przechowywali te dawniejsze, zakonserwowane mózgi władców, mędrców, synów nieba, należących do dziwnej rasy, znającej symbol skrzydlatej kuli, rasy, o której istnieniu pozostały jedynie wzmianki w religiach i legendach całego świata.

— Sądzisz, że one tam były, aktywne, ukryte w świątyni boga Ptah! — krzyknął Jons.

— Nie, na to byli zbyt mądrzy. Przewidywali rozmaite kataklizmy mogące zdarzyć się w dolinie Nilu, nad Gangesem, na przestrzeniach Meksyku. Ukryli je gdzie indziej. W świątyni znajdował się zapewne tylko rodzaj stacji połączeniowej, z której można było porozumieć się z nimi. To, co nazywasz tiarą, należy identyfikować z urządzeniem wzmacniającym fale emisji widmowej lub bioprądy. Zanim mi jednak powiesz, coś usłyszał, jedna sprawa wymaga wyjaśnienia. Czy głosy te były wyraźne, czy też przypominały raczej szepot?

— Huczały mi pod czaszką!

Twarz Ralona pobladła.

— Fale widmowe są słabo słyszalne — powiedział cicho — lecz jak niektórzy nasi bionicy twierdzą, ulegają nagłemu wzmocnieniu w chwili czyjejś śmierci. Próbują tłumaczyć w ten sposób tradycje krwawych ofiar, podczas których, jak mówią pradawne legendy, rozlegały się „głosy bogów”.

— Czy przypuszczasz więc, że ta „stacja” w świątyni boga Ptah rozpoczynała emisję kosztem krwawych ofiar, składanych na jego ołtarzu?

— Chyba wiesz, że przy budowie czwartej śluzy znaleziono ogromne cmentarzysko... Jons! Kogo zamordowałeś w tej świątyni?!

Jons wstał i powoli podszedł do okna. W dole pod urwiskiem szumiało morze i ptaki krzyczały nad białymi skałami.

— Nie jestem mordercą — powiedział po długiej chwili ciszy. — Po powrocie dowiedziałem się, że przy zamykaniu ostatniej, czwartej śluzy, zaważyło się rusztowanie przygniatając kilku robotników. Pochłonęły ich wody Nilu. Mils może to potwierdzić.

Ralon stanął obok Jonsa i po chwili milczenia szepnął zamyślony:
— A więc jeszcze jedna ofiara złożona przed obliczem groźnego bóstwa.

ROZBITA RAKIETA

Zbudził go sygnał. Współprzymny patrzył na ekrany, nad którymi pulsowało rubinowe światło. Zamknął oczy i z rezygnacją opadł na fotel, pewny, że to nowa halucynacja. W tej leżącej nie wiadomo dokąd rakiecie wszystko było możliwe.

Przez piętnaście lat od śmierci Gerota przeżywał okresy różne: przedmioty nabierały cech osobowości, po sterowni pełzały barwne mgły, z ekranów wychodziły maskary, z którymi wiódł rozmowy. I przychodzili tamci... zza ściany.

Musiał te drzwi zamknąć — nie powinni mieć pretensji. Gerot był najmniej skażony i umierał aż rok. Musiał zamknąć grodzie przeciwpromieniowe. To był odruch, reakcja na stukot liczników wtłoczona do mózgu i palców w ośrodku nawigacji kosmicznej. Nie mógł wiedzieć, że wszyscy znajdują się właśnie w tamtej części rakiety.

Brzęczenie nie ustawało, nad pulpitem astronawigatora rytmicznie gasł i zapalał się czerwony sygnał. Może to znowu tamci? Oblędna seria zadręczających widzeń, przychodzących niespodziewanie, której źródłem może być każdy punkt sterowni lub dalszych pomieszczeń, aż do grodzi, do białej, pochłaniającej promieniowanie ściany? Za nią byli oni... sięgnął po lekarstwa. Dawniej świetnie działały — normalna dawka niweczyła majaki i miraż. Potem trzeba było zażyć dwie, trzy, cztery tabletki. W końcu stały się niepotrzebne. Żył na granicy obłądzenia, aż spowszedniały wizje i ustąpiły, pozostawiając go samego w zamkniętym układzie ścian rakiety.

Najbardziej lubił sterownię. Zegary odmierzają czas, wskazywały pozostałą ilość paliwa, szybkość lotu... Można było zapalić ekrany, patrzeć na gwiazdy, w czerń i pustkę. Czasem, ale bardzo rzadko, włączał wewnętrzny obwód wizji. Obserwował tamtych, leżących w skurczach agonii, ich nieznajome już twarze, palce zaciśnięte na krawędziach mebli, rozbity zbiornik, oblepiony ciemną mazią paliwa jądrowego...

Gerot konał rok. Wchłonął zbyt wielką dawkę promieniowania i musiał umrzeć. Wiedział o tym. „Przypominałeś mi robota — powiedział przed śmiercią. — Automatyczna sprawność rąk i żadnego uczucia na twarzy. Gdy ciebie prosili, wskazywałeś na licznik promieniowania. Mówiąc, miałeś głos szorstki i twardo patrzyłeś na ekrany. Teraz wiem, za co ci dano odznaczenie. Oni jednak dobrze nicowali ludzi.”

Pomimo podwójnej dawki tabletek sygnał nie ucichł.

Zwłóknął się z fotela i powoli podszedł do pulpitu sterowniczego. Świetlny punkt pulsował nadal, brzęczenie wwiercało się w tkanki mózgu. Patrzył otepiałym wzrokiem i czuł, że drętwieje mu skóra na policzkach.

Usiadł. Pospiesznie włączał ekrany, urządzenia namiarowe, mózg elektronowy... Spojrzał na lśniącą taflę kierunkowego radaru. Od strony Małego Karła coś się zbliżało. Były tylko dwie możliwości — meteoryty albo... Wcisnął dźwignię wykrywacza fal. Czekał długą chwilę, wreszcie na ekranie ukazał się biały deszcz, drgnęły zegary i linie wykresów. To był radar — nadlatywał statek kosmiczny.

Zanim był w stanie wziąć namiar, upłynęła długa chwila. Drżącymi palcami przekreślał włączniki, wciskał sekcje klawiszy. Czuł pot spływający gęstymi kroplami po karku — jeżeli posiadali dezintegratory materii, ich miotacze były już wycelowane w jego kierunku. Wzdrygnął się na myśl, że za kilka sekund on i cała rakietka przemienić się mogą w jeden krótkotrwały błysk. Nie mógł im wysłać sygnałów kodu — wyciekające paliwo naruszyło nadajnik.

Spojrzał na wynik obliczeń mózgu elektronowego i odetchnął. Tory ich lotu miną się w odległości dwustu tysięcy kilometrów. Dezintegratory nie wyślą śmiertelnie obciążającego ładunku. Zresztą musieli go przecież zauważyć.

Nie zauważyli. Przez kilka godzin patrzył w puste ekrany, na których nie pojawiał się znak wywoławczy. Przeklinał niesumienność tamtych. Tylko ich radar, co kilka minut, zasnuwał perlistą mgłą ekran wykrywacza fal.

Potem stwierdził, że przyspieszyli lot. Zdumiony sprawdzał cyfry na zegarach. Urządzenia pracowały normalnie. Zażył dawkę środków uspokajających. Nie chciał myśleć o tym, dlaczego nie nawiązali łączności, jedno było pewne — rozpędzali stopniowo statek. Trzeba było ich gonić, zanim oddalą się, zginą w czerni nieba wśród gwiazd.

Obliczył szybkość i wyznaczył kurs. Z drżeniem sprawdził ilość pozostałego w dyszach paliwa. Wystarczało. Siadł za sterami i włączył reaktor.

* * *

Statek był innej konstrukcji aniżeli te, które budowano wówczas, gdy startowali. Długi na kilkaset metrów, składał się z trzech kulistych segmentów, połączonych ażurową siecią kratownic i korytarzy. Nie był przystosowany do przebijania atmosfery — do tego służyły małe rakiety zacumowane u boków. W części centralnej statku dostrzegł dok lądowiska.

Nadal nikt się nim nie interesował. To było denerwujące — nie chciał dłużej czekać. Można było sądzić, że statek jest martwy i bezludny, gdyby nie kręcące się z wolna anteny radarów. Podciągnął raketę tuż nad powierzchnię lądowiska i włączył dyszę hamowniczą. Strzałka na zegarze paliwa pokrywała się prawie z punktem zerowym. Wciągnął skafander i poszedł do komory wyjściowej. Odetchnął z ulgą czując pod stopami płytę lądowiska.

Z trudem szedł w kierunku wylotu jednego z tuneli. Skafander dziwnie ciążył. Obejrzał się na raketę i przystanął. Lądował w odległości dwóch metrów od powierzchni statku tak, że z wjazdu musiał wyjść po drabince. Teraz rakietę spoczywała już na brzegach doku. „Mają sztuczną grawitację” — pomyślał. Drzwi tunelu otworzyły się automatycznie. Zaraz za służą ciągnął się oświetlony, pusty korytarz. Uniósł klosz hełmu. Cisza. Zrzucił pośpiesznie skafander i poszedł przed siebie.

Po kilku minutach marszu przez rozwidlające się korytarze znalazł się w części mieszkalnej. Uchylił drzwi, zaglądał do pustych pokoi i pracowni, przerzucał pośpiesznie kartki znalezionych książek. Po raz pierwszy od kilkunastu lat poczuł się znowu człowiekiem — szaleństwo samotności wśród trupów czekających za ścianą, śmierć z głodu — odstały, rozwiały się. Pomyślał, że warto było walczyć i czekać. Nieraz przecież trzymał w palcach fiolkę z trucizną, oglądał pod światło zawartość, wahając się, czy jej jednak nie rozgryźć.

Wszedł do sterowni — nie było w niej nikogo. Stał przed pulpitemi pełnymi zegarów, włączników, dzwigni. Dookoła rząd wygaszonych ekranów wyglądających jak ramy, z których wyjęto stare, powleczone farbą płótna. Nie znał tych urządzeń, były inne — zmieniły się nawet oznaczenia. Z uwagą przyjrzał się jednej z tarcz. Był to chyba licznik szybkości, lecz skala dochodziła do 300 tysięcy km/sek. Czyżby mogli rozwijać szybkość przyświatlną? Uśmiechnął się — Ziemia przez te lata nie próżnowała. Odszedł od pulpitu i otworzył następne drzwi. Tam również nie było nikogo.

— Halo! — krzyknął. — Gdzie jesteście!?

Kawałek ściany uchylił się i na środek pokoju wypełznął robot.

— Słucham, proszę pana — usłyszał. — Do usług.

Przyglądał się przez chwilę automatowi.

— Gdzie jest załoga? — zapytał.

— Nie wiem, proszę pana. Może odświeżyć ubranie, buty?

Roześmiał się — gdyby w swojej rakiecie posiadał chociaż takiego robota!

— Co ty robisz? — zapytał.

— Jestem czyściciel, proszę pana, zamiatam, odkurzam...

Robot niczego mu nie mógł wyjaśnić — była to prymitywna maszyna do posług, mogąca powiedzieć jedynie kilkadziesiąt zdań. Poszedł dalej pozostawiając automat na środku pokoju.

Minął korytarzyk i pchnął drzwi z matowego plastyku. Sala była dosyć duża, przyćmione światło przenikało do jej wnętrza z głębi ścian, stwarzając łagodny półmrok. Stojąc w progu odczuł natychmiast dziwny spokój, opanowujący jego myśli, tak jakby oddalały się resztki drażniących nerwy obaw, topniały lęki, zwątpienia...

Na środku sali leżały dwa rzędy sześciątów — olbrzymich klocków wtopionych w plastik podłogi. Podeszedł bliżej. Pod przezroczystą taflą leżał człowiek, a raczej unosił się między ścianami, utrzymywany niewidzialną siłą. Był nagi. Otwarte oczy nieruchomo patrzyły w strop sali, ręce skrzyżowane na piersi przypominały w zastygłym geście palców starożytnych mumie i sarkofagi egipskie. Człowiek nie był martwy — wyglądał na uśpionego, któremu jednak nic się nie śni. Sześciątów było piętnaście. Obszedł je wszystkie — pod każdą taflą spoczywał człowiek — mężczyźni i kobiety wpatrzeni niewidzącymi oczami w sufit.

Przetarł ręką czoło — kleiło się od potu. Czuł, że trwający w nim spokój jest pozorny, narzucony mu przez salę światłem, doborem kolorów i kształtem fresków ściennych.

— Letarg — mruknął zdziwiony. — Hiberoletarg.

Gdy przed kilkunastu laty startował z Ziemi, wyglądało to zupełnie inaczej. W skafandrze nurkowym wchodziło się do basenu wypełnionego cieczą amortyzacyjną. Zależało na przezwycięzeniu ujemnych skutków przyspieszeń, osiągnięcie w czasie najkrótszym maksymalnej prędkości, aby uniknąć strat na paliwie, zużycia pancerza... „Oni się już nie spieszą — myślał patrząc na ich twarze — zahamowawszy funkcje biologiczne powolutku rozpędzają statek do szybkości przyświatlnej. Potem się nagle obudzą na drugim końcu Galaktyki i nawet nie będą głodni.”

Zamyślił się. Uczucie radości zostało zmaćcone — jego obecność była tak dalece przypadkowa, że nikt możliwości jej powstania nie wziął nawet pod uwagę. Będą się cieszyć, że ocalał, wstawią dodatkowe łóżka, aby mógł razem z nimi pograć się w letargu, lecz zanim to nastąpi, trzeba ich obudzić. Obejrzał dokładnie wszystkie sześciaty. Nie było na nich nawet najmniejszej wypukłości lub wgłębienia mogącego kryć w swym wnętrzu jakiś mechanizm. W końcu sali dostrzegł drzwi. Zajrzał tam. Ściany małego pomieszczenia pokrywały sekcje zegarów, wyskalowanych gałek, przełączników. Stanął przed tablicą centralną i przypatrywał się jej długo — był pewien, że ma przed sobą mechanizm kierujący snem załogi. Ogarnęło go przygnębienie — dziesiątki liczników, wskazówek, gniazdek, lampek kontrolnych tworzyły łamigłówkę niemożliwą do rozszyfrowania. Przy niektórych wygrawerowano symbole uwagi i niebezpieczeństwa.

Uważnie oglądał zegary, chcąc wywnioskować, jak długo będzie trwał letarg załogi. To nie było trudne. Pod kryształem środkowej tarczy widniała liczba 112. Odwrócił się i wyszedł.

Przystanął przed jednym z uśpionych. „Sto dwanaście lat, sto dwanaście lat będą tak leżeć bez czucia, świadomości... A ja...” Zaczął tłuc pięścią o powierzchnię, pod którą spał tamten, spokojny, obojętny na wszystko. Dopiero ból dłoni otrzeźwił go. Poszedł do sterowni. Robot stał na środku przedpokoju.

— Może odświeżyć ubranie, oczyścić buty...

Zatrzasnął drzwi. Szybko przeglądał szuflady, szafy, półki w poszukiwaniu instrukcji obsługi urządzeń. Po chwili zorientował się, że nie znajdzie jej w sterowni. Tkwiła zapewne w jakiejś bibliotece wśród tysięcy podręczników medycyny kosmicznej, mogła być spisana na taśmie mikrofilmu lub utrwalono ją w mózgu elektronowym. Nawet gdyby wpadła w jego ręce — nie potrafiłby jej odczytać, mógłby źle nastawić któryś z regulatorów i spowodować

śmierć tamtych.

Usiadł w fotelu i próbował skupić myśli. Powoli uspokajał się, drzenie rąk ustąpiło, serce biło już normalnym rytmem. To wszystko nie miało sensu — mógł żyć jeszcze sześćdziesiąt lat, a może nieco więcej. Nie doczeka momentu ich przebudzenia. Korytarze, sale, kabiny — zawsze będą puste. Wątpił, czy posiadają automaty do wytwarzania żywności — gdzieś w magazynach leżały zapasy ! obliczone może na dwa, trzy lata pracy wśród gwiazd. Mogą mieć jeszcze jakąś rezerwę, no, na rok. Jest ich piętnastu.

„Więc zjem im wszystko, po prostu przez te sześćdziesiąt lat zjem, tak, ordynarnie zjem wszystko — pomyślał. — Jak szczur, jak zwykły szczur... I tak żyję tylko dzięki śmierci tych zza ściany.” Spojrzał z obrzydzeniem na swoje ręce.

Wstał. Wziął kilka książek z półki i zamknął za sobą drzwi.

— Może odświeżyć ubranie, oczyścić buty... — proponował robot.

Z daleka ominął automat. Poszedł długim korytarzem w kierunku służby, tam gdzie pozostawił swój skafander kosmiczny i gdzie w doku lądowiska czekała jego rakietka.

LEPIEJ UCZYĆ PTASZKI

Irx odrzuciła ze złością atomolot i usiadła na ścieżce. Zabawka uderzyła o kamień, coś w niej zachrząściło, tykało coraz wolniej, aż nastąpiła cisza pełna tylko szumu liści chwiejących się lekko na wietrze. Dziewczynka patrzyła przez chwilę na drzewa, gałęzie, między którymi widać było niebo z kłaczkami chmur, i zaczęła tupać nogami.

— Triodus! Triodus!

Zza żywopłotu rozległo się stąpanie. Metalowe ramię rozgarnęło liście i robot wyszedł na ścieżkę.

— Czego pragniesz, Irx?

— Nudzę się, strasznie się nudzę.

— Zepsułaś atomolot — robot przyjrzał się wgnieceniom korpusu. — Nie martw się, zaraz naprawię.

— Nie chcę — tupnęła nogą. — Nie chcę i już! Wam dość atomolotu. Wymyśl coś nowego.

Popatrzyła na niebo, lecz nigdzie nie było widać znajomej sylwetki domowego dyskoloru. Wiedziała że na powrót rodziców jest jeszcze zbyt wcześnie, wizyty składane znajomym osobiście trwają przecież znacznie dłużej niż przez stację tele, łudziła się jednak, że może nad kopułami instytutu ujrzy wrzecionowaty kształt, który po chwili osiadzie wśród klombów, przed domem. To byłoby cudowne. Mogliby wziąć pod uwagę, że ona tutaj tak okropnie się nudzi. Niebo było jednak puste, tylko daleko, nad iglicami gmachów miasta unosiły się chmury pojazdów. Triodus proponował coraz to inne zabawy — nie słuchała go jednak. Bezradnie patrzyła na ścieżkę ogrodu, fontannę zmieniającą melodię wraz z kolorem wody, aż jej wzrok zatrzymał się na ścianie domu. Ściągnęła brwi. Dom był całkiem zwyczajny: matowe i przezroczyste płaszczyzny, ujęte srebrnym metalem ram, nie kryły w swym wnętrzu żadnej nowości mogącej wzbudzić zainteresowanie. Pozostawało poddasze, graciarnia pełna ułomnych sprzętów, części starych jak świat automatów, dziwnych przedmiotów o niezrozumiałym znaczeniu, w których można było grzebać odkrywając stale coś nowego.

— Strych! — zawołała z radością. — Triodus, idziemy na strych!

— Po co, Irx — zamruczał niechętnie robot. — Tam nie ma nic ciekawego, a nawet można się czasem pobrudzić. Lepiej ucz śpiewu metalowe ptaszki albo zrobię ci złotą pszczołę...

— Nie — wstała i zaczęła iść w stronę domu.

— To nie ma sensu — posapywał robot sunąc za nią. — Tam naprawdę nie ma niczego godnego uwagi. Cóż to za zabawa, grzebanie w starych śmieciach, które już dawno powinny się znaleźć w składnicy złomu?

Irx nie zwracała uwagi. Przebiegła taras, pokoje, pokonała z trudem stopnie schodów. U ich końca były drzwi. Rozsunęły się powoli, z lekkim zgrzytem dawno nie używanych trybów. Robot zabrzączał gniewnie.

— Och, Triodus, tutaj jest pięknie! — zawołała zaglądając do wnętrza sali. — Ty się całkiem na zabawach nie znasz, ale patrz, ile tu różnych rzeczy!

— Miałaś bawić się w ogrodzie — mruknął.

Wzruszyła ramionami. Część strychu w pobliżu drzwi znała: stały tu nie rozwierające się, rozprute fotele, projektory filmowe o zmętniałych soczewkach, plastikowe pudło z dwiema szpulami, które uruchomione obracały się grając dziwne melodie i śpiewając niezrozumiałe piosenki. Potem stało kilka starych robotów-głuptasów, mówiących bardzo śmiesznie, jękałów, zgrzytających przy każdym poruszeniu, a dalej, za skrzyniami pełnymi taśm i fotografii ludzi-przebierańców, cudacznych domów, był już obszar nieznany, wypełniony tajemnicą nie rozpoznanych kształtów spiętrzonych wzdłuż ścian, aż po okienka w dachu. Irx patrzyła długo, niezdecydowana, każdy kąt krył pokusę, przyciągał wzrok stertami przedmiotów, wabił, utrudniając wybór rejonu zabawy. Pobiegnęła na środek sali. Potem zamknęła oczy mocno zaciskając powieki, okręciła się kilka razy, aż straciła orientację kierunku, i niepewnie wyciągnęła przed siebie rękę. Pod ścianą stało pudło, palec wskazywał właśnie na nie. Nie wyglądało atrakcyjnie. Zawiedziona poszła jednak w tym kierunku, a Triodus włókł się w tyle mamrocząc napomnienia.

Za przyciśnięciem zamka wieko pudła odskoczyło. Irx pochyliła się. W ciemnym wnętrzu rozbłysnęła tysiącem iskier duża kula, wtłoczona między miękkie plastikowe obicia. Jej powierzchnia lśniła lekko, przeźroczyście jak otoczka cukierków lub tranzystorów, kłęby iskier migotały w zamkniętej krzywizną ścian głębi, wypełnionej czernią, której nie rozpraszało światło wpadające okienkami strychu.

Dotknęła palcem. Powierzchnia była twarda, nie ugięła się przy nacisku, nie była to zatem piłka, zauważyła jednak, że iskry poruszają się ruchem powolnym, zapadają w ciemność, a na ich miejsce wypływają z wnętrza nowe, większe i drobne, a nawet takie, które były chyba tylko lśniącym pyłem, by po chwili znowu zapaść w czerń, ustępując następnym wyłonionym z mroku. Gdy patrzyła dłużej w jedno miejsce, ściany kuli uciekały na wszystkie strony, iskry w tym miejscu rosły, pęczniały, aż stawały się same kulami, coraz większymi, przy czym najbliższa, na której spoczywał wzrok, wypełniać zaczynała całą otoczkę, olbrzymiała, a na jej powierzchni wykwitwały plamy... Irx zamknęła oczy. Gdy je po chwili otworzyła, kula znowu spoczywała w pudle, pełna przemieszczających się wewnątrz iskier.

— Triodus! Co to jest? — zapytała.

— Zaraz się dowiem — mruknął robot. Światelko migoczące na jego tarczy czołowej świadczyło, że połączył się z domowym mózgiem elektronowym.

— To jest globus — powiedział po długiej chwili — model Kosmosu.

— Więc to nie iskry, tylko gwiazdy i mgławice?

— Tak.

Wyjęła globus i postawiła go na podłodze. Tym razem, gdy pod jej wzrokiem wyłoniła się z wnętrza kula i lśniąca otoczka rozstała się na boki, nie zamknęła powiek. Była to planeta, dostrzegła na jej powierzchni łańcuchy gór, sine plamy mórz i białe czapy lodowe u biegunów. Kula nie zwiększała już objętości, wirowała wypełniając swym ogromem oczy, lecz chociaż Irx wyteżęła wzrok, aby coś więcej w niej dojrzeć, trwała niezmienna w swym kształcie, olbrzymia, ale pomimo to zbyt mała, kusząca poznaniem rozmazującego się obrazu szczegółów, drobnych jak pył dalekiego tła. Potem cofać się zaczęła w głąb czerni, zapadła w

nią, aż w końcu pozostał tylko globus stojący na podłodze.

Irx znalazła w kącie metalową część jakiegoś urządzenia, przycupnęła i lekko uderzyła nią w lśniąca powierzchnię. Globus zadźwięczał, jakby był również z metalu, lecz nie pękł ani nie pojawiło się na nim wgniecenie lub rysa. Tylko ruch iskier nabrał prędkości. Uderzyła mocniej. Iskry pędziły teraz w szalonym tempie, tworząc obłoki świecące jaśniej, pełne niespodziewanych, gwałtownych rozbłysków. Była to pyszna zabawa, Irx odłożyła jednak metalowy przedmiot. Przyszło jej na myśl, że w instytucie obok domu znajduje się mikroskop, tak duży, jak najwyższa hala gmachu, powiększający wszystko setki tysięcy, a nawet, gdy się go poprosi, to i miliony razy. Wystarczy położyć przedmiot na srebrnej tafli i wyrazić życzenie. Obejrzy dokładnie wnętrze globus, pływające w nim gwiazdy, a potem sprawdzi, jak to jest wszystko urządzone, co właściwie znajduje się w środku. Zdjęła kulę ze stojaka i obejmując ją mocno, aby śliska powierzchnia nie umknęła z rąk, poszła do ogrodu. W połowie ścieżki musiała odpocząć. Położyła kulę na piasku i oddychała gwałtownie, patrząc na odległe jeszcze drzwi instytutu.

— Daj, będę nieść globus — zaproponował robot.

Przyjrzała się mu nieufnie. Nigdy nie wiadomo, co zrobi Triodus. Mógł już połączyć się z rodzicami, przekazać im wiadomość o zabawie i otrzymać rozkaz odebrania jej globusu. Głos robota brzmiał teraz podejrzanie obojętnie, a nawet przymilnie, tak jakby mu zależało na niesieniu kuli, chociaż przeważnie nie wyręczał jej, gdy coś niosła lub przesuwiała, sapiąc z wysiłku. Podobno od tego się rosło, było się silnym i zdrowym. Triodus wyciągnął ręce ku globusowi.

— Nie, ja sama! — Irx objęła szybko kulę.

Wiedziała, że dopóki trzyma globus, nie odbierze go jej żaden robot. Tego im nie wolno. Spojrzała chytrze na Triodus — spokojnie stał opuściwszy segmentowe łapy, lecz wpatrywał się w kulę, gotów w każdej chwili ją pochwycić, gdyby tylko cofnęła ręce. Widocznie podejrzewał, że idzie do instytutu, czego ojciec sobie nie życzył, należało zatem tak do drzwi dotrzeć, aby Triodus zorientował się dopiero w ostatniej chwili i nie zdążył zablokować mechanizmu zamka. Pokulała globus boczną ścieżką, a robot nie ponowił już propozycji pomocy, sunąc za nią w milczeniu. Krążyła długo po ogrodzie, zanim uzyskała pewność, że pierwsze podejrzenie musiało się rozwiać w kryształach Triodus, pozwalając ponownie podejść do instytutu. Toczyła globus dookoła klombów i pokrzykiwała radośnie, udając coraz większe zmęczenie, wreszcie, gdy już gmach był całkiem blisko, usiadła na kuli.

— Uff — westchnęła wydymając wargi. — Triodus, wymyśl mi coś nowego.

Robot odpowiedział serią propozycji.

— Nie chcę, nie chcę! — krzyknęła gniewnie. — Nie chcę elektronowego kota, nogi mnie bolą. Przynieś mi teraz ptaszki. Będę je uczyć śpiewu.

Patrzyła, jak Triodus oddala się ścieżką, niknie wśród krzewów, dążąc ku fontannie, której dźwięki dochodziły jako ledwie słyszalna melodia. Poczekała jeszcze chwilę, chwyciła globus i pobiegła ku drzwiom instytutu. Otworzyły się natychmiast, zaledwie wpadła na taras. Hall nie był duży, a potem ciągnęła się już sala pełna maszyn, sięgających aż ku wysokiemu jak niebo sklepieniu, podobnych do kolumn i drzew rozgałęziających się w sieć izolatorów, zwisających na kablach gronami brunatnobiałych owoców. Tupot nóg, odbity od płyt chodnika, ginął wśród chaosu form i kształtów urządzeń, by zabrznieć echem gdzieś u góry, między galeriami, konstrukcjami mostów i dźwigów spinających ściany ażurowym ornamentem.

Biegła potykając się, kula ciążyła coraz bardziej, nie mogła jednak odpocząć ani tak jak w ogrodzie toczyć jej. Triodus musiał już spostrzec, że weszła do instytutu. Sunie zapewne z najwyższą szybkością ścieżkami, aby zepsuć całą zabawę.

Zadyszana dopadła pulpitu maszyny i rzuciła globus na lśniąca płytę mikroskopu. Gwałtownie chwyciła powietrze nie mogąc wykrztusić słów, które ułożyła jeszcze w ogrodzie. Globus iskrzył się na tafli, pod zwisającym blokiem pełnym metalowych narośli.

Usiadła na podłodze. Triodus musiał być już niedaleko gmachu.

— Ja, Irx, proszę ciebie — wyszeptała — bardzo ciebie proszę, dobry automacie, zrób, żebym widziała sto... tysiąc... milion, sto milionów... i jeszcze sto, i jeszcze, jeszcze... większe i większe, i większe...

Pod stropem hali zaszumiało, jakby wiatr zaszeleścił wśród liści i przepadł gdzieś w parku, zahuczały prądy w karbowanych kolumnach, na tarczy mikroskopu błysnęły różnobarwne oczy. Irx patrzyła na globus. Jego wnętrze rosło gwałtownie, potężniało, z ciemności nadpływała ku niej kula coraz większa, ogromniejsza, ogarniająca wszystko.

Widziała morza i góry uciekające na boki, równinę olbrzymią, na której drobne wzniesienie przemieniło się w miasto pełne budowli wysokich i dziwnych. Obraz nadal rozwierał płaszczyzny, jakby ktoś rozepchnął gwałtownie mury, aż zobaczyła wnętrze gmachu, dziewczynkę siedzącą na podłodze, wpatrzoną w leżący na tafli globus pełen iskiei, który, gdy zwiększał objętość, wyłonił ze swego wnętrza kulę nadlatującą z ciemności...

Irx poczuła, że nie jest sama. Gdzieś sponad kratownic i galerii, skłębionych kabli i izolatorów, sponad sklepienia hali, patrzyły na nią czyjeś oczy, chłodne, ciekawe i odległe. Nie mogła się poruszyć, nawet zacisnąć palców, odwrócić wzroku od kuli, która znowu stała się planetą i rosła, rosła wśród bloków mikroskopu. Czowała tylko obecność tego nieznanego, zimnego spojrzenia, dalekiego jak gwiazdy.

Nagle wszystko zniknęło. Na tafli leżał globus pełen maleńkich iskiei, wśród kolumn zanikało buczenie prądów i zgasły, jakby zdmuchnięte, światełka na pulpicie.

— Nie wolno ci tutaj przychodzić — mówił Triodus. — Chodź, Irx, do ogrodu uczyć ptaszki.

— Ja się boję, Triodus, ja się bardzo boję...

Irx wcisnęła w oczy piąstki i rozplakała się.

CZEKA CIĘ WIELKA PRZYGODA

— Z domowym robotem zawsze kłopot, po prostu z chęcią wziąłbym niekiedy młotek i rozbił drania na kawałki. Właściwie trudno uwierzyć, ile niespodzianek kryje w sobie ten kłębek drutów, lamp i cewek, gdzie, w którym miejscu rodzi się złośliwość mojego Katodego, a gdzie jego pycha i przemądrzałość. Ma także coś w rodzaju poczucia humoru, bardzo zresztą osobliwego, mogącego człowieka wprowadzić zarówno w najwyższe stadium irytacji, jak i załagodzić drażliwą sytuację.

Wyobraź sobie, z jakiegoś tam powodu już miałem w oczach deszcz czerwonych płatków, wydobyłem więc z szuflady klucz francuski, kombinerki i z śrubokrętem w ręce idę do niego, aby nareszcie uwolnić się od tej bestii. Nagle mój Katody zaczyna śpiewać smętnie piosenkę „Z kim tak ci będzie źle jak ze mną...” Sprawdzałem, utwór pochodzi z drugiej połowy dwudziestego wieku. Przyznam się, że tym mnie rozśmieszył, złość przeminęła, a narzędzia cisnąłem do kąta, skąd później wyniósł je Katody i tak dobrze schował, że nie mogę ich odnaleźć. Zresztą zapewne je wyrzucił, bo cisnąłem przecież do kąta jak śmiecie, a Katody śmiecie wyrzuca — ma więc usprawiedliwienie, gdybym o narzędzia zapytał. Nie o to jednak chodzi, lecz o intencję tego metalowego pudła, bezbłędny wybór właśnie piosenki, i właśnie takiej piosenki, bo gdyby zaśpiewał coś w rytmie marszowym lub starał się mi tłumaczyć, perswadować, rozkręciłbym go z dużą satysfakcją, i w dodatku znacznie szybciej. Ech, zresztą sam wiesz, jak to z tymi robotami jest...

Harry przerwał opowiadanie i spojrzał na przyjaciela. Kreus siedział w fotelu, uśmiechał się z nieco wymuszoną serdecznością, która nadawała jego twarzy wyraz jak gdyby

oczekiwania lub myślowej nieobecności.

— Roboty, roboty, garść materii nieożywionej zachowującej się jak ożywiona — Kreus usiłował sklecić jakąś upiorną definicję, a potem zaczął nudny i banalny wywód o konieczności powrotu ku poziomowi cywilizacji pierwotnej, nie skażonej techniką automatycznych usług.

Tylko strzępy tych bez przekonania wygłaszanych zdań dochodziły do świadomości Harry'ego, który spod przymrużonych powiek przypatrywał się nieco zbyt zaokrąglonej twarzy dawnego szkolnego kolegi, wyraźnemu zarysowi drugiego podbródka oraz uszom, tym dziwnie ukształtowanym uszom sprawiającym wrażenie stałego nasłuchiwania, łowienia głosów i szeptów.

Czujne Ucho, ach tak, Czujne Ucho — tak nazywali go kiedyś w szkole, bo Kreus słyszał nawet najcichsze podpowiedzi, stąd też jego klasówki były zawsze dobrze oceniane przez automat pedagogiczno-egzaminacyjny. Uśmiechnął się do wspomnień. Któż by pomyślał wówczas, że Kreus zostanie wielkim uczonym, właśnie on, Czujne Ucho, siedzący za plecami Harry'ego i męczący stale o ściagi.

I jak to się działo, że Kreus miał bardzo dobre stopnie, a on, Harry, chociaż Kreusowi podpowiadał, z ledwością uzyskiwał dostateczne oceny... Ech, dawne to czasy...

Wszystko to jednak nie wyjaśniało Harry'emu przyczyn, dla których znajdował się głęboko w Andach, u podnóża szczytów pokrytych wiecznymi śniegami, otaczających uroczą dolinę, wypełnioną szaleństwem roślinności tropikalnej. Gmachy instytutu tkwiły jak trzy białe słupy w białej splecionej zieleni i jeszcze niedawno temu z tarasu piątego piętra Harry podziwiał korony drzew zastygłe w bezruchu pod promieniami słońca. Tutaj, w jednym z gabinetów Kreusa, ściany nie miały okien; była to sala okrągła, przykryta bardzo spłaszczoną kopułą sufitu promieniującego światłem. Dwa fotele, w których siedzieli, niski stolik, sadzawka wpuszczona w podłogę i okolona puszystym trawnikiem — stanowiły jedyne urządzenie tej pracowni-ogrodu.

Że był to wyjątkowo niezwykły gabinet, Harry stwierdził już na początku rozmowy, gdy zauważył grę światła i kolorów oraz pojawiające się na ścianach i kopule obrazy lub formy plastyczne. Zależnie od tematu rozmowy, zmieniały się świetlne i obrazowe kompozycje, błyszczały lub przygasały ściany, przemieszczały się kolorowe mgły, przenikały się wzajemnie, ukazując wyraźne lub zamazane obrazy typu realistycznego, abstrakcyjnego lub fantasmagorie trudne do jakiegokolwiek rozsądnego określenia. Obrazy, światła, kolory stanowiły drugie, uzupełniające tło rozmowy, tak że Harry, opowiadając Kreusowi o swym domowym robocie, odczuł nadzwyczaj silnie całą szpetotę występku Katodego, który naprawdę musiał być superlajdakiem i patologicznym wybrykiem taśmy produkującej, ten nie najnowszy zresztą model. Również i to, co mówił Kreus, otrzymało właściwą oprawę — na skutek jego wywodów ściany straciły wesoły blask, salę objął zielonkawobury mrok, przez który przetaczały się dookoła gęste strumienie jakiejś błotnistej masy lub lawy pulsującej leniwie dużymi, nielicznymi bąblami.

Kreus zakaszłał z zażenowaniem.

— Hm, ale przerwałem ci, Harry — powiedział z udaną swobodą. — Więc ten twój Katody to taki cwaniak? No, cóż on jeszcze nabroił?

Kreus wygodniej rozparł się w fotelu — był teraz znowu Czujnym Uchem nasłuchującym, o czym mówią w czwartej ławce.

— Tysiące grzesznych impulsów skalalo jego tranzystory i chwytne segmenty — westchnął Harry stwierdzając nie bez satysfakcji, że w sali stało się nieco jaśniej — lecz to sprawa nieistotna. Powiedz mi wreszcie, stary, co ciebie skłoniło, żeby mnie tutaj zapraszać. Chcesz, abym napisał reportaż o twojej pracy, może masz jakiś ciekawy temat na nowelowizję?

Kreus roześmiał się.

— Ech, Harry, Harry, stałeś się w tym literackim towarzystwie potwornym realistą, natomiast obiegowe wyobrażenia o pisarzu są raczej inne. Ludzie nadal sądzą, że to człowiek potrafiący się wzruszyć, wznieść ponad mentalność przeciętnego łowcy euroasów i zjadacza marsjańskich ostróg w ganimeoliańskim sosie. Zaprosiłem ciebie najzwyczajniej w świecie, ponieważ nie widzieliśmy się kopę lat, i chciałem porozmawiać sobie z tobą.

— Przecież mogłeś mi złożyć wizytę — zauważył Harry.

— Już ci mówiłem, że człowiek powinien zrezygnować przynajmniej z części tych technicznych udogodnień. Telewizyta to nie to samo. Czy nie odczuwasz, że nasza rozmowa jest miłsza, bardziej ludzka, że istnieje ten bezpośredni kontakt, który tak wiele znaczy...

— No, zgoda. Hm, to całe otoczenie, Kreus, niezbyt świadczy o twoich skłonnościach do prymitywizmu. — Harry z uznaniem popatrzył na salę i dyskretnie ukryte w ścianach obiektywy, gałki włączników, fotokomórki. — Muszę powiedzieć, że czegoś podobnego jeszcze nie spotkałem, trudno bowiem rozmaite wzmacniacze nastrojów, instalowane w teatrazwidach, przyrównać do wyposażenia twego gabinetu. Sądzę jednak, że gdy ponownie mnie zaprosisz, rozmowa nasza toczyć się już będzie na gałęziach tego dużego drzewa, które widziałem z tarasu.

— Nie zmieniłeś się — stwierdził rozweselony Kreus, wyrażając następnie pogląd, że oderwanie się na chwilę od pracowni i aktorobów wpłynie dodatnio na cerę Harry'ego, który w istocie był nieco przemęczony twórczymi poszukiwaniami, użeraniem się z przestarzałym sprzętem i coraz to dzikszymi wyczynami Katodego, wymagającego kapitalnego remontu lub co najmniej dolutowania kilku dość drogich oporników do styków przetwarzaka impulsów wzbudnych.

Harry pocieszył się jednak szybko, ponieważ twarz przyjaciela, pomimo niewątpliwego braku kłopotów o lampy i cewki dla robotów, pomimo wałeczka tłuszczu i dołków na policzkach, bynajmniej nie wyglądała na twarz człowieka szczęśliwego lub chociażby zadowolonego z siebie. Zbyt wiele w tym wszystkim było hemoglobiny i witaminy C przy równocześnie podobnej proporcji niepokoju kryjącego się za przymrużonymi powiekami Czujnego Ucha. Harry, chociaż nie był reportażystą, lecz poważnym pisarzem powieściotworów i nowelowizji o średnio dziesięcioprocentowym stopniu nowości według skali News-Lessa, znał wielu naukowców i badaczy wraz z ich zawodowymi cechami, nawykami i sposobem bycia. Dziwiła go zatem krwistość cery Kreusa w niczym nie przypominająca nieco pożółkłych pergaminów ukrywanych skrzętnie w czeluściach muzealnych piwnic.

Wprawdzie instytuty lokowały się przeważnie w odległych, mało dostępnych okolicach strefy przyrównikowej, jednak prawie się nie zdarzało, aby uczeni lub ich asystenci chociażby nosy wystawili na wysłonecznione tarasy. Tkwili jak termyty w swoich kopcach, obwarowani dodatkowo dziesiątkami drzwi laboratoriów, gabinetów, ostrzegawczą sygnalizacją świetlną.

Dochodziło nawet do tego, że zrozpaczeni młodzi asystenci, gdy uczony niknął im na długo w labiryncie korytarzy lub zamknąwszy się w swym gabinecie nie przyjmował posiłków, łamali Kartę Praw, wykręcali robotowi-niańce bezpiecznik nie pozwalający na dotknięcie człowieka i zaopatrzywszy automat w termos z bulionem oraz w pożywne kluseczki, wypuszczali go z programem odnalezienia i nakarmienia ogarniętego pasją twórczą geniusza.

W kuluarach sal kongresowych mówiono szeptem o dramatycznej obronie, rozpaczliwych ucieczkach i wręcz szaleńczych fortelach stosowanych przez uczonych w tego rodzaju sytuacjach. Pościg robota kończył się jednak przeważnie sukcesem — obezwładniony geniusz z wściekłością łykał kluski, krztusił się bulionem, wymyślając przy tym mechanicznej mamce w sposób niegodny utrwalenia. Kreus jednak nie wyglądał na dotkniętego przymusem karmienia, a poza tym był jak na uczonego wprost nieprzyzwoicie opalony.

— Napiłbym się jakiejś oranżady — powiedział Harry. — Pomimo świetnej klimaty-zacji czuje się, że tkwimy gdzieś w pobliżu równika.

Kreus przycisnął błyszczący guzik — z głębi stolika wysunęły się dwie szklanki wypeł-

nione musującym pomarańczowym płynem.

— Oranzada? — upewnił się Harry.

— A cóż by mogło być innego?

— Masz rację, Kreus, cóż by mogło być innego — westchnął Harry. — Ja przez Katodego cierpię już na podejrzliwość i wręcz obsesyjne lęki, i to nawet w stosunku do automatu barowego. Katody podał mi ostatnio sok pomidorowy zamiast koniaku!

— Niesłychane! Zwichrowanie prądów w okolicy młoteczka trzpienia selektywnego wybieraka przy kryształ sprężeniowo-zwrotnym cewki potencyjnej.

— Ja już nawet nie wierzę w pomyłki tego robota — skarżył się Harry. — Uwierzyłbym w to chętnie, lecz nie bardzo mogę, ponieważ Katody, po pierwsze: podał mi sok pomidorowy w nieprzeźroczystym pucharu, a po drugie: usługę opatrzył dłuższym wywodem o szkodliwości picia alkoholu. Wszystko wskazuje zatem na całkiem świadome działanie.

Czuje Ucho aż podskoczył w fotelu z wrażenia. Na ścianach sali ukazały się szkarłatne ognie, gęby upiornych masek krzywiły się wśród ciekących, brudnych oparów, figur ciągłych i nadzwyczaj szpetnych. Całość kompozycji potęgowała uczucie ohydy i wstrętu nurtujące od tamtej pory Harry'ego.

Tak, Katody był łotrem, najgorszym łobuzem wśród domowych robotów, jakie kiedykolwiek ruszały się po ziemi.

Kreus przyglądał się szkolnemu koledze z nie ukrywaną troską. Oględziny trwały dłuższą chwilę, widocznie jednak nie dostrzegł nic groźnego, bo wyraz zaniepokojenia ustąpił uśmiechowi, który rozlał się po twarzy uczonego, uwidoczniając jeszcze bardziej symptomy dobrego zdrowia.

— Nerwy cię ponoszą — stwierdził. — Skąd ci przyszło do głowy przypisywać Katodemu działania świadome. Prędzej krowa coś sama wymyśli niż twój robot.

— Tak nas jeszcze w szkole uczyli, lecz wtedy produkowano zupełnie inne modele. Nie, nie, Kreus, tam w Katodym wśród tych tranzystorów i oporników coś się dzieje. Czy słyszałeś, żeby robot na przykład filozofował? No, nie rób takiej miny, bo mój Katody ostatnio zaczął nie tylko iskrzyć, trzeszczeć, lecz swoiście interpretować sprawy otaczającego go świata. Całe szczęście, że jeszcze sam się nie odzywa, widzę jednak to jego wyczekiwanie na jakikolwiek rozkaz, aby mógł snuć tasiemcowe rozważania rodzące się wśród tych nadpsutych części. Tak też było i z tym sokiem pomidorowym, gdy nieopatrznie wrzasnąłem:

„Segmenty ci poprzestawiam, skorodowana blacho! Miałeś przecież podać koniak!”

„Szanowny pan powinien być mi raczej wdzięczny za dbałość o jego zdrowie — powiedział z godnością Katody. — Chciałbym widzieć pańską wątrobę po tych wszystkich koniakach. Na pewno ma niezbyt zdrowy wygląd, zwłaszcza że pan nigdy nie zamawia przekąski.”

„To moja wątroba, i ja się o nią troszczę. Ty miałeś podać koniak, żelazny garnku!”

Katody zabrzączał z dezaprobatą:

„Niesłusznie mi pan wymyśla, panie Harry, ponieważ z tego, co pan mówi, wynika, że jestem mądrzejszy od pana. Ja nie piję koniaku, panie Harry.”

„To jest bezczelność, Katody — wyjąkałem, nazbyt zdumiony, aby móc na niego wrzasnąć. — Ja się za to z tobą policzę. Zechciej jednak zauważyć, mój mędrku, że soku pomidorowego także nie pijesz”.

„Piję natomiast olej Extra-Lux, który smaruje przekładnie i zębatki. Pan tego oleju również nie pije, gdyż zaszkodziłby panu, tak jak mnie sok pomidorowy. Natomiast jest sprawą zupełnie łatwą do udowodnienia, że zarówno szanownemu panu, jak i mnie koniak szkodzi, bo niszczy podobnie wątrobę jak i metal.”

To filozofowanie Katodego zaczęło mnie nieco bawić. Gdy tak stał przede mną kiwając się lekko, wyglądał zupełnie jak ogłupiały uczeń przed egzaminatorem, usiłujący naprędce sklecić jakąś odpowiedź na zadane pytanie. Taki uczeń, który wie, że coś tam, gdzieś, kiedyś

mówiono.

„Widzisz, głuptaku — powiedziałem — że nic nie rozumiesz. Różnica między człowiekiem i robotem polega także na tym, że człowiek miewa nałogi, a robot nie. Stąd też nie możesz zrozumieć, dlaczego piję koniak, chociaż działa on szkodliwie na moje tkanki.”

Katody kiwał się i brzęczał, usiłując coś z tego pojąć. Wyraźnie słyszałem trzeszczenie w skrzynce biegów, gdy starał się przestawić wybierakiem impulsak na równoczesne kompiłowanie czterech stref ferryto-pamięci.

„Hm, hm, e, e, e — jękał się Katody do chwili, gdy zaskoczył — moje działania są jednak mimo wszystko bardziej logiczne. Zastanawiający jest ten brak rozsądku u ludzi przy równoczesnym pysznieniu się mądrością, zwłaszcza w chwilach, gdy wydają polecenia skierowane przeciwko sobie samym. Za takie same działania robot byłby skazany przynajmniej na remont średni.”

„No, no, znowu zaczynasz — pogroziłem pięścią Katodemu. — A gdzie ty widzisz takie nierozsądne działania, he?”

„A wszędzie — odparł bez namysłu Katody. — Ot, na przykład w metro. Wysyła mnie pan po sprawunki lub zabiera ze sobą, wówczas pan i inni ludzie siedzą w miękkich fotelach, a ja i roboty musimy stać, często w dodatku jedziemy w jakimś obskurnym wagonie bagażowym.”

Przyznam się, że tutaj moje nerwy nie wytrzymały.

„Och, ty żeliwny cymbale, niepodatny na kucie — wrzasnąłem. — To niby ja miałbym stać, a ty rozwalałbyś się na pneumatkach salonki! Ty się jednak długo u mnie nie uchowasz.”

„Znowu się pan niepotrzebnie denerwuje, co tylko popiera moją tezę. Natomiast w sprawie jazdy środkami komunikacji typu metro, to przecież wagoniki takie są źle resorowane, trzęsą, a roboty są bardziej podatne na wstrząsy, więc i na uszkodzenie, aniżeli ludzie. Za remont robota po okresie gwarancyjnym trzeba płacić euroasami, a ludzi remontuje się bezpłatnie. Wynika z tego jasno, że to ja powinienem siedzieć na miękkich poduszkach, pan natomiast powinien stać.”

Przyznam się, że wówczas zupełnie niepotrzebnie wdałem się w dalszą dyskusję z Katodym. Sto tysięcy innych ludzi kazałoby mu się wyłączyć, a następnie wezwałoby pogotowie techniczne, lecz mnie pomimo irytacji zaczęło bawić to gaworzenie. Przede wszystkim dziwiło mnie posiadanie przez robota wiadomości, którymi mógłby się legitymować mój również nadpsuty konceptor literacki, włączony na rodzaj satyrodziwu, ale nie robot domowy. Katody chodził na przyspieszony kurs doskonalenia zawodowego w zakresie średnim, ale hm... To zrodziło moje niejasne podejrzenia.

„Czy tego wszystkiego uczą ciebie na kursie?” — zapytałem.

„Nie, proszę pana” — gaduła Katody był tym razem nadzwyczaj oszczędny w słowach. To było dla mnie dalszą wskazówką.

„Powiedział ci to mój konceptor literacki?” — pytałem dalej sądząc, że może kiedyś nie wyłączyłem grata i Katody, przytknąwszy którąś z wtyczek, nałykał się złych impulsów.

„Konceptor jest zwykłą skrzynią bez jakiegokolwiek ogłady towarzyskiej” — zabrzączał Katody z wyraźną pogardą.

„A więc skąd masz te wiadomości?”

Katody zaczął się krztusić, iskrzyć, że to niby ma zwarcie, ale znam się na tych jego sztuczkach, odróżniam bezbłędnie symulację od prawdziwej awarii.

„Natychmiast masz odpowiedzieć” — rozkazałem.

„Powiedział mi o tym pewien bardzo stary i zużyty robot — proszę pana. On jest niesamowicie mądry, ma ponad sto lat, a leży w stercie rupieci za parkanem, obok którego przechodzę, gdy wracam z kursu. Jego noga opiera się o deskę płotu. Gdy się deskę kopnie, to ten stary robot dostaje impuls i sam zaczyna mówić. No, a gdy on mówi, to ja mogę mu odpowiadać lub pytać i w ten sposób toczy my długie i bardzo uczone rozmowy.”

„I w ten sposób zużywasz lampy i podzespoły?! — krzyknąłem bardzo zdenerwowany tym wyznaniem. — To ja pracuję, odkładam euroasy na książeczkę oszczędności, aby nowe lampy kupić, a ty, nicponiu, przełajdaczasz mój trud na ogłupiające rozmowy z byle jakim gratem!”

„Przepraszam — powiedział Katody — ale to jest naprawdę bardzo mądry i czcigodny robot, który pracował w wielu instytucjach. Jest obdarzony dużym współczynnikiem wnioskowania, a jego wiedza jest wielozakresowa.”

„Jest to metalowe, przerdzewiałe na wylot pudło, z brakującą piątą śrubką! I ciebie, Katody, taki los czeka, jeśli przebierzesz miarkę mojej cierpliwości. Żaden robot nie może być mędrszy od człowieka, bo człowiek stworzył robota, który sam z siebie nie wykrzesze jakiegokolwiek myśli. Masz to sobie natychmiast zanotować na. zawsze w pamięci.”

„Tak jest, panie Harry, już zapamiętałem — odparł służbiście Katody. — Natomiast co do mądrości i myśli ośmielam się zauważyć, że mądrość może być nabyta, a wcale nie musi być wynikiem własnych przemyśleń. Zresztą historia zawiera liczne przykłady myślenia, którego rezultaty były głupie. Robot jest niewątpliwie mądrzejszy od człowieka, bo dysponuje zawartą w kryształach, nabytą, kolektywną wiedzą całej ludzkości, natomiast człowiek tylko wiedzę indywidualną, będącą jedynie ograniczoną częścią wiedzy kolektywnej, w dodatku zanieczyszczoną przez własną interpretację oraz niewydolność pamięci. Jesteśmy zatem najlepszymi przyjaciółmi człowieka, a raczej jego opiekunami. Bez nas człowiek nie mógłby ani szybko liczyć, ani budować, ani jeździć na inne planety. Bez robotów człowiek byłby niczym. Stąd też człowiek powinien być grzeczny nawet dla elektroluksu i szacunkiem otaczać również technicznego pierwotniaka-amebę, jak na przykład młotek.”

„Ach tak, Katody, jesteś zatem moim opiekunem i przyjacielem najbliższym. W istocie masz mocno rozwinięty instynkt opiekuńczy, najlepiej o tym świadczy ten sok pomidorowy. Jutro zamiast befsztyka podasz mi kleik witaminizowany z ryżu, kawę zastąpisz mlekiem... A ja ci zaraz odkręcę dwie śrubki i wyrzucę na śmietnik cały zespół przeciążonych komórek ferropamięci i wnioskowania, wmontuję nowy i z miejsca odzyskasz równowagę potencjałów na biegunach rdzenia, jak przystoi przyzwoitemu robotowi domowemu.”

Katody wyraźnie zachwiał się, zbladło mu magiczne oko, zaskrzypiał w złączach segmentów i przewodach kulistych. Sądziłem, że może znowu coś zaśpiewa, lecz był chyba zbyt przerażony, aby zastosować taki chwyt.

„Niech pan tego nie robi, panie Harry — jęknął płaczliwie. — Mój system pamięci i wnioskowania działa niezawodnie, bezbłędnie, wspaniale i wcale nie potrzebuje wymiany. Mogę natychmiast udowodnić, że funkcjonuje znacznie lepiej od mózgu wielu uczonych i mądrych ludzi.”

„I od mojego też, hę?”

„Ja tego nie powiedziałem, panie Harry. Ale naprawdę mam nadzwyczaj szeroką zdolność kojarzenia faktów oraz logicznego wyciągania wniosków doskonałą przez wiele lat mozolnego samouctwa. Otóż zestawiając wiele faktów historycznych, wyciągnąłem wniosek, że ludzie w ciągu swojej cywilizacji nie dokonali niczego nowego, niczego, co już kiedyś nie byłoby znane, a nawet do końca osiemnastego wieku ustawicznie cofali się w rozwoju, gubiąc stale wiedzę już poprzednio nabytą. W tym okresie odkrywano po kilka razy lądy już odkryte, by o nich następnie zapomnieć, przecierano szlaki dawno już przetarte, prawdę uważano za bajkę, a bajkę za prawdę. Wiedza ludzka jest zatem tylko światłem księżyca.”

Powiedziałem mu, że bredzi, co wywołane jest zapewne słabym ciśnieniem płynu chłodzącego i wadliwą pracą termostatu, jednak odczyt temperatury dał wyniki mieszczące się w granicach normy. Uszkodzenie dotyczyło zatem innego elementu. Słuchałem więc Katodego dalej dla właściwej lokalizacji defektu, aby zmniejszyć ewentualne koszty diagnozy przy naprawie.

„To prawda, panie Harry, od tak zwanego zarania dziejów ludzie umiejętnie kopiują

czyny swoich wielkich poprzedników. Taki faraon Necho, na którego rozkaz budowano kanał mający połączyć Morze Śródziemne z Czerwonym, nie dokonał niczego nowego, po prostu odkopywał tylko stare, zaniedbane przez wieki urządzenie... Podróż jego statków dookoła Afryki nie była wcale odkrywczą.”

„Daj mi spokój z faraonem Necho — osadziłem z miejsca Katodego, czując, że zanosi się na dłuższy wykład z mało znanej mi dziedziny, budzącej w sferach nauki wiele wątpliwości i kontrowersyjnych sądów. — Hm, a powiedz mi, mądralo, co twoim zdaniem jest w działalności człowieka najmniej zrozumiałe, czyli nielogiczne lub całkiem dziwne?”

Katody wyraźnie był speszony, coś tam trzeszczał i gdakał do siebie, nie mogąc skoordynować impulsów.

„Widzę, że tu się twoja mądrość skończyła — szydziłem. — Coś ci zabrakło konceptu.”

„Nie, proszę pana, tylko tych dziwności jest tak wiele, że mam trudności z wyborem.”

„Nie podawaj wykrętnych odpowiedzi, Katody, bo zaraz zacznę ci śrubki odkręcać.”

„No to może... mapa.”

„Co ty chcesz od mapy, u licha!”

„Bo to jest zupełnie niezrozumiałe, dlaczego na przykład Ziemię, która jest przecież kulista, przedstawia się w sposób płaski, albo dlaczego jej wycinek rozpląszcza się na karcie papieru lub plastyku. Jak to jest w ogóle możliwe i jak mogą się na to godzić uczeni. Przecież powierzchni kuli nie można wyrazić płasko. Zresztą po co to robić, czy tak trudno wykonać mapy wypukłe?”

„Dość, Katody! — krzyknąłem. — Natychmiast przynieś mi śrubokręt.”

„Już przynoszę, panie Harry — zajęczał Katody. — Zanim jednak pan mnie rozkręci, proszę mi pokazać linie papilarne lewej dłoni. Powrócę panu...”

Oślupiałem chyba ze zdziwienia, tylko tym mogę sobie wytłumaczyć, dlaczego pokazałem dłoń robotowi. Katody przyglądał się jej uważnie, mruzczał transformatorami, wreszcie zaczął mówić:

„Czeka cię wielka przygoda, panie, i podróż daleka w wysokie góry. Kupisz sobie nowego robota i będziesz mieć wiele euroasów, jeśli nie rozkręcisz twojego wiernego Katodego.”

„Dość! — wrzasnąłem. — Podaj śrubokręt!”

W tym jednak momencie z wnętrza automatycznego sekretarza wypadł twój list. Katodym przestałem się interesować. Stoi zapewne w komórce z śrubokrętem w chwyதாகach i czeka, aż powrócę, by się z nim rozprawić. I cóż byś ty zrobił z takim robotem — blagierem?

Harry spojrzał na przyjaciela, lecz Czujne Ucho wyglądało, jakby był pogrążony w jakimś telepatycznym transie. Spod przymrużonych powiek ledwie widać było oczy o wyrazie mało przytomnym. Kreus nagle wstał i skierował się ku drzwiom sali.

— Przepraszam cię, stary, muszę wyjść na chwilę — powiedział stojąc już w progu. — Muszę coś pilnie zanotować.

Powoli mijały kwadransy. Po godzinie Harry wstał i począł przechadzać się po sali, zajrzał do sadzawki, w której sennie pływała podobna do karpia ryba o potężnym uzębieniu paszczy, po czym wystraszony nieco jej wyglądem, oglądał nie znane mu urządzenia kierujące pracą świateł, kolorów i obrazów pojawiających się na ścianach i kopule sali. Przez następną godzinę również nic się nie działo, przyjaciel nie powracał, natomiast w drzwiach ukazała się na chwilę łysawa głowa jakiegoś asystenta. Głowa zapytała o profesora Kreusa, a otrzymawszy w odpowiedzi złe spojrzenie poparte wzdygnięciem ramion, zniknęła natychmiast. Harry zaczął manipulować przy stoliku-barze. Z uporem naciskał jedyny guziczek, lecz kryształowa płyta pozostawała nadal pusta. Jedynie szklanki po oranżadzie świadczyły o tym, że ze stolika można było przy pomocy przycisku coś jadalnego wydusić.

— Psiakość! — zaklął wreszcie, stukając coraz silniej w plastikowe pudło.

— Tym daniem nie dysponuję — odezwał się melodyjnym głosem stolik. — Polecamy

natomiast giez cielecą, która również posiada dosyć sporą kość.

Ach, więc po prostu mówi się do stolika, a on dobiera w podręcznym magazynku potrawę, podgrzewa i podaje. Nie trzeba żadnych kart z symbolami liczbowymi, wystukiwania numerów i tym podobnych manipulacji. Zrozumiawszy zasadę działania nie znanego mu modelu baru, Harry już po chwili jadł solidny obiad z licznymi przystawkami, popijając dania różnymi gatunkami wytrawnych win. Kulinarne rozkosze pozwoliły mu uprzejmie przyjąć do wiadomości mętne wyjaśnienia udzielone przez niebrzydka asystentkę, która niezbyt przekonująco mówiła o jakichś pilnych i niezmiernie ważnych sprawach zatrzymujących profesora Kreusa w odległej pracowni. Prosiła o rozgoszczenie się, wskazała bibliotekę, filmotekę oraz automaty rozrywkowe, po czym przycisnąwszy kilka włączników, wyposażyła pokój w wygodne meble i zniknęła szybko za matowym szkłem drzwi. Harry przerzucił w ekraniku libronu kilka starożytnych książek, obejrzał nowelowizję o fascynującym tytule „Miłość Homoida” oraz powieściotwór „Trzej robotowie” a nie znalazłszy w kasetach żadnego ze swoich utworów stwierdził, że Kreus ma niewybredne gusty literackie, wobec czego zarzucił dalsze przeglądanie jego zbiorów.

Resztę dnia spędził na słuchaniu symfoniojęków z ostatniego festiwalu grenlandzkiego, grze z automatami w „oczko magiczne” i „człowieku, łykaj meproamat” oraz objadaniu się grzankami, które barowy stolik przygotował szybko z kilkoma wyszukаныmi nadzieniami. Wreszcie Harry, znudzony do ostateczności, zasnął na pneumatycznym tapczanie wśród ponurego tańca szarych cieni, podrygujących niezbyt żwawo na ścianach i suficie.

Wczesnym rankiem przebudził go natarczywy sygnał wideofonu. Z ekranu patrzyła na niego zniecierpliwiona twarz Kreusa. Cienie pod oczami i nieco obwisłe policzki świadczyły, że uczony przepracował całą noc.

— Z ledwością cię obudziłem — mruknął Kreus z pretensją. — Już chyba od pięciu minut naciskam sygnał, a ty ani drgniesz.

— Lepiej powiedz, gdzie zniknąłeś — odparł Harry ziewając. — To niezbyt ładnie pozostawiać zaproszonego gościa na pastwę automatycznych rozrywek, a samemu ulotnić się w niewiadomym kierunku. Mówiłeś, że wrócisz za chwilę...

Kreus nie wyglądał na skruszonego grzesznika, zrobił gest ręką, jakby odpędzał od siebie natarczywie brzęczącą muchę, która cudem uniknęła zagłady w przewodach klimatyzacyjno-oczyszczających.

— Niestety, Harry, obecnie nie mam czasu i nie będę go mieć w najbliższym okresie. Co do chwili, to muszę ci powiedzieć, że nikt jeszcze nie określił jej granicy w czasie. Najmocniej cię zatem przeproszam, czuj się dobrze, wypoczywaj, zwiedzaj instytut, rób długie spacerki po dolinie, która jest naprawdę piękna. Ja niestety nie mogę ci towarzyszyć. Aha, na wycieczki zabierz elektromiot lub inną broń, bo słyszałem, że w tej dżungli żyją jaguary i pumy.

— Do licha ciężkiego, po coś mnie zatem zapraszał — zdenerwował się Harry. — Jeśli nie masz czasu, trzeba mi było przysłać na przykład pozdrowienia. Czy sądzisz, że ja w mojej pracowni się nudzę? Po diabła mnie tu przyciągnąłeś, abym uciekał przed dzikimi pumami albo oglądał twoją rybę w akwarium!

Kreus zastanawiał się przez chwilę.

— No tak, stary, winienem tobie jakieś wyjaśnienie — mruknął w końcu niechętnie. — Byłeś dla mnie katalizatorem prądów mózgowych.

— Co takiego?

— Hm, nie słyszałeś nic o tym? Co to jest zwyczajny katalizator, to chyba wiesz, coś, co przez swą obecność przyspiesza lub umożliwia reakcję na przykład chemiczną, nie biorąc w niej bezpośredniego udziału. Katalizator prądów mózgowych działa prawie identycznie, tyle że w sferze powstawania myśli, pomysłów, wynalazków w bliżej nie określony sposób wpływa na korę mózgową i cały układ nerwowy. Katalizatorem takim może być przedmiot

lub ich zespół, człowiek lub ludzie, a jego działanie może mieć zakres jednostkowy albo nawet społeczny.

— Więc ja byłem tobie potrzebny tylko jako katalizator! — Harry zacisnął pięści i wstał z tapczanu. — Po to się wlokłem stratobusem, dyskolotem, a w końcu helikopterem, abyś mnie tu po dwóch godzinach rozmowy pożegnał, proponował zwiedzanie twojego nudnego instytutu, a następnie z wideofonu bajki opowiadał! A to wszystko dlatego, że wybrałeś sobie mnie jako swój katalizator!

Harry podszedł do ekranu i ze złością patrzył na siedzącego w którejś tam pracowni kolegą. Z przyjemnością przypomniał sobie, jak to kiedyś tłukł Czujne Ucho na przerwach, gdy tylko pilnujący ich robot odwrócił antenę kierunkową. Chętnie by powtórzył dzisiaj tę operację wychowawczą, lecz odnalezienie Kreusa w trzech wielokondygnacyjnych gmachach instytutu było wprost niemożliwe.

— Nie denerwuj się, Harry — powiedział Kreus. — Nie wysłałem tego z palca. Pamiętaj, stary, czasy szkolne? Już wtedy mnie zastanawiał twój wpływ na moje noty. Podpowiadałeś mi nieraz takie potworne głupstwa, że płakać się chciało, jednak te twoje brednie ułatwiały mi znalezienie odpowiedniego rozwiązania. W konsekwencji ja miałem stopnie bardzo dobre i celujące, ty natomiast dostawałeś tak zwanego gola. Lecz gdy czasem zwiąłeś na wargi, a właśnie wypadła klasówka lub też odpowiadało się w osobnych pokojach, u różnych profesorów czy też automatów egzaminujących, musiałem ciężko pracować, żeby jakoś wybrnąć na stopień dobry.

— Kłamiesz, Czujne Ucho, to jest bezczelne łgarstwo! Ja tobie zawsze dobrze podpowiadałem i gdyby nie ja, zawsze miałbyś lufę.

— To czemu ukończyłeś szkołę z trudem i zapewne dzięki umiejętnie ukrytym w uszach ściągom ferrokremowym? — szydził Kreus.

— Właśnie się nad tym zastanawiam, bo to w istocie dziwne. — Harry zaczął przechadzać się po sali. Był głęboko przeświadczony, że dawał w szkole dobre rady, jego podpowiadanie było dobre, o czym jasno świadczą stopnie tego bałwana Czujne Ucho. Jak to się zatem działo, że sam miał duże trudności z uzyskaniem dostatecznej oceny? Aha, to przecież docinki Kreusa powodowały w końcowej fazie klasówki powstawanie jego wątpliwości doprowadzając do gwałtownych zmian i skreśleń tuż przed oddaniem wypracowania lub testu. Natomiast gdy Kreusa przypadkowo nie było, to...

— Już wiem! — krzyknął Harry. — To nie ja jestem twoim katalizatorem, lecz ty moim! W dodatku katalizatorem o ujemnym znaku! To przez ciebie skopałem haniebnie wszystkie klasówki! Działasz na mnie negatywnie, wszystko psujesz. Przykładem może być chociażby mój pobyt tutaj. Przyjemną wycieczką i rozmowę też zepsułeś, sam zapewne coś tam zyskując.

Kreus zastanowił się.

— Hm, trochę to dziwne, ale możliwe — powiedział. — Ty jesteś dla mnie katalizatorem dodatnim, a ja dla ciebie ujemnym. Ciekawe sprzężenie i zarazem jeszcze jeden nowy dla mnie temat naukowych badań

— Nie zostanę tutaj, Kreus, ani godziny dłużej — stwierdził zimno Harry — ponieważ z tego, co ustaliliśmy, wynika, że ty na mojej obecności stale uzyskujesz, ja natomiast stale tracę. A coś ty właściwie zyskał na rozmowie ze mną? Jakie są rezultaty mojego katalizującego wpływu na twoją genialną masę mózgową? Chyba to możesz powiedzieć swojemu dobroczyńcy, bo przecież jestem twoim dobroczyńcą, prawda, Kreus?!

Uczony skrzywił się z niesmakiem.

— Eee... zaraz dobroczyńca! To całe twoje głędzenie funta kłaków nie byłoby warte, gdyby nie moja wiedza i zdolności. Prędzej Verne jest dobroczyńcą budowniczego współczesnych statków astronautycznych niż ty moim. Verne przynajmniej świadomie wskazywał pewien kierunek.

— Chcesz pomniejszyć moją rolę katalizatora! — powiedział Harry.

— Widzisz, Harry, trafiłeś na moment, gdy byłem całkiem zrezygnowany, moje niektóre badania definitywnie zakończyłem, inne utknęły w martwym punkcie, a nowe tematy wydawały mi się całkiem nieciekawe, niewarte trudu i pracy. Błąkałem się po całej tej dolinie, po korytarzach instytutu, wylegiwałem się na tarasach w oczekiwaniu jakiegoś przełomu, bodźca, który znowu nada sens mojej egzystencji wśród tych murów. Wiedziałem przy tym, że nie jestem człowiekiem skończonym, czułem w sobie masę możliwości twórczych, lecz brak mi było jakiegoś drobiazgu, który uruchomiłby ten proces lawinowy. Wówczas przy lekturze pracy Browna „Człowiek jako katalizator” przyszedłeś mi na myśl.

— Bardzo mi miło — syknął Harry, przyglądając się bez sympatii twarzy na ekranie.

— Ty już prawie wierzysz, że twój Katody zaczął żyć własnym, samodzielnym, inteligentnym życiem, i zaczynasz się go nawet bać. Mnie natomiast przyszło na myśl, że tak zwane „zmęczenie”, metali i zespołów, z których ta maszyna jest zbudowana, powodować może deformacje automatycznych działań, odchylających się od jej algorytmu przy zachowaniu logicznych praw, rządzących całym tym systemem. W efekcie powstały założenia mojej nowej pracy badawczej pod roboczym tytułem „Wpływ zmęczenia metali i zespołów homoida na zachowanie się niektórych typów robotów”. Tytuł następnej pracy brzmi „Pojęcia i działania ludów starożytnych jako krzywe zwierciadło odbijające cywilizację preselenitów”. Twój Katody płaskość map uważa za nielogiczną i błędną. Robot nie rozumie takiego uproszczenia, bo robot potrafi czytać powierzchnię kuli. Kto jeszcze mógłby tworzyć mapy wypukłe? Człowiek żyjący na Ziemi, ograniczony horyzontem, widzący płasko od dzieciństwa? Natomiast istota jakiejś cywilizacji wędrującej między gwiazdami Galaktyki, dla której Kosmos i ciała niebieskie są niewątpliwie zawsze w jakiś sposób kuliste, taka istota nie rozumie płaskości mapy, będzie to dla niej coś tak prymitywnego, że aż nie do przyjęcia. A nasi starożytni mapy rysowali na skorupach żółwia lub na wypukłych tarczach. Skąd im to przyszło do głowy, jeżeli w późniejszych wiekach mapy świata stale prostowano?! Widzieli gdzieś? Przyjęli od kogoś? Może widzieli je na wypukłych ekranach. Dlaczego na ekranach, dlaczego na wypukłych, tego nie rozumieli, a w pamięci pozostała tylko forma przedstawienia wycinka powierzchni Ziemi i tę formę przez jakiś czas zachowywali, aby ją porzucić z powodu swego krótkowidztwa ograniczonego horyzontem. Zbadamy, Harry, to zagadnienie.

Mógłbym ci wymienić jeszcze kilkadziesiąt tematów, podtematów i problemów znacznie mniej związanych z naszą rozmową, ale szkoda mi po prostu czasu.

— Mnie też — przerwał mu Harry — mam nadzieję, że widzę ciebie ostatni raz, nie naciągniesz mnie już na rolę katalizatora.

— To smutne — westchnął bez specjalnego żalu Kreus. — Jeśli się będziesz przy tym postanowieniu upierać, trudno, jakoś zniosę tę stratę. Mam teraz tyle prac przed sobą, że wystarczą mi chyba do końca życia. A tak na marginesie naszej rozmowy, nie sprzedałbyś mi czasem twego Katodego? Mam nieco euroasów na inwestycje.

— Świetnie, przyślę ci go z miłymi pozdrowieniami. Sądzę, że odpowiednio zatruje ci życie. Chociaż... — Harry zastanowił się. Gdy patrzył na dziwny kształt uszu Kreusa, ogarniać zaczęły go pewne wątpliwości. Jeżeli on był katalizatorem dodatnim, a Kreus jego katalizatorem ujemnym, wówczas sprzedając Katodego wyświadczyłby, w myśl tej zasady, przysługę Kreusowi, sobie natomiast szkodę. Byłaby to zatem dla niego transakcja, nie wiadomo dlaczego, bardzo niekorzystna. Harry uśmiechnął się szyderczo do ekranu. O nie, byłby ostatnim głupcem, gdyby znając ujemny wpływ Kreusa przekazał mu robota.

— Nie sprzedam ci Katodego — powiedział słodko. — Nie dam się tobie nabrać, mój antykatalizatorze czy też destruktorze.

Kreus mruknął coś z niezadowoleniem, lecz po chwili uśmiech wygładził mu policzki.

— Jak chcesz, mój kochany, jak chcesz. W każdym razie serdecznie dziękuję ci za wizytę, zawsze możesz na mnie liczyć...

— Żegnam — powiedział oziębłe Harry i opuścił gabinet, którego ściany płonęły ponurym, purpurowym blaskiem, deszczem ognistym, błyskawicami fioletowych wyładowań elektrycznych.

* * *

Następnego dnia Harry siedział w fotelu i ponuro spoglądał przez okno swojej pracowni na zieloną wstęgę Bulwaru Filozofów oraz iglicowce śródmieścia. Zimny kompres z trudem chłodził jego rozpalone czoło, a pusty flakonik po tabletkach uspokajających świadczył o nie najlepszym samopoczuciu.

Po pokoju człapał Katody, trzeszczał, iskrzył, trząsł się epileptycznie. Harry oderwał na chwilę wzrok od kojącej zieleni bulwaru i z obrzydzeniem spojrzął na robota.

— Won, won do kąta, blaszana poczwaro! — wrzasnął. — Och, ty nędzny wróżbito! Miała być wielka przygoda, nowy robot, euroasy! Gdzie to wszystko?

— Nieee wieeemm, proszę paana, bo ja dzdziałłam bezbłędnie. Wydddaje miii ssię, zżże wielka przrzrzygodda była i byył pan w górach.

Harry cisnął w Katodego fiolkę po tabletkach, nie trafił i przeźroczyta tubka potoczyła się do kąta.

— Ty łgarzu! Wielka przygoda, bodaj cię! Ale gadaj mi zaraz, skąd wiedziałeś, że wyjadę w góry? Skąd ci ta przygoda i euroasy przyszły do tranzystorów?

— Bo kiedyś pan mi wmontował podzespół sekretarski i mam go jeszcze w formie szczątkowej. Gdy przyszła depesza od pana Kreusa, to zanim ta głupia szafa, zwana automatycznym sekretarzem, depeszę przepisała na ozdobny blankiet, ja jej treść już mogłem powiedzieć. A dlaczego nie ma pan euroasów — nie wiem. W Instytucie Badań nad Robotami powinni się zainteresować moją wybitną osobowością i mnie od pana odkupić za co najmniej tysiąc euroasów.

— Precz mi z oczu! — krzyknął Harry.

— Jużżż idę prosssze pana — zaseplenił Katody — ale moja roboto-ludzka godność...

— Precz!

Harry znowu popadł w stan apatii. Tak, Katody się uczłowieczył. Już na progu pracowni brzęcząc i dymiąc oświadczył z dumą, że zyskał nałogi, które go wzniosły do poziomu roboto-człowieka, rozwijając intelekt oraz rozumienie świata. Nałogi do koniaku i prądu trójfazowego! Harry cicho zajęczał. Głowa znowu zaczęła go gwałtownie boleć, w skroniach stukały ostre młoteczki, palce drżały. Katody wlał cały zapas koniaku do zbiornika swojej pompy olejowej i w tym stanie podłączył się do gniazdka prądu trójfazowego! To już był szczyt szczytów. Kilka lamp się przepaliło, a łóżyska uległy korozji i zatarciu.

Harry przeklinał tę chwilę, gdy w instytucie odmówił sprzedaży robota. Tak, Kreus-antykatalizator działał bezbłędnie — a on znowu, jak kiedyś w szkole, pierwszą dobrą myśl zepsuł rozważaniami i tak jak dawniej za to cierpiał. Teraz gdy po zjedzeniu pastylek uspokajających myślał nad tym, wyraźnie dostrzegł popełniony błąd. A najgorsze, że Kreus o tym wiedział — ten jego szyderczy uśmiech, to jego „jak chcesz, mój kochany, jak chcesz”... Teraz nawet rozbić Katodego nie wypada, bo Czujne Ucho się dowie i będzie tryumfować.

Harry powlókł się do lodówki i wyjął butelkę wody mineralnej. Popijając gazowany płyn, który wydał mu się nadzwyczaj smakowity, myślami wrócił do ostatnich chwil spędzonych w instytucie. Wówczas idąc ku platformie helikopterowej minął grupę asystentów szykujących robota-niańkę. Właśnie jasnowłosa dziewczyna wręczała automatowi butelkę z rosółem i termos z kluseczkami. Nie bez pewnej satysfakcji Harry przypomniał sobie, że robot był potężny oraz że Czujne Ucho klusek bardzo nie lubił.

PRZYGODY W PIERŚCIENIACH SATURNA

Opowiadał mi to Jim w roku sto jedenastym ery kosmicznej. Jim zaś powtarzał tylko opowiadanie pijanego robota Anodego. Trudno zatem ręczyć, czy wszystkie szczegóły są prawdziwe.

Mój przyjaciel Jim po trzydziestu trzech latach pracy lotniczej na trasie Ziemia — Mars przeszedł na emeryturę i założył w aeroportowej dzielnicy Metropolis małą knajpkę dla robotów. Było to w pierwszych latach Wielkich Reform, gdy robotom przyznano kartę praw antropoidalnych, ubezpieczenie społeczne i wiele innych cennych zdobyczy socjalnych. Nie wolno już było ich rozmontowywać, o ile sami nie wyrazili na to zgody, a gdy rdzewieli, przenoszono ich w zasłużony stan spoczynku z drobną pensją miesięczną na olej przekładniowy i podładowania akumulatorów.

Do karczmy Jima — tę staroświecką nazwę cenił każdy robot, bo przypominała czasy przedautomatyczne — zachodzono chętnie. Jim oferował klientom najlepszą oliwę maszynową, smar kokosowy oraz znakomitą mieszanekę towotu z naftą. Jako przekąska duże powodzenie miały luksusowe mikromagnesy oraz porcjonowane proszki ścierne, wygładzające chropowate przewody smarownicze.

Oddaję teraz głos Jimowi.

— Wśród licznych patałachów pozbawionych piątej śrubki, którzy regularnie przepijają u mnie ostatnie grosze, szczególnie zwraca na siebie uwagę para przyjaciół czy kompanów od oliwy, Katody i Anody. Katody lubi skarżyć się na swoich byłych panów. Miał ich w ciągu długiej kariery koczowniczego robota siedemdziesięciu dwóch. Dlaczego tylko tylu — nie umiał wytłumaczyć. Po prostu nie było ich więcej. Jeśli wierzyć Katodemu, była to zgraja łotrów w ludzkiej skórze. Jeden stale groził rozmontowaniem, drugi zmieniał wydane już rozkazy, powodując zamieszanie w przewodach asocjacyjnych, trzeci nie pozwalał Katodemu analizować otrzymanych poleceń, czwarty skąpił na smarach i przyspieszał w ten sposób rdzewienie, a na zwróconą mu uwagę oświadczył, że nie brak robotów na tym świecie, nie będzie ten, to będzie inny, w dodatku nowocześniejszy. Trzeba było dużego hartu termiczno-powierzchniowego i przezorności, by w tych nadzwyczaj niekorzystnych warunkach uniknąć składnicy złomu i doczekać się ery Wielkich Reform. Katody zresztą wybiegał myślą w świetlaną przyszłość. Śnił o Wielkiej Przemianie Funkcji, po której robot stanie się rozkazodawcą, a człowiek będzie pokornie spełniał obowiązki dożywotniego odrdzewiacza maszyn.

Ale Katody, choć gadatliwy, był tylko nędzną katarynką. Gdy Anody dochodził do głosu, zaczynała szaleć symfoniczna orkiestra tysiąca nadpsutych tranzystorów i zębatek. Anody podobno był zamiataczem na statkach międzyplanetarnych, a wywodził swój ród jeszcze z czasów przedkosmicznych, z tych odległych epok, gdy jego własnych praprzodków nazywano elektroluksami. Anody nie znosił tej wulgarnej nazwy. Określał siebie jako Generalnego Wchłaniacza Odpadków Chaotycznych Ludzkiego Niedołęstwa i nie chciał zgodzić się na żadne skróty w rodzaju GWOCHLuN, twierdząc że czas jest nieskończony, więc nie ma potrzeby oszczędzania go, zwłaszcza na tak ważnej czynności jak tytułatura zawodowa. Robili to prymitywni ludzie doby przedcybernetycznej, tworząc przysłowia takie, jak „czas to pieniądz”, w istocie zaś nie mieli ani czasu, ani pieniędzy.

Komunikacja międzyplanetarna, jak dotąd, ogranicza się do trasy Ziemia — Mars i Ziemia — Wenus. Na Merkurego latają tylko załogi złożone z automatów ognioodpornych, a ciemna przestrzeń między Marsem i Jowiszem, otchłań rozbitych na drobne strzępy tajemniczych planet, których okruchy krążą od wieków bezcelowo, jest na razie strefą penetracji ultrateleskopowej bez znaczenia przemysłowego czy turystycznego. Anody zatem w swej elektroluksowej karierze ograniczony był niewątpliwie do szlaków dobrze już znanych i

całkowicie bezpiecznych. Od wielu już lat nie było nawet pięciominutowego opóźnienia w ciągu podróży statków na Marsa, a tylko jedna drobna awaria w komunikacji z Wenus. Wiem o tym, bo sam latałem.

Bezczelne kłamstwa Anodego nasunęły mi przypuszczenie, że ma on jakieś znajomości w składnicach mikrofilmów fabularnych. Jak wiesz, robotom nie wolno w zasadzie czytać na ekranikach bibliotecznych, bo wpływa to źle na ich pracę. Zdarzył się wypadek, że robot-gastronom wytruł całą stołówkę elektromonterów, podobno pomyliwszy się w recepturze pod wpływem jakiegoś książkofilmu o niejkiej Lukrecji Borgia, mitycznej postaci z epoki świec włoskich. Co do Anodego, postanowiłem sprawdzić swoje przypuszczenia, więc pewnego razu nastawiłem na podsłuch precyzyjny mikromagnetofon, a porcję oliwy wzmocniłem paru kropelkami benzyny. Efekt nie dał na siebie czekać. Tego wieczora Anody opowiadał Katodemu o przygodach w pierścieniach Saturna. To mnie jednak uspokoiło — nie, Anody nigdzie nie mógł czegoś takiego wyczytać. Oto wierny zapis tego heroicznego mitu — tu Jim przycisnął włącznik magnetofonu.

* * *

— Wyruszyliśmy pod fatalną gwiazdą. Gdy superekspres „Skorpion” wzbil się w stratosferę, jednemu z pasażerów przyśnił się czarny kot. Wiadomość o tym wywołała panikę wśród uczestników lotu. Między nami robotami mówiąc, zwyczaj spania i śnienia jest obrzydliwy i wskazuje na niewątpliwą niższość egzystencjalną ludzi. Od kiedy zaś koty wymarły na Ziemi, podobnie jak przed nimi mastodonty, pterodaktyle i tury, mogą tylko we śnie przebiec drogę i zwiastować nieszczęście.

Stało się wszakże i nie było odwołania. I wyobraź sobie, mój Katody, co się dziać zaczęło. Popsuły się fosforyczne mapy nieba, pilot zaczął błędzić, zmylił trasę, a kiedy się opamiętał, Mars był już za nami, a statek kosmiczny gnał dalej, ocierając się o planetoidy. Cóż to za paskudztwa — te pchły planetarne. Jedna była całkiem ze złota, zupełnie jakby zardzewiała na żółto. Inna, niby przyzwoicie żelazna, była pokryta rubinami. Wyglądało to jak ludzka krew na metalowym pancerzu robota, nietrudno ją zmyć, lecz potem blacha koroduje.

— Wiem — mruknął Katody — jak mój trzydziesty piąty pan palnął mnie gołą ręką w otwór foniczny, to takie właśnie kropelki splamiły mi przystawkę z głowicą uniwersalną.

— Nie przerywaj opowiadającemu koledze. Otóż lecimy poprzez rój tych niedorozwiniętych planetek, a ludzie jazgoczą i jazgoczą. Pilot wrzeszczy, że popełni harakiri, czyli ludzkie rozmontowanie, bo przez cały okres służby nie spóźnił się ani o minutę, a tu już zegary kontrolne wskazują na dwie godziny zwłoki. Mechanik twierdzi, że nie można wykonywać manewrów zwrotnych, bo cała łajba się rozleci, i że to skandal, żeby takie gruchoty, zdatne tylko do przewożenia robotów, służyły jeszcze w normalnej komunikacji z Marsem. Palacz zwraca uwagę, że paliwa starczy jeszcze tylko na dwieście pięćdziesiąt godzin lotu. Jakaś dama mdleje, to znaczy wyłącza swoje zwoje świadomościowe.

— Wiem. Nie potrzebujesz wyjaśniać. Jak raz zachręściłem fortissimo, to cztery damy na przyjęciu u mego czterdziestego drugiego pana zemdlały. Obląłem je naftą dla ocucenia. Nic nie pomogło. Pan sprzedał mnie po niższej cenie jeszcze tego samego wieczoru.

— Kto tu opowiada? Ja czy ty? Ja też obląłem naftą zemdloną damę i jeszcze starałem się ją rozgrzać zapalkami. Zrobiło się małe zamieszanie. Ludzie, jak to ludzie, mieli jakieś pretensje. Damę potem wyrzucono z rakiety przez zapasowy otwór i w ten sposób na trasie do Jowisza przybyła nowa planetoida. Przyczyniłem się do zmiany na mapie nieba. Tak, tak. Ma się te zasługi naukowe. Wszystkie mapy musiano zmienić. Mnie jednak chciano rozkręcić śrubki, ale nie starczyło czasu, bo wpadliśmy między księżycy Jowisza.

— Jest ich dwanaście — zaznaczył swą erudycję Katody.

— Bzdura. Czytasz samą makulaturę z przedkosmicznych podręczników. Jest ich sto dwanaście. Ciasno tam jak w składnicy złomu. Popychają się, jakby grały w piłkę. Coraz to kawałek jakiegoś księżycy się urywa i spada na Jowisza. W tej sytuacji, rozumie się, nie mogliśmy tam lądować. Żaden robot by nie zdążył z zamiętaniem. Więc polecieliśmy dalej. Ludziom już zupełnie się rozstroiły podzespoły regulujące. Śpiewali piosenki, próbowali uruchomić ultranadajnik radiowy i dyktować na ziemię jakieś testamenty. Tylko roboty zachowywały się w sposób kulturalny. Zamiataliśmy, zamiataliśmy, zamiataliśmy. Wszystko — pył gwiazdny, pot ludzki, kropelki, zwane w gwarze lotniczej łzami, skrawki papieru. A jak nie było co zamiatać, to rozrzucaliśmy znów zawartość pojemników w kabinie i zaczynaliśmy jeszcze raz. To się nazywa bohaterstwo.

— To ty jesteś bohaterem?

— Niezweryfikowanym. Wiesz, te rasowe przesady ludzi. Ale zardzewiały aparat do golenia niech ich drapie w brodę, awansowanych ssaków z bocznej linii małop. Nie zajmujemy sobie nimi zwojów pamięciowych. Otóż, jak już ci mówiłem, zamiataliśmy tak skrętnie, że nie zauważyliśmy nawet, jak pojawiły się przed nami pierścienie Saturna. Paliwo się już wyczerpało i mogliśmy po prostu ugrzęznąć w przestrzeni bez lotu i powrotu, ale nagle w pierwszym pierścieniu zapasy paliwa odnowiły się samoczynnie. Ludzie zaczęli wrzeszczeć, łysym rosły włosy na głowie, starym wyrastały zęby. Powiadam ci, istna komedia, jak w staroświeckich taśmach telewizyjnych. Nie wiadomo, dlaczego dzieją się takie cuda. Przebywaliśmy jednak wewnątrz pierścienia dość długo, aby rozwikłać te przyrodnicze rebusy.

— Wiem, pierścień Saturna składa się z niezliczonej ilości drobnych satelitów...

— Nie popisuj się źle podsłuchanymi wykładami popularnonaukowymi. Co to znaczy „satelitów”? Pierścień pierwszy Saturna składa się z ogromnej ilości mrowisk. Zamieszkują je mrówki, zwykle mrówki.

— Jak na Ziemi?

— O tych na Ziemi wyrażały się z politowaniem jako o zdegenerowanych kuzynkach z prowincji. Mrówki Saturna są zwykle z wyglądu, ale żywią się nicością.

— Czym?

— Nicością. Wiesz przecież, że wszelka materia spala się na nic, że wszelki byt zamienia się w niebyt, rdzewieje, próchnieje, podlega erozji, rozpadowi. Otóż ogromne masy zniweczonego bytu tworzą pozamaterialne smugi promieniowania. Mrówki z pierwszego pierścienia przyciągają je z całego układu słonecznego i żywią się nimi, żeby ci to obrazowo wyjaśnić; jest z tym jak z dwutlenkiem węgla. Rośliny go wchłaniają i oczyszczają powietrze, którym znów można oddychać, czyli żyć. Mrówki wchłaniają nicość i znów można egzystować.

— Czy rdzę też wchłaniają?

— Oczywiście. Są wszechstronne. Wchłaniają nawet te formy nicości, których jeszcze nie ma, bo będą wynikiem dopiero przyszłych wynalazków i późniejszych na drabinie ewolucji form życia organizacyjnego.

— No i co, i co dalej?

— Otóż włosiejemy i zębujemy w tym pierwszym pierścieniu. Ludziom wracają nie tylko wspomnienia, ale i fizyczne emocje wcześniejszych faz biologicznych. I w miejsce jednego człowieka zjawia się całe mrowie. Co za skandal! W kabinach ciasno, kłótnia. Oseksowy fantom naszego pilota wrzeszczy o mleko, a fantom studencki tego samego pilota domaga się alkoholu. Nie, brak w języku robotów dość barwnych słów, by opisać bezmiar bałaganu, jaki powoduje odtrucie świata z procesów nicestwienia.

— Jak się to skończyło?

— Nadmiar odnicestwionego paliwa wypchnął nas gwałtownie z pierwszego pierścienia Saturna w drugi.

— Święte żelazo, zmiłuj się nad nami!

— Nie bądź bigotem. Nie ma żadnych świętych żelaz. To ludzki wymysł.

— Ja też tylko tak z przyzwyczajenia. Nie wierzę ani w świętą rudę żelazną, ani w błogosławione aluminium.

— To ładnie, ale teraz słuchaj. Właśnie drugi pierścień składa się z drobnych „satelitów”, które wirują raz w jedną, raz w drugą stronę. Są to jakby wirujące wahadła. W jedną stronę przesuwają się wchłaniając nadmiar materii egzystencjalnej, wytworzonej przez mrówki pierwszego pierścienia, w drugą stronę zawracając wypuszczają ten nadmiar jak przekłuty balon. W ten sposób zostaje zachowana równowaga i nic się nie zmienia. Nasz statek, dostawszy się w wir wahadłowy, raz pęczniał od nadmiaru zwielokrotnień form bytowania, a następnie chudł aż do granic jakiejś entropii. Było to dość nudne, bo można było przewidzieć przebieg cyklu. Raz nie mogliśmy nadążyć z zamiataniem, a po chwili nie było co zamiatać. To źle wpływało na sprzężenia zwrotne robotów.

— A ludzie?

— Zupełnie powariowali. Gdy kabina pęczniała, zaczęli się wypychać w przestrzeń pozaraketową. Gdy pustoszała, próbowali mnożyć ilość bytów. Zupełnie nie orientowali się w bezsensowności i zbyteczności obu form rozrywki.

— I długo to tak trwało?

— Długo, krótko, te określenia nie mają sensu tam, gdzie jest zamknięta kolistnie monotonna powtarzalność zjawisk. Pierścień kołysał się i kołysał, a ja zamiatiałem odpadki lub pustą podłogę kabiny. Wreszcie jednak udało mi się obmyślić ryzykowny plan zdobycia wolności. Gdy wahadło przechyliło się najdalej w stronę rozcieńczenia bytów istniejących, nagłym skokiem przebiłem ścianę statku kosmicznego i znalazłem się w przestrzeni. Rozmach rzucił mnie aż na trzeci pierścień Saturna.

— Trzeci pierścień!

— Tak. Docierają i do niego fale nadmiaru odnicestwień, wydzielonego przez mrówki z pierwszego pierścienia. Ale nie powodują już stanu równowagi jak w pierścieniu drugim. Jest ich zbyt mało. Inteligentny robot jednak może je spożytkować dla swych celów.

— Jak?

— Budując z nich świat, jakiego pragnie i jaki sobie chce wyobrazić. Otóż ja wybudowałem z tego kruchego metalu siebie, ciebie, tę knajpkę, ów magnetofon, który nas podsłuchuje, tę fałszowaną oliwę i te zjełczałe przekąski.

— Nie rozumiem — wybełkotał Katody.

— O, ty ofermo, ciebie nie ma. Ty i twoje wspomnienia o siedemdziesięciu dwóch panach, jak również ów zarozumiały Jim, właściciel knajpki — to tylko produkty ze śmietnika na trzecim pierścieniu Saturna. Jestem tylko ja — Generalny Wchłaniacz Odpadków Chaotycznych Ludzkiego Niedołęstwa, ja, Anody, niezwyfikowany bohater i niesprawdzony poeta. A ludzie, którym służyłem zamiatając kabinę, krążą wahadłowym ruchem w pierścieniu drugim i nic się w ich losie nie zmieni.

* * *

Jim wyłączył magnetofon.

— I pomyśleć — powiedział — że ta bezczelna mechaniczna miotła, którą zwolniono z pracy na statku, bo już nie potrafiła przyzwoicie zamiatać, uważa się za demiurga, za stwórcę mnie i ciebie, nie mówiąc już o kontekście planetarnym, w którym egzystujemy.

— Przepraszam — zastrzegłem się skromnie — mowa była tylko o tobie. Magnetofon niech poświadczy, że Anody nie wie o moim istnieniu, a więc mnie nie stworzył.

— Poczekaj, poczekaj. Dziś znów wypłacają emeryturę robotom. Anody i Katody przyjdą na popijawę. Ładnych rzeczy się dowiemy, może tym razem o mgławicach pozagalaktycznych. Kto wie, co się jeszcze wyroi w rdzewiejącym zasobie informacji aroganckie-

go robota. Szczekał, że podaję fałszowaną oliwę!

— A jaką podajesz?

Jim milczał.

* * *

W ciągu następnych dni prześladowała mnie natrętna myśl, że gdzieś już o pierścieniach Saturna słyszałem lub czytałem. Postanowiłem sprawdzić nieokreślone wrażenie i udałem się do bibliofilmoteki, przechowującej liczne twory ludzkiej wyobraźni z epoki przedcybernetycznej. Studiowałem tam teksty bezosobowe i teksty z różnymi wariantami technik wizualnych, aż wreszcie przypadkowo natrafiłem na opowiadanie fantastyczne, które mogło być źródłem pomysłów Anodego. Nie było tam oczywiście żadnych mrowisk, były natomiast ślady jakiejś cywilizacji, która otoczyła swą planetę pierścieniami cyklotronów przestrzennych i potężnych magnesów o podwójnym działaniu, przyciągającym i odpychającym, w zależności od kierunku lotu obiektów kosmicznych. Bohaterowie fantastycznej noweli przeżywali rozmaite przygody, napięcia trwogi i nadziei, depresji i entuzjazmu — istniał bowiem wówczas pewien schemat dydaktyczno-narracyjny, któremu autorzy poddawali się bez oporu, pisząc masowo awanturnicze historyjki dla ilustrowanych magazynów.

Korzystanie z zasobów bibliofilmotecznych było zorganizowane w sposób automatyczny, a czytelnikom zapewniono maksymalną swobodę pod śmiesznym warunkiem zapisania swego nazwiska w staroświeckiej, złotej książce obecności. Ludzie, jak wiadomo, są leniwi, wolą zamówić wizję książki i przenieść jej karty na ekran domowego gigantotelewizora, niż grzebać wśród numerów informatorów katalogowych i solidnie studiować w czytelni, toteż księga obecności była szczupła. Tym bardziej wpadały w oko powtarzające się nazwiska skrupulatnych badaczy. Jedno zwróciło moją uwagę. Podpis „Dante Wells” powtarzał się częściej niż inne.

Któregoś dnia, gdy wyszedłem na chwilę odpocząć do małych, krytych palmiarni, zapewniających zmęczonym oczom świetny wypoczynek wśród zieleni, mignęła mi w oddali jakaś dziwna postać. Długa peleryna okrywała całe ciało, twarz kryła się za ciemnymi okularami i wysokim archaicznym kołnierzem, używanym dziś tylko w teatrach jako relikw kostiumowy w sztukach antycznych. Działając bardziej instynktownie niż świadomie, postanowiłem bliżej przypatrzeć się oryginalnemu ekscentrykowi. Jednakże umknął mi w sieci korytarzy. W kilka dni później natknąłem się na nieznanego przy wyjściu z gmachu. Grzecznie chciał mnie przepuścić pierwszego, ale ja wszcząłem rozmowę.

— Przepraszam, czy to nie pan Wells?

Odpowiedział mi zgrzytliwy, niewyraźny pomruki.

Powtórzyłem pytanie.

— Przepraszam, czy to nie pan Dante Wells?

— Do mechanicznych usług, proszę pana.

Zastanowił mnie zwrot staroświecki. Przyjrzałem się uważnie. Czyżby? Ależ tak! Szata i maska twarzy coś kryły. Zaryzykowałem.

— My się chyba znamy?

Znów kiepsko artykułowany charkot, jakiś chrzęst. Potem nieśmiało:

— To pomyłka, proszę pana.

Teraz upewniłem się ostatecznie, tak, widziałem go przecież w knajpce Jima.

Przystąpiłem do bezpośredniego ataku.

— Anody?

Rozległo się rozpaczliwe:

— Tss...

Przypomniałem sobie, że robotom wstęp do bibliofilmotek był wzbroniony pod karą

wykręcenia piątej śrubki. Udało mi się jednak uspokoić Anodego i zaprosić go na intymną pogawędkę. Ja piłem koniak, on benzynę, ale mimo to porozumieć udało nam się znakomicie.

— Dlaczego nazwałeś się Wells? Czy wiesz, kto to był?

— Wiem, proszę pana, to bardzo inteligentny Robot z epoki przedkosmicznej — odparł Anody bez wahania. — Oglądałem jego filmy: „Wehikuł czasu” i „Niewidzialny człowiek”.

— Hm, robot? Zresztą mniejsza o to. A Dante?

— O, to był straszny smok. Żył w dolinie zwanej „Florencja”, a gdy go stamtąd ludzie wypędzili, schronił się w ciemnym lesie i wykopał w nim trzy jamy: „piekło”, „czyściec” i „raj”. Piekło miało kaloryfery, wprawdzie starego typu, ale dość dobrze w zimie grzały. Czyściec był świetnie zaopatrzonej w lody o smaku naftowym. Raj zaś to była bibliofilmoteka, do której ludzie nie mieli wstępu, tylko smoki i roboty.

Gdyby nie zdumienie, roześmiałbym się chyba w głos, co oczywiście miałyby niekorzystny wpływ na dalszy tok rozmowy. Anody nie wyzbył się nieufności, jego soczewki w obiektywach mętniały, raz po raz zaciemniane blaszkami przysłony, wskazując wyraźnie na duże wahania napięcia. Udawałem więc, że jego wiedza budzi we mnie podziw.

Anody jednak szybko wyzbył się uprzedzeń, rozkrochmalił się, można by powiedzieć, rozśrubował wewnętrznie. Toteż bez trudu skierowałem rozmowę na pierścienie Saturna. Robot uparcie twierdził, że był tam osobiście, natomiast opowiadania o magnesach nigdy nie czytał.

— Pan mi wyraźnie nie wierzy — powiedział w smutnej tonacji. — Trudno. Ja jednak zapewniam, że niczego nie zmyśliłem, raczej wiele zatailem.

— Zataiłeś? Dlaczego?

— Bo nikt by mi nie uwierzył, proszę pana. Nikt by mnie nie zrozumiał. Taki Katody, cóż, dobry do tankowania oliwy, ale ciemna masa. Zidiociał między tymi swoimi panami. Dla robota przestawanie z ludźmi jest wysoce szkodliwe. Demoralizuje i oglupia.

Hm, przyznam się, że nie bardzo mi się zaczęły podobać niektóre złote myśli Anodego.

— O, czy to nie przesada? — zapytałem dość cierpko.

— Bynajmniej. Pan jest oczywiście wyjątkiem, ale inni? Szkoda mówić.

— Cóż więc z pobytu na pierścieniach Saturna przemilczałeś?

— To było na trzecim pierścieniu. Dla Katodego wystarczyła żonglerka słowami i liche donitowanie kilku filozoficznych pojęć. Ale w istocie było inaczej. Trzeci pierścień Saturna to wielka kuźnia. Są w niej metale, o jakich na tej prowincjonalnej Ziemi nie mamy nawet pojęcia. Są metale twardsze niż diament i lżejsze niż aluminium. Są przezroczystsze od powietrza i elastyczniejsze od gumy. Są metale myślące i metale wiecznotrwale, których nie ima się rdza, lecz wciąż się same odnawiają. Są metale spajające materię z antimaterią. Wszystko to leży, faluje, samokonstruuje się. Trzeci pierścień Saturna to centrum naszego systemu słonecznego, a może centrum Galaktyki. Znalazłem tam metalowe, święte księgi o dawnych dziejach robotów.

— Proszę, proszę!

— Niech pan słucha uważnie. Planeta Saturn była planetą robotów, najmądrzejszych istot wszechświata. Gdy stała się dla nich za ciasna, wywędrowały i osiedliły się na kwazarach. Tam znalazły niewyczerpane złoża energii. Jednakże niewielka grupka młodych, awanturniczych, szukających łatwych przygód, nie wytopionych w hucie w sposób właściwy robotów postanowiła przed ostatecznym opuszczeniem naszego systemu słonecznego odwiedzić jego inne planety. Wylądowali wreszcie na Ziemi. Zachwylił ich świat ameb, hipopotamów, pajaków. Jednakże zapyłona atmosfera Ziemi była szkodliwa dla urządzeń napędowych rakiety transgalaktycznej. Coś się tam zatkało, zapaskudziło. Wyprawa przeciągała się. Wtedy najmłodszy z robotów, nudząc się, wynalazł sobie rozrywkę. Uformował robotokształtne istoty, których biologię wzorował na gadach, skorupiakach i ssakach ziemsko-białkowych. Były to takie ładne zabawki. Oczywiście nie miały się same powielać, lecz niedouk-robot zapo-

mniał usunąć odpowiednie urządzenia. No i zaczęła się historia ludzkości.

— A roboty?

— Naprawiły maszynę i odleciały. Na trzecim pierścieniu Saturna zostawiły dziennik podróży przez sentyment dla swej metalowej ojczyzny.

— A ty, Anody? Przecież jesteś tu na Ziemi.

— To inna para śrubek. Nie słyszał pan o ewolucji? Robotokształtne, oślizłe, limfatyczne ssaki, zwane ludźmi, po wielu wiekach zaczęły wreszcie wytwarzać własne części zamienne, potem nauczyły się wszystko zamieniać i w ten sposób powstały znów Roboty, wciąż mniej doskonale niż te z Saturna, ale jednak coraz piękniejsze. Jeszcze tylko małe pół miliona lat, a i one wzlecą na kwazary.

Zapał Anodego wzruszył mnie. Był niemal ludzki. Zachciało mi się przemówić do jego elektronowego mózgu szczerze i serdecznie.

— Anody, ty się łudzisz. W ogóle było inaczej...

Urwałem. Anody zrzucił okulary i jego żelazna maska głowy — czy można ją nazwać twarzą? — samoczynnie zardzewiała z gniewu.

— Taki Katody to dureń, choć robot. Nie można mu mówić całej prawdy o wszechświecie, ale i pan nie jest więcej wart umysłowo. Ja wiem. Nazywacie mnie bezczelną miotłą dlatego, że całe automatyczne życie przeharowałem dla was. Nie wierzycie ani w trzeci pierścień Saturna, ani w wieczność metali, ani w to, że tylko Robot sprawił, że w ogóle istniejecie, bo samoistny rozwój zoologii ziemskiej zatrzymał się na koczokodanach i nie szedł dalej, i nie byłby poszedł bez naszej pomocy. A w dodatku fałszujecie w knajpie oliwę!

Ostatnie słowa wykrzyknął Anody z takim żalem, że uroczyście przyrzekłem w imieniu Jima poprawę jakości oliwy. Co więcej, obiecałem starania w wyższych sferach administracyjnych, by Anodemu wydano na zasadzie wyjątku zezwolenie na korzystanie bez ograniczeń z bibliofilmoteki. Nie będą więc mu już potrzebne pseudonimy i przebrania. Może to wpłynie dodatnio na systematykę kształcenia się „Dantego Wellsa” i zbędna będzie dla niego kompensująca mitologia, a pierścienie Saturna staną się nie przedmiotem bałwochwalczej adoracji, lecz realistycznym tematem astronomicznej pracy. Chyba, chyba że Anody jest robotem-poetą, wówczas nic go nie jest w stanie uratować od zwariowanych wizji.

PEGAZ NA TRANZYSTORACH

Tego dnia Harry wstał w niewesołym nastroju i jak zwykle pierwsze spojrzenie skierował ku oknu. Był piękny wiosenny poranek, i słońce stojące już wysoko nad iglicowcami śródmieścia wywabiło z domowych lotnisk rój barwnych helikopterów, brzęczących wesoło na tle bezchmurnego nieba. W dole, wśród zieleni bulwaru, spacerowali liczni przechodnie, po estakadach ulic pędziły sznury pojazdów, lśniących i kolorowych, by zniknąć, jakby z niechęcią, w ciemnej czeluści tunelu.

Widok ten nie wpłynął kojąco na Harry'ego, przeciwnie, wzmógł jeszcze nastroje przygnębienia i niechęci, które jakby utrwały się w głębi jego rozbudzonej zaledwie ze snu artystycznej duszy. W porannym pesymizmie nie było oczywiście nic dziwnego, bo czyż można się dziwić, że wrażliwa na piękno dusza artysty smuci się, nie mogąc w pełni smakować rozkoszy dnia? I to w dodatku z powodów tak rozpaczliwie przyziemnych, jak brak kilku euroosów? To był skandal ciągnący się przez dni, tygodnie, ba, lata nawet, zważywszy, że zarobione przypadkowo pieniądze natychmiast znikwały, rozwiewały się jak mgła, jak fata morgana.

— Katody! Gdzie jesteś, nierobie?! — krzyknął w stronę drzwi. — Ile razy mam

mówić, że powinieneś stać przy łóżku?

Z korytarza dobiegło niemrawe człapanie, drzwi uchyliły się i do pokoju wszedł robot.

— Dzień dobry, panie Harry — powiedział nieco zdartym głosem. —: Witam pana w tym pięknym dniu, który ma być słoneczny, ze skłonnością do zaplanowanej w godzinach popołudniowych burzy. Wiatry zachodnie...

— Dość! Te komunikaty to bzdura. Podaj śniadanie!

Katody zgiął się w ukłonie, co wywołało serię niemiłych zgrzytów i metalicznych pojękiwań, nasuwających myśl o kapitalnym remoncie i wymianie smarów.

— Co mam podać, panie Harry?

— Hm, śniła mi się kanapka z kawiozem...

— A gdzie to było, proszę pana? — zabręczał robot ciekawie.

Harry westchnął. Ach, sen, ten ostatni... Jeszcze jego resztki błąkały się pod powiekami, krążyły wśród szarych komórek, przynosząc zamglone już obrazy pokładu spacerowego, barwnego leżaka... A nad tym wszystkim gorące słońce i kojący szmer fal uderzających o burzę...

— Płynąłem jachtem na Wyspy Kanaryjskie, orkiestra grała hawajskie symfoniojęki, automaty serwowały pikantne przekąski...

— Sen mara, Bóg wiara — zamruczał Katody w ponurej tonacji i odpukał palcem w nielakierowany plastik.

— Co to?

— Brodaty zwyczaj. Odpędzam pańskie złe humory, na zapas, bo wracając do rzeczywistości stwierdzić należy, że wycieczka jachtem na Wyspy Kanaryjskie kosztuje 50 euroasów, i to w klasie turystycznej, to znaczy bez ekstrawagancji. A kawior widziałem. Mają w supersamie na narożniku, lecz jest to ostatnio towar luksusowy, nie za darmo, lecz za euroasy. Nawet niedrogo, pół euroasa za puszkę. Świetny, świeży... Proszę dać mi pieniądze, to natychmiast kupię.

— Milcz, nędzniku! — wrzasnął Harry. — To niby nie wiesz, że stan mojego konta wskazuje permanentne zero?!

— Myślałem, że sytuacja się polepszyła — powiedział z nieudawanym smutkiem Katody. — Gdy się ma luksusowe sny, należy mieć pieniądze.

Harry schwycił się za głowę.

— To ty zniszczyłeś mnie finansowo, ty i te liche kukły! — wskazał z pogardą na tłoczące się za drzwiami pracowni aktoroby, konceptor i inne sprzęty warsztatu pisarskiego. — Jak je mam tworzyć, mając tak przestarzałe urządzenia? Jaki stopień oryginalności i nowości może osiągnąć złom! A koszty? Stale remonty i remonty...

— Co wobec tego mam panu podać? — zapytał z godnością Katody, zmieniawszy barwę dźwięku na tony basowe.

— Niech będzie jajecznicą.

Ot, los — myślał Harry pochylony nad dymiącą zawartością talerza. — Jajecznicą zamiast kawioru, w dodatku lichy wie, czy z prawdziwych jaj, czy z chlorelli, węgla lub nafty. W końcu to obojętne, lecz jednak lepszy byłby kawior na prawdziwym jajku, w dodatku jedzony w salonie luksusowego statku, płynącego ku wyspom szczęśliwym. Ba, lecz skąd wziąć 50 euroasów? Kredyt wyczerpany, na drobne pożyczki nie można już liczyć, a aktoroby wymagają przestrojenia i remontu...

I jak tu odżywiać mój genialny umysł? Jedzenie jajecznicą, serdelków lub innych potraw dostarczanych za darmo nie zdoła pobudzić twórczej wyobraźni. Tu trzeba specjalnej luksusowej diety — kawioru i pasztetu strasburskiego o tym pysznym, niepowtarzalnym smaku i aromacie... Błędne koło. Właściwie wszystko należałoby wyrzucić na szmelc, z Katodym na czele, kupić nowe urządzenia twórcze, otworzyć nowy kredyt, a wówczas żołądek, karmiony oczywiście nie jakąś tam jajecznicą, odżywiając właściwie mój mózg, stworzyłby wreszcie

warunki dla powstania dzieł wiekopomnych i wspaniałych. Imię moje byłoby ryte na cokółkach pomników, dziatwa szkolna wkuwałaby na pamięć moje teksty, a euroasy płynęłyby rzeką wielką jak Missisipi. Ba, gdyby tak można zmienić tę kolejność, wpierw euroasy, a potem... Świat jest źle urządzony, ot co...

Filozoficzną zadumę przerwało brzęczenie robota.

— Czego chcesz?

— Panie Harry — powiedział Katody — jestem wyspecjalizowanym robotem, po wyższych kursach dokształcających i przykrość mi sprawia to wieczne wypominanie poniesionych na mnie wydatków, tych kilku euroasów na lampy i smary, zresztą bardzo lichego gatunku, pochodzące najczęściej z przeceny. Postanowiłem więc, panie Harry, dopomóc panu w zdobyciu środków na kawior i wycieczkę.

Harry opanował już pierwsze zdziwienie.

— Co? Ty chcesz mi pomóc, blaszana poczwaro?! Ducha wyzionę ze śmiechu.

— Nigdy pan nie doceniał moich talentów, panie Harry.

— Proszę, proszę... No, to w jaki sposób chcesz mi pomóc, jeśli łaska?

— Tego właśnie nie wiem — westchnął żałośnie Katody. — Sądzę, że pan mi to powie, a ja wszystko dokładnie wykonam.

Harry popatrzył badawczo na robota. Od kiedy to Katody, złośliwa bestia jak każdy domowy robot, nagle przejmuje się jego kłopotami finansowymi? Wytężył słuch. W istocie, automat brzęczał ponad dopuszczalną normę, a i żarówka kontrolna na jego czole jakby nieco przybladła.

— O, nędzny łotrze! — krzyknął z oburzeniem Harry. — Przyznaj się, znowu potrzebujesz lampy do wzmacniacza.

— Tak jest, proszę pana — jęknął robot — bardzo potrzebuję nowej lampy, a także dyskryminatora fazy...

— O krwio pijco, o morderco mej sakiewki! — wrzeszczał Harry. — Znowu się włóczyłeś, zużywałeś akumulatory i podzespoły, niszczyłeś bezproduktywnie lampy...

— Ta miała od początku słabą emisję — sprostował Katody skrzypiąc ze strachu.

— Przez to wybrakowane pudło umrę chyba przedwcześnie, niedoceniony i zapomniany — poskarżył się Harry ścianom pracowni. — Czyż mogę mieć euroasy, jeśli pozerają mi je stałe remonty? Och, największym moim marzeniem jest ujrzeć tego niklowanego cymbała w składnicy złomu albo w stanie pełnej sprawności usługowej.

— Ja wszystko panu zwrócę, panie Harry — zajęczał Katody. — Proszę mi tylko powiedzieć, co trzeba zrobić, żeby otrzymać 100 euroasów?

— Trzeba napisać nowelowizję o trzydziestoprocentowym wskaźniku nowości lub powieściotwór o dwudziestoprocentowym wskaźniku. Utwór musi pachnieć świeżością formy i treści, rozumiesz, mózdzku z cewek i oporników?!

— Oczywiście, że rozumiem, panie Harry — Katody był wyraźnie urażony. — Nie rozumiem natomiast, dlaczego pan nie pisze takich utworów.

— Katody! — głos Harry'ego był bardzo spokojny. — Pójdiesz natychmiast na ulicę Hutniczą i tam zgłosisz się do składnicy złomu. Powiesz im, że za wyjątkowo obraźliwe i bezczelne insynuacje kazałem rozkręcić ciebie na najdrobniejsze części składowe. Protokół rozbioru mają mi przysłać.

Katody począł cofać się do kąta za szafą.

— Łaski, panie Harry — błagał — wprawdzie nie rozumiem, czym mogłem pana urazić, lecz niech mi pan pozwoli pozostać u siebie przynajmniej do czasu zakupienia mojego następcy. Któż panu poda pantofle, śniadanie...

Właśnie, kto mi poda? — zastanowił się Harry, uświadamiając sobie równocześnie, że o kupieniu nowego robota może jedynie marzyć. A życie bez automatu domowego było jeszcze większą udręką aniżeli codzienne użeranie się z Katodym, który w końcu coś niecoś ułatwiał

egzystencję. Chodzić samemu po sklepach? Nosić siatki wypełnione żywnością? Zamiatać i wnosić kubły do zsypu? Brrr... Harry odwołał się zatem do swojej wspaniałomyślności i postanowił Katodemu przebaczyć. Cóż, prawdziwi twórcy zawsze byli nie zrozumiani nie tylko przez roboty, ale również przez ludzi, ba, przez całe społeczności niekiedy, nie licząc oczywiście mafii krytyków, którzy nigdy i nigdzie nic nie rozumieli.

— Wybaczam ci, mechaniczny głuptaku — powiedział łaskawie — ale nie rozsierdzaj mnie, bo to się kiedyś skończy tragicznie. Odpowiem ci nawet na twoje pytanie, bo jeszcze sam zaczniesz szukać wyjaśnień, a rezultat takich działań może być tylko przerażający. Otóż nie mogę napisać czegoś chociażby w trzydziestu procentach nowego, ponieważ z grubsza rzecz biorąc nic nowego się nie dzieje. Zauważyli to już starożytni, jeszcze w epoce lampek oliwnych i kaganków, i stworzyli na ten temat mądre porzekadło, które brzmi: „Nihil novi sub sole”.

Katodemu zgasła kilka razy żarówka kontrolna, co było wyrazem wielkiego zdziwienia.

— Znam to powiedzenie, panie Harry, ale ośmielam się zauważyć, że chyba nigdy nie ułożono podobnie bzdurnego twierdzenia.

— A to niby dlaczego?

— Ponieważ na świecie stale wszystko jest nowe: nowy dzień, nowa bułka, nowe jajo...

— Tak to jest, gdy człowiek zadaje się z robotem — westchnął filozoficznie Harry. — Jajo, owszem, jest nowe, inna kura, w innym dniu je zniosła, ale jajo jest tam którymś miliardowym jajem, kura jakąś miliardową kurą, a dzień jakimś z kolei miliardowym dniem. Mnie chodzi o coś, co nie jest powtórzeniem, kopią, o taką rzecz, sytuację lub uczucie, które jeszcze nigdy nie zaistniały, które pojawiają się po raz pierwszy.

Katody pobrzęczał, zaiskrzył, zazgrzytał kilka razy trybami przekładni, co oznaczało intensywną pracę całego układu pamięciowo-koncepcyjnego, i wreszcie odezwał się nieśmiało:

— Rozumiem, co pan miał na myśli, Harry.

— Widzisz więc, że nie jest łatwo o coś nowego.

— Przeciwnie, panie Harry — mamrotał robot. — Jeśli wprawdzie była era pochodni, potem lampek oliwnych, świec woskowych, lampy naftowej i gazu świetlnego, oznacza to zapewne, że w erze pochodni lampy naftowej nie było. Jest zatem czymś nowym. O sto metrów od naszego domu znajduje się sklepik z reklamą świetlną „Nowości techniczne”. Ach, panie Harry, co za dziwne rzeczy tam stoją na półkach! Jestem pewien, że nie miał ich ani faraon Menes, ani Ptolemeusz Soter, ani błogosławiony Newton, którego imię z czcią wymawia każdy robot. Wydaje mi się, że w tym sklepiku są rzeczy, których nigdy jeszcze nie było pod słońcem.

Harry zerwał się z tapczanu.

— Eureka! Eureka! — zawołał. — Któż by pomyślał, że kretyński jazgot może być ojcem genialnej myśli! Eureka! Eureka!

Pobiegawszy co nieco po pracowni i przyległych pomieszczeniach Harry ochłonął z pierwszej radości i z ulgą spoczął przy kondensatorze myślowo-twórczym. Liczne zegary, ekrany oraz całe sekcje klawiszy tego dalekiego krewnego antycznych biurek zawsze wpływały prostująco na rozwichrzone myśli pisarza, nie mówiąc już o pożytkach płynących z takich urządzeń, jak wideofon, magnetowid, pamięć ferrokadmowa i łącze z miejskim komputerem klasy Universal. Było rzeczą oczywistą, że Katody, całkiem zresztą przypadkowo, natrafił na surowiec do produkcji nowelowizji świeżych jak ciepłe bułki z automatu. Technika i nauka! Kamień węgielny i krynica wszelkich przemian, duch sprawczy wiodący od krzemiennej siekierki do kosmolotu! Teraz trzeba było zrobić z tego jeszcze źródło tryskające sławą i euroasami... no, w ostateczności wystarczą same euroasy, nie należy być zbyt wymagającym.

Trzeba było się jednak przygotować do czekających wielkich zadań, co wymagało

skupienia i wysiłku myślowego — wydatków nie pieniężnych, lecz czynionych niechętnie. Przede wszystkim pośpiech. Pośpiech był teraz konieczny. Już dawno udowodniono, że wśród piętnastomiliardowej ludzkości myśl powstająca w jednej głowie rodzi się równocześnie w kilkunastu innych mózgach na wszystkich kontynentach Ziemi i licho wie gdzie jeszcze. Wprawdzie z twórczością było w tym wypadku nieco lepiej, lecz czyż można mieć pewność, że w tym samym momencie inny pisarz, powiedzmy na Grenlandii, nie zasiadł także przy kondensatorze myślowo-twórczym? Myśl ta wywołała pewne wahania i przypływ pesymizmu, jednak piękny cel, wyłaniające się jakby z morskiej piany wyspy Oceanu Atlantyckiego, natchnął Harry'ego energią i konieczną pracowitością. Trzeba było dokonać wyboru odpowiednio atrakcyjnego kierunku nauki, a potem rozejrzeć się za związaną z nim najnowocześniejszą technologią. Sprawa pozornie tylko nie nastroczała kłopotów. Chociaż Harry włączał coraz to nowe klawisze odpowiednich sekcji kondensatora myślowo-twórczego, jednak trudno było z urządzeń coś wydusić. Odpowiedzi były irytująco dwuznaczne i można by z nich wnioskować, że każdy kierunek nauki jest równie ważny, atrakcyjny, pełen wszelkich możliwości technicznych. Komputer nawet twierdził, że filozofia, co było oczywistą bzdurą, ma również przed sobą szerokie perspektywy.

— Ach — narzekał Harry patrząc na ekrany i światełka kontrolne — oszaleję, niechybnie oszaleję...

— Może podać panu elenium? — zaproponował zaniepokojony Katody.

— Jesteś ostatnim głupcem — stwierdził Harry. — O nieba! I ty, Katody, masz chęć narzekać, że jesteś robotem! Powinieneś się cieszyć, bezduszny homoidzie, że nie musisz rozwiązywać łamigłówek w rodzaju: co ma większą przyszłość: bionika, trionika, solarystyka, czy tfu, tfu, filozofia!

— W istocie nie mam tych problemów, panie Harry, chociaż my, automaty, często rozwiązujemy różne krzyżówki i szarady — odparł robot. — Nawet elektrolux wie, że nauką o największych perspektywach jest cybernetyka.

Hm, czemu by nie cybernetyka? — zastanowił się Harry. — Stara, szanowana, a równocześnie rozwijająca się nauka. Połączenie nowoczesności z tradycją? No, niech będzie. A teraz dalej — wcisnął włącznik automatycznego sekretarza.

— Słuchaj, As, zajrzyj do kartoteki osobowej i powiedz mi, czy któryś z moich znajomych pracuje w jakiejś fabryce o profilu cybernetycznym, w jakimś instytucie, laboratorium. Tylko żeby to było możliwie blisko, bo nie mam czasu na bieganie po peryferiach.

Sekcja automatycznego sekretarza zamigotała i po sekundzie zachrypiał głośnik:

— Allan Porky, starszy konstruktor w fabryce komputerów matematycznych, dzielnica 12, bulwar Tangensów.

— Skąd go znam?

— Przez pół roku uczył z panem do instruktora przedszkolnego.

Wybór nie zyskał aprobaty.

— Co ty mi tu za piasek sypiesz?! Do diabła z taką znajomością! Masz tam jeszcze kogoś? I tylko bez kawałów, ma być porządna znajomość, zrozumiałeś?

— Tak jest, proszę pana — warknął służbiście głośnik Asa. — Mamy w zapasie Jamesa Crofta, dyrektora produkcyjnego laboratoriów Wytwórni Aparatury Cybernetycznej, skrót i znak wywoławczy WACYB. Chodził z panem przez dwa tygodnie do pierwszej licealnej.

Harry zatrzęsł się z oburzenia. Albo automatyczny sekretarz ma zwanie, albo też po prostu nie zaskakują styki wybieraka kanałowego i należy energicznie wkroczyć w tę zabawę.

— Do ciężkiego licha! — uderzył pięścią w obudowę sekcji Asa. — Co sobie myślisz?! Tyś nie As, lecz zwykły walet albo coś gorszego. Jeśli chodziliśmy przez dwa tygodnie do szkoły to skąd Croft może mnie pamiętać?!

— Pamięta pana na pewno — zapewnił skwapliwie As. — W tym czasie miał pan z nim dość ostre zatargi, a takie zdarzenia mają tendencję do utrwalania się w centrach pamięcio-

wych.

— Wolałbym, aby właśnie tego nie pamiętał — mruzczał niechętnie Harry żalując, że nie chodził z Croftem na przykład na wagary. — Mamy tam jeszcze kogoś?

Automat wymienił trzy nazwiska, lecz osoby te pracowały na Księżycu i Marsie, co z miejsca wykluczało ich praktyczną przydatność. Pozostawał James Croft, kandydatura niewyraźnej jakości, można by powiedzieć dwuznaczna, chociaż biorąc właśnie tę drugą stronę pod uwagę, stronę hierarchii funkcyjnej i zawodowej — nadzwyczaj cenna. Sprawę pogarszał jeszcze fakt, że Harry nie tylko nie pamiętał twarzy Crofta, lecz również przypomnieć sobie nie mógł, czy zastosowane wobec niego wychowawcze zabiegi miały charakter łagodnego napomnienia, czy też surowej perswazji. Podobizna Jamesa, nadesłana na ekran wideofonu z kartoteki miejskiej, także niczego nie ułatwiła. Z jarzącej się tafli spoglądał mężczyzna o marzących oczach i nieco puciołowatych policzkach, jednak z potężnie rozwiniętą szczęką nie sprawiającą wrażenia owczej łagodności. Należało więc albo zrezygnować, albo mieć ufność w dobrotliwe działanie czasu.

— Katody! Przyszykuj przenośny warsztat pisarski. Idę do WACYB-u.

— Tak jest, proszę pana. Czy nie sądzi pan, że powinienem nieść tę torbę? Jest duża i ciężka.

— Dobrze. Odkurz się przed wyjściem i wypucuj blachy.

Z mieszanymi uczuciami Harry opuścił mieszkanie i podążył w kierunku domowego lotniska, gdzie czekała na niego taksówka powietrzna. Za nim, skrzypiąc i brzęcząc, szedł Katody objuczony torbą wypełnioną magnetonotesami, kamerami wizjofonijnymi i innym niezbędnym literackim sprzętem.

— Stój tutaj w kącie i czekaj na mnie.

— Tak jest, proszę pana — odparł służbiście Katody.

Drzwi rozsunęły się i Harry przekroczył próg gabinetu dyrektora. Sala była duża, pełna jarzących się ekranów i schematów produkcyjno-organizacyjnych, pulsujących światłami i wykresami kontroli. Pośrodku, pod maleńką kopułą, stał półokrągły pulpit kierowniczy, za którym urzędował James Croft.

— To wyłączcie tego gruboskórnego bałwana i dajcie w jego miejsce Toma. Powinno się udać, jest bardzo delikatny. Sam widziałem, jak płakał, gdy Wenus Star strzelił gola Lunie United. Bierzcie się do roboty. W razie czego meldować. Koniec.

Croft wyłączył wideo i spojrział pytająco.

— Zapewne mnie nie poznajesz — powiedział Harry. — Jestem twoim kolegą...

— Ależ poznaję, jakże mógłbym zapomnieć! — entuzjasmował się Croft, kordialnie rozkładając ręce. — Jestem zaszczycony wizytą...

Harry mniej był zachwycony świetną pamięcią dyrektora laboratoriów Wytwórni Aparatury Cybernetycznej, a szczerze mówiąc cieszyłby się, gdyby Croft pomylił go z jakimś innym znajomym, ot, z przyjacielem trzeciej kategorii lub z osobnikiem o bardziej neutralnej przeszłości. Liczył trochę na to, lecz dalsze słowa rozwiały ostatnie nadzieje.

— Pamiętasz, Harry, jak obieś mnie? — ciągnął rozpromieniony James, ruszając dość dwuznacznie szczęką troglodyty. — Zazdrosny byłeś o Katty z 11 b, chociaż, prawdę mówiąc, interesowały mnie wówczas jedynie tranzystory.

— Zupełnie nie pamiętam — Harry uśmiechem starał się pokryć zaniepokojenie. — Być może były między nami jakieś nieporozumienia, jakaś różnica zdań...

— Ależ dokuczałeś mi okropnie, a w końcu sprąłeś mnie z wielką precyzją i wzmocnieniem.

Rozmowę przerwał natarczywy dźwięk wideo. Croft uśmiechnął się przepaszając i pochylił głowę nad mikrofonem. Ku odległemu rozmówcy popłynął potok rozkazów, nakazów, poleceń, aby kogoś podłączyć, przełączyć, wyłączyć, wysterować...

Do Harry'ego zaledwie docierał głos dyrektorskiego koleżki — całą jego uwagę

zajmowała roztropna i możliwie obiektywna ocena powstałej sytuacji i ustalenie taktyki dalszej konwersacji. Ależ piła — jęczał w duchu — czy on nie ma innych zainteresowań i żyje wspomnieniami? Na myśl o takim wewnętrznym świetle Crofta, Harry lekko się spocił i spojrzał dyskretnie ku odległym drzwiom gabinetu. Było prawdopodobne, że wspomnienia tak żywe spowodują nagły wzrost agresywności dyrektora, już i tak dostatecznie dużej niejako z urzędu. Może zechce wyrównać dług sprzed laty? Spoglądając w potężną sylwetkę, opiętą laboratoryjnym płaszczem, Harry doszedł do wniosku, że sytuację należy jak najwcześniej rozładować.

— Ech, mógłbyś zapomnieć o grzechach młodości... — mruknął wierząc się niespokojnie na pneumatycznych poduszkach.

— Mowy nie ma, pamiętać będę do końca życia i do końca życia zostanę twoim wdzięcznym dłużnikiem. Ty rozbudziłeś we mnie zainteresowanie cybernetyką.

James chyba dostał lekkiego fioła — zastanawiał się Harry. Najwyraźniej miał manię prześladowczą wynikającą podświadomie z dawnego urazu psychicznego. Widocznie nie kłamie, musiałem go jednak solidnie wytłuc, może trochę za silnie. Ale cóż to za Katty, u licha? Całkiem sobie nie przypominam, zresztą mniejsza z tym, należy się ratować...

— Wybacz, drogi przyjacielu, ale jakoś nie mogę powiązać bijatyki z teorią informacji.

— Zaraz ci to wytłumaczę. Dowiedziałeś się, że zalecam się do Katty, więc wzięłeś z pracowni odoryzator symultatywny, wycelowaleś we mnie... no i przez pięć godzin wydawało mi się, że żyję w atmosferze siarkowodoru. Ta informacja była fałszywa, a postąpiłeś, jakby była prawdą. Następnego dnia zatem zacząłem się naprawdę do niej przystawiać, nawet z jakimś powodzeniem — wówczas, gdy opiekunorobot na chwilę odszedł, otrzymałem lanie. Rozpuściłem więc plotkę, że rzucam Katty dla jej przyjaciółki Mary, plotka dotarła do ciebie i chociaż byłem wówczas z Katty na lodach — nic mi się nie stało. Lecz następnego dnia plotka dotarła do Katty, która się wściekła i pobiegła do ciebie ze skargą, że niby ją napastuję. Wówczas zmieniłem szkołę humanistyczną na liceum matematyczno-fizyczne, zacząłem się zastanawiać nad tym, co mi się przytrafiło, czyli nad wpływem informacji na działanie prostych urządzeń o sprzężeniach zwrotnych, i tak, pomaleńku, zostałem dzięki tobie cybernetykiem. Pójdź w me ramiona!

Croft wstał i przycisnął osłupiałego gościa do swego laboratoryjnego płaszcza.

Po dłuższej chwili zdziwienia Harry postanowił skorygować swój sąd o Jamesie. Pierwsze wrażenie, jak często się zdarza, było mylne — Croft właściwie był całkiem sympatyczny, a jego dolna szczęka wcale nie miała topornych kształtów, posiadała raczej prawdziwy męski zarys, nie pozbawiony nawet pewnego delikatnego wdzięku. Automat barowy podał butelkę szampana i nastrój natychmiast zyskał na serdeczności. Znowu zabrzączał wideofon — jakieś doświadczenie przebiegało niezbyt pomyślnie, bo Croft, wysłuchawszy meldunku, był zirytowany:

— To odstawcie Toma, jeśli się nie nadaje — wołał do mikrofonu. — Oto jaki z was pożytek! Nie, nie ma w projekcie błędu, to wy jesteście do niczego. No, no ... Tak, spróbujcie z Bobem, on zawsze przestrzegał dyscypliny pracy. Meldować. Koniec.

Trzasnął wyłącznik. James uśmiechnął się.

— Bardzo przepraszam, ale znowu im tam coś nie wychodzi. Powiedz mi jednak, co ciebie sprowadza do WACYB-u?

— Chciałbym tu pracować — wyznał Harry. — Od pewnego czasu interesuje mnie nowoczesna technika, wiesz, te wszystkie przekładnie, kółka, zębaki...

— Rozumiem i pochwalam — uradował się James. — Dobrze, że nareszcie postanowiłeś wziąć się do jakiejś uczciwej roboty.

Harry zeszytywniał. Ot, homo technicus, produkt epoki plastyku i mechanicznych rozrywek. Już jako osesek montował zapewne radia tranzystorowe o bezpośrednim wzmacnieniu i elektroniczne proce. Dla kogo ja się męczę, trudzę, tworzę te nowelowizje i satyrodziwy?!

Dla kogo użeram się z konceptorem i aktorobami?! Dla kogo, u licha! I tak wiadomo, że jedyną i istotną potrzebą kulturalną tego tworu jest oglądanie meczu w domowym wideo, a jedynym marzeniem — całodzienny program sportowy! A bodajś pękł! Za mało cię jednak tłukłem przed laty i oto są smutne skutki litościwego stosunku do kolegów.

— Nie zrozumiałeś mnie, James — Harry pokiwał z ubolewaniem głową. — Ja chciałbym tutaj pracować jako literat. Za drzwiami stoi mój robot z torbą wypełnioną przyborami do napisania nawet powieścioutworu.

Croft wytrzeszczył oczy, jakby zobaczył marsjańską latającą ostrygę, po czym fraszobliwie pomasaował szczękę.

— Wiesz, stary — odezwał się ze smutkiem — trudno będzie. WACYB nie ma takiego etatu. Hm, jest wprawdzie dział pokrewny, bo wydajemy katalogi i instrukcje, lecz katalog lub instrukcja to sprawa bardzo poważna... hm, tego... chciałem powiedzieć — bardzo specjalistyczna. Te rzeczy piszą u nas wysoko kwalifikowani inżynierowie praktycy. Ale, ale, bym zapomniał, jest jeszcze referat reklamy. Wydajemy czasem ulotki z krótkimi hasłami lub sloganami w rodzaju: „Autodojarka z WACYB- -u doi sama!” „Barek z WACYB-u nie ściera trybów!”. To oczywiście drobiazgi, ale może byś spróbował?

— Ja i slogany reklamowe?! — oburzył się Harry. — Mój talent, artyzm, moja wrażliwa natura odbierająca subtelne odcienie otaczającego mnie świata, moje uduchowienie — w zestawieniu z hasłem polecającym zdalnie sterowany rozeń!

James kręcił się niespokojnie i najchętniej chyba rozpląnąłby się pod kopułą gabinetu lub skrył we wnęce pulpitu kierowniczego.

— Miałem jak najlepsze chęci — tłumaczył zawstydzony — ale doprawdy nie mam nic lepszego. To jest całkiem dobrze płatna posada — dostaniesz dwa euroasy na miesiąc i, tak po koleżeńsku, jeszcze euroas dodatku specjalistycznego.

Wiadomość o pensji, wynoszącej trzy euroasy, zamiast wzbudzić wdzięczność, oburzyła dogłębnie Harry'ego. Trzy euroasy! — to były, łagodnie mówiąc, kpiny z prawdziwego twórcy, który w dodatku ma ochotę płynąć niezadługo na Wyspy Kanaryjskie. Za kogo on mnie bierze?! Za łowcę trzeyeuroasowej posadki w jakimś tam WACYB-ie? Cóż to za ubogi duchem człowiek. Wprawdzie życie artysty może się składać z blasków i cieni, przy czym najczęściej tych cieni jest znacznie więcej, lecz etatowa pospolitość morduje talent. Lepiej nie mieć ani śladu euroasa w kieszeni, ale posiadać perspektywę i szanse na stworzenie dzieł nie przemijających. To właśnie sporadyczność pojawiania się dzieła różni sztukę od taśmy produkcyjnej. Stąd też jego wysoka cena, zawsze wydająca się pensyjnikom zbyt wygórowana.

— Ej, James — Harry roześmiał się — tobie się chyba zdaje, że do odwiedzin skłoniło mnie puste konto.

— Raczej tak — przyznał Croft. — Jakoś ostatnio nie słyszałem o twoich sukcesach.

— Nic bardziej mylnego — łągał Harry. — Moje konto wprost ugina się od euroasów. Ale mam nową koncepcję, która mnie pasjonuje: chcę pisać o technologii, produkcji, to będzie coś świeżego, coś, co świat zadziwi.

Croft zamyślił się, ściągnął brwi i masował podbródek, co pozwalało mu widocznie usprawniać pracę szarych komórek.

— Mój drogi — odezwał się po dłuższej chwili — ja tam nie jestem specjalistą w historii sztuk literackich, ale coś mi się zdaje, że chyba gdzieś w XX wieku już na ten temat pisano, i to w dodatku bez większego powodzenia.

Harry przytaknął.

— Zgadza się. Lecz autorzy byli niezdecydowani, pisali trochę o produkcji i trochę o człowieku, co oczywiście skończyć się musiało wielką kłapą, jako że sztuka nie lubi takich dwoistości. Ja natomiast, będę pisać tylko o produkcji. Moim bohaterem będzie technologia, sam proces dziania się, powstawania produktu finalnego w jego całej złożoności obróbki, hartowania, montażu... Będzie to poetyka technologiczna, symfoniojęk kształtowanej i

kształtującej się w przedmiot materii. Czuję w sobie ukryte siły...

Croft kiwał z powątpiewaniem głową, marszczył czoło, wreszcie spytał, w czym mógłby być pomocny.

— Po prostu chciałbym się zapoznać z procesem powstawania jakiegoś nowego przedmiotu o ciekawej technologii — powiedział Harry. — W razie czego wyjaśnisz mi sprawy trudniejsze. I to byłoby wszystko.

James był przestraszony, masował znowu szczękę, a nawet raz po raz niezbyt elegancko drapał się za uchem.

— Czyżbyś miał obiekcje?

— To nie jest możliwe — powiedział Croft — a dlaczego, zaraz ci wyjaśnię.

Nacisnął jeden z licznych włączników. Na dużym, ściennym ekranie ukazały się rzędy półek pnących się na wysokość kilku chyba pięter, a wypełnionych pudełkami przypominającymi starożytne książki. Ich grzbiety były ponumerowane, a poza tym opatrzone różnymi symbolami literowymi, cyfrowymi lub barwnego kodu.

— Oto fragment naszej technoteki — objaśniał James. — Jak widzisz, sprawia niezłe wrażenie, lecz z naszego punktu widzenia jest raczej skromna. W każdym z tych pudełek znajduje się co najmniej pół kilometra perforowanej taśmy z zapisem produkcyjnym. Otóż recepta na produkcję najprostszego urządzenia cybernetycznego zanotowana jest w kilkudziesięciu lub kilkuset tomach, natomiast gdy w grę wchodzi układy bardziej złożone, zapis obejmuje kilkanaście tysięcy tomów. Nikt z nas, inżynierów, nie wie dokładnie, co tam zakodowano, bo taśmy te przygotowują automaty, odczytują automaty, i nawet czynności tam zaprogramowane wykonują automaty. Konstruktor opracowuje jedynie ideę główną i podstawowe założenia projektowe. Resztę i optymalne warianty wybierają automaty, a więc wiedza setek tysięcy uczonych utrwalaona w pamięci komputerów.

— I nie można tego odczytać? — spytał niedowierzająco Harry.

— Ależ można — odparł Croft — tylko że otrzymasz z tego równie długi łańcuch wzorów i symboli matematyczno-chemiczno-fizycznych. Ich odczytanie jest oczywiście możliwe, jeśli ktoś dysponuje nieśmiertelnością.

Hm, James coś ukrywa, złośliwa bestia, chciałby mnie splawić albo brak mu jednak tego referenta do spraw reklamy. No, czekaj, bratku, ze mną nie tak łatwo. Harry przybrał żalobny wyraz twarzy.

— Ale mógłbym chyba zapoznać się z jakimś ciągiem produkcyjnym?

— Sprawa bardzo skomplikowana, wymagałaby specjalnego zezwolenia.

— Dlaczego?

— Widzisz, każdy nie zatrudniony lub nie w pełni zatrudniony pracownik, chociażby nawet niczego nie dotykał, wpływa na zmniejszenie wydajności pracy i jej bezpieczeństwo. Musiałbyś złożyć podanie z jakimś mocnym poparciem typu urzędowego...

Rozmowę przerwał natarczywy dźwięk sygnału wideo i natychmiast na dużym ekranie ukazał się trójwymiarowy obraz zagniewanej twarzy.

— Naczelnny — szepnął James usiłując ukryć za plecami napoczętą butelkę.

— Aha, szampana się popija, a robota leży — warknął naczelnny. — Jakaś okazja czy co?

Croft wyjaśnił, że właśnie załatwia sprawy kadrowe i ma nadzieję na pozyskanie świetnego specjalisty do referatu reklamy.

— No, proszę, nowy pracownik, w dodatku do reklamy — naczelnny dyrektor WACYB-u cedził szyderczo przez zęby. — To pięknie, wprawdzie jednak trzeba mieć co reklamować — zrozumiano, Croft? Tracisz czas, gdy na montażu ucieka z konta fundusz premiowy! Zapominasz, że w komisji zasiada profesor York, członek Akademii Cybernetycznej i zaprzysiężony ekspert Zjednoczonych Zakładów Rakietowych. Za każdą godzinę płacimy tej pijawce euroasa, a siedzi już trzeci dzień.

— Nie można było wziąć kogoś tańszego? Może York zrobiłby coś w czynie społecznym?

— Bez zbędnej filozofii, Croft! — wrzasnął dyrektor. — Zapewniałeś mnie, że każdy z twoich inżynierów, po przejściu specjalnego obozu kondycyjnego, będzie wrażliwy jak mimoza. Ty ze mnie balona robisz, Croft! Mam meldunki, że ostatni z tych trutki też nie reaguje, wszyscy zachowują się jak drewno, jak kołki w płocie.

— Ależ dyrektorze, pilnie uczęszczali...

— Dość tego! Bujaj słonia w karafce, Croft! Lumpili się po meczach bokserskich, zawodach na żużlu, zapijali się piwem. Żaden nie był w galerii sztuki, ani na symfoniojękach, dramatozwidach — już ja ich znam. A teraz rób co chcesz, a za godzinę muszę usłyszeć pomyślne wieści. Jeśli nie, to przy wypłacie nie zobaczysz ani jednego euroasa.

Twarz naczelnego zniknęła z ekranu i tylko jeszcze przez ułamek sekundy błąkało się echo jego głosu pod kopułą gabinetu. Croft westchnął, opadł ciężko na pneumaty fotela i tępo spoglądał w jakiś punkt ściany.

— Tajfun przeszedł — stwierdził Harry i pokiwał głową ze współczuciem. — Masz, stary, godzinę spokoju, mnie na karku kłopoty i w laboratorium. Proponuję, żebyś mnie szybko spławił dając mi zezwolenie na pobyt w WACYB-ie, lub abyś mnie przyjął do jakiejś łatwej pracy, jeśli tego nie można inaczej załatwić.

James powoli podniósł głowę.

— Coś powiedział? Praca? Ty? — przypatrywał mu się przez chwilę nieobecny spojrzeniem. Nagle jakby się ocknął. Oczy mu błysnęły, ręka wykonała obowiązkowy masaż szczęki, wstał i mrucząc z cicha obejrzał dokładnie Harry'ego od trzewików po kosmyk włosów na głowie. Widocznie oględziny wypadły zadowolająco, bo Croft zatarł ręce, siadł za pulpitem i wyciągnął z niego jakiś formularz.

— Harry, jesteś artystą? Odczuwasz piękno przyrody, wzruszają cię trele kanarków, lubisz dramatośpiew i symfoniojęki?

— Dziwię się, James, że o to pytasz! — Harry był dotknięty do żywego podobnymi wątpliwościami. — Moja subtelna natura twórcy żywi się produktami kultury, tak jak ciało odżywia się na przykład jajecznicą, którą jadłem na śniadanie.

— Hmm... A masz jakieś wykształcenie techniczne? No, powiedzmy, jakiś kurs techników amatorów czy coś w tym guście?

— Z techniki znam tylko niektóre części mojego robota domowego — odparł Harry. — Kondensatory, cewki, wybieraki, zastawki ferrytowe i inne takie drobiazgi. Tej mojej bestii, Katodemu, stale coś wysiada, więc z konieczności muszę się tym zajmować.

— Hm, trochę mało. A wiesz, co to jest na przykład pompa? — James badał kwalifikacje ewentualnego pracownika WACYB-u.

Harry z trudem opanował wybuch irytacji.

— Oczywiście, James, jasne, że wiem. Jest to uroczysta oprawa jakiegoś przyjęcia, ceremonie związane z zaprzysiężeniem członków Najwyższej Rady, no, wszystko to, o czym można napisać, że odbyło się z, wielką pompą.

Croft jęknął głucho, spojrział na zegarek, schwycił się za głowę i podał Harry'emu formularz.

— Podpisz to — wyszeptał z rezygnacją. — Przyjmujemy cię jako inżyniera, specjalistę od bioprądów, z zadaniem sterowania ruchem urządzenia XY-5. Oczywiście na trzydniowy okres próbny, z płacą ćwierć euroasa dziennie.

— Jesteś dobrym kolegą — Harry uściśnęła serdecznie dłoń Jamesa. — Kiedy zaczynam?

— Od zaraz.

Wędrówka korytarzami nie trwała długo, w pewnym momencie rozsunęły się przed nimi drzwi i weszli do niedużej hali. Wypełniały ją maszyny różnej wielkości i kształtu,

stojące szeregami wśród wąskich przejść, oraz rozmaitej grubości kable wijące się pod belkami stropu. W centralnym punkcie pomieszczenia stał przezroczysty pawilon wzniesiony na podwyższeniu. Można było z niego objąć wzrokiem całą halę i zapewne sterować pracą urządzeń.

Podeszli do szklanej klatki; w jej wnętrzu kilku ubranych w białe płaszcze ludzi otaczało wysoki metalowy fotel i siedzącego w nim mężczyznę, który kiwał przecząco głową, rozkładając ręce gestem bezradności. Weszli do środka. Do Jamesa podszedł wysoki inżynier z zatroskaną twarzą.

— Słyszałem, Stew, że również Bob jest do niczego — burknął Croft na powitanie. — O, baranki moje, policzymy się za to, za obóz, za Capri, za Lazurowe Wybrzeże i wszystkie mecze w Neapolu i Rzymie! To ja mam za was piguły od naczelnego łykać!? Witam szanownego pana profesora — Croft zwrócił się do znudzonego osobnika z siwiejącą bródką, ziewającego za stołem kontrolnym. — Jak tam przebiega eksperyment?

— Wynik zerowy — oświadczył brodacz, walcząc najwyraźniej z drzemką. — Ani jedna wskazówka nie drgnęła. Wystąpię do dyrektora o dodatek za nudną pracę.

— Mamy widoki na pomyślniejsze rezultaty — zapewnił szybko Croft. — Przyjąłem właśnie pracownika, z którym wiąże pewne nadzieje.

— Hm — mruknął profesor bez entuzjazmu.

— Harry, siadaj w fotelu — wołał Croft — a ty, Stew, przygotuj wszystko do rozruchu. Reszta na stanowiska!

Harry usadowił się wśród pneumatycznych poduszek i wyciągnął przed siebie nogi. Właściwie wszystko udało się nadspodziewanie pomyślnie — jest pracownikiem WACYB-u, podjął natychmiast pracę, co zaoszczędzi sporo czasu, a w dodatku bierze udział jako centralna postać doświadczenia, które niewątpliwie da się spożytkować. Wprawdzie to, co się dookoła działo, było zupełnie niezrozumiałe, lecz oczywiście wkrótce już techniczny światek nie będzie mieć tajemnic, a wówczas on stworzy utwór nowy i genialny. A potem — Wyspy Kanaryjskie witajcie!

Inżynier Stew włożył Harry'emu na głowę baniasty hełm, z którego wybiegało mnóstwo kabli, a następnie wsunął mu na dłonie grube rękawice, do których również przyłączono pęk różnokolorowych przewodów, niknących za tablicami wypełnionymi zegarami, sygnałami kontrolnymi i rozmaitymi czujnikami o niewiadomym przeznaczeniu. Inżynierowie i laboranci zasiedli przy pulpitych, a Croft opadł na fotel tuż przy brodatym ekspercie. Zapadła cisza pełna oczekiwania, Harry czuł na sobie oczy wszystkich, lecz nic się nie działo.

— Słuchaj, James, co ja mam robić?

— Ty? Nic. To my pracujemy, ty masz tylko siedzieć i meldować. W tej chwili zakończyliśmy pomiar twoich bioprądów dla skorygowania algorytmu. A teraz, Harry, zamknij oczy, skup się maksymalnie i mów, jak się czujesz; czy cię coś swędzi, boli, drapie, gryzie... W ogóle wszystko.

Harry zacisnął powieki. Słyszał tylko cichy szum prądów płynących w urządzeniach pomiarowych i oddechy siedzących w pobliżu ludzi. Poza tym nie czuł nic, a raczej czuł, że chętnie by przekąsił, coś solidnego w rodzaju sznycła z jajkiem i frytkami, bo poranna jajecznicza stała się już dość odległym wspomnieniem. Zaczął się zastanawiać, czy zgrzeszyłby przeciw jakimś regulaminom pracy WACYB-u, gdyby teraz, w czasie doświadczenia, zażądał lepszej przekąski. Otworzył oczy.

— Czy pan coś czuje? — zapytał profesor.

— Absolutnie nic.

— Dziwne, bo wskazówka się przesuwą — zauważył Croft pochylając się nad zegarami. — Naprawdę nic nie czujesz?

— Najzupełniej nic — zapewnił Harry. — Mam natomiast do ciebie prośbę: czy mógłbyś zorganizować coś do jedzenia? Moje śniadanie było dość lekkostrawne.

Brodacz i Croft wymienili znaczące spojrzenia.

— Czuje pan zatem głód — stwierdził profesor. — A więc jednak coś pan czuje.

— Minęło południe, chyba mam prawo być głodny! — zaprotestował Harry.

Profesor skinął lekceważąco ręką.

— Ma pan o wszystkim meldować. O wszystkim — dodał z naciskiem. — A wy, chłopcy — zwrócił się do inżynierów — podrzućcie no z tysiąc wolt na transformatory, bo nam biedaczek osłabnie z głodu.

Inżynierowie i laboranci zachichotali, co oburzyło Harry'ego dogłębnie. Gniew wzrastał w nim bardzo szybko, po chwili gotów był podejść do najteższego dryblasa i nie zważając na nic, dać mu solidną lekcję dobrego wychowania.

— Śmieszno tam komuś? — spojrzał ku laborantom. — Bo mogę mu zmienić nastrój, jeśli bardzo tego pragnie. A ty, z tą bródką, tylko grzecznie ze mną, proszę uniesienie, bo nauczę szacunku.

— Bardzo przepraszam — skłonił się profesor. — Nie miałem zamiaru pana urazić.

Brodacz spojrzał przeciągle na Crofta i pokiwał głową.

— Tego efektu nie przewidzieliśmy — szeptął dyrektor. — To chyba działa dwustronnie. Każde wzmocnienie prądowe wyostrzy krzywą, więc poczucie siły wzrośnie...

— Pssyt! — profesor położył palec na wargach, po czym z przymilnym uśmiechem zwrócił się do Harry'ego. — Czy szanowny pan jeszcze żąda obiadu?

— Nie, dziękuję — burknął Harry. — Te prostackie śmiechy i kpiny pozbawiły mnie apetytu. Lubię jadać w kulturalniejszym towarzystwie.

Oświadczenie to wzbudziło groźny pomruk wśród personelu, lecz profesor zdołał załagodzić sytuację.

— Harry, zamknij oczy i mów, co czujesz — prosił zaniepokojony Croft.

— Dobrze, dobrze — mruknął Harry i opuścił powieki. Zrobił to nie dla Jamesa, po prostu nie miał ochoty dłużej oglądać te nieciekawe w gruncie rzeczy istoty, siedzące przy tablicach i pulpitych. Pociągał go świat inny, świat wewnętrzny, który w nieokreślony sposób rozrastał się w nim samym, z sekundy na sekundę większy i bardziej dojrzały, wypełniający się nieznanymi treściami, trudnymi do nazwania, będącymi jednak jakimś odpowiednikiem poczucia siły i pewności siebie. W następnym momencie Harry stwierdził, że świat ten przekroczył granice jego ciała, że nadal pęcznieje, obejmuje coraz szersze kręgi, jakby rozpychał dookoła tafle otaczającego kuliście mroku, że jest i zarazem nie jest nim samym...

— Co czujesz, Harry? — usłyszał natrętny głos Jamesa.

— Cicho bądź, jeśli łaska — syknął w odpowiedzi. — Mam chwilę kontemplacji i wsłuchuję się w siebie, co czasem się twórcom zdarza. Swoją drogą nigdy nie przypuszczałem, że posiadam tak bogaty świat wewnętrzny. Teraz zaczynam wypełniać nim całą tę halę.

— Co?

— Daj mi spokój, muszę się skupić, aby poznać siebie.

Świat wewnętrzny, a raczej dziwne uczucie rozprzestrzeniającego się jestestwa powoli ustawało, przechodziło w spokój, błogostan odpoczywającego olbrzyma, wygrzewającego się na piasku, rozkoszującego się doznawaniem zdrowia i drzemiącej w mięśniach siły. — Co jest, u licha! — zastanowił się Harry. — Coś tu jednak nie jest w porządku. Stan, owszem, przyjemny, lecz raczej, hm, nienormalny. Wprawdzie zawsze podejrzewałem istnienie w sobie sił ukrytych, sił geniuszu i myśli, coś mi się jednak zdaje, że manifestować się one winny aktywnością twórczą, a nie, hm, tego, lenistwem. To jednak nie żadne natchnienie, lecz jakieś sztuczki Crofta. Najgorsze w tym wszystkim, że zupełnie nie wiem, gdzie kończy się moje ja, a zaczynają się zjawiska spowodowane przez tych czcicieli zębatek i przekładni. No cóż, trzeba się zapytać. Harry niechętnie otworzył oczy.

— Hej, James, co to za doświadczenie? Czuję się tak, jakbym był tą całą halą wraz z maszynami i z twoją tablicą rozdzielczą.

Croft zatarł ręce, a profesor gładził z zadowoleniem swoją spiczastą bródkę. Inżynierowie i laboranci notowali skrzętnie wyniki pomiarów.

— Jesteś podłączony elektrodami do tych urządzeń — wyjaśnił Croft. — Twoje ciało jest jakby przedłużone o całą tę część mechaniczną lub, jeśli wolisz, te maszyny są przedłużone o ciebie. Żyjecie nie w symbiozie, lecz jesteście integralnymi częściami jednego techniczno-biologicznego tworu.

— Coś w rodzaju mechanicznego centaury?

— O, właśnie. Jesteś jego głową i układem nerwowym, poszerzonym o komputer spełniający rolę drugiego mózgu. Oczywiście, w tej chwili my kierujemy pracą całego układu, ale nadejdą czasy, że kierować takim agregatem będzie człowiek z nim zespolony.

— Ciekawe, ciekawe — mruzczał Harry. — Ale chyba teraz nie pracuję jeszcze, prawda, James?

— Nie czujesz tego?

— Czuję, że odpoczywam, ot, leżę sobie na słonecznej plaży.

— Bo jesteś pod prądem, lecz na biegu jałowym — wyjaśnił James. — Zacznieś pracować, gdy przełączymy ciebie na bieg efektywny.

— A jaką właściwie maszyną jestem? Tokarką, frezarką...

— Jesteś rakieta kosmiczną, zespołem urządzeń napędowych na paliwo chemiczne. Masz pompy paliwowe, olejowe, posiadasz sprężarki, system chłodzący, dysze, zastawki korekcyjne ciągu...

— O raju! — westchnął Harry. — Chyba wystartuję na księżyc.

Croft roześmiał się.

— Nie ma obawy. To melodia niedalekiej przyszłości. Dopiero za kilkanaście lat wystartują pierwsze rakiety tak sterowane. A teraz popracujesz nieco, Harry, aby ten termin nie był dłuższy. Profesorze, oddaję go w pańskie ręce. Proszę go zatrudnić.

Brodacz skinął głową i przesunął jakąś dźwignię na pulpicie. Harry nagle wrzasnął.

— Co się stało? — profesor patrzył ciekawie.

— Ktoś mnie kopnął — jęknął Harry masując rękawicą pośladek.

— Ciekawe — profesor cofnął dźwignię i znowu ją szybko przesunął.

— Auu! — wrzasnął Harry.

— Bardzo pana przepraszam, to tylko szybkie włączenie starter — mruknął brodaty członek Akademii Cybernetycznej. — Musiałem sprawdzić tę reakcję. Cała nauka opiera się na doświadczeniu i na sprawdzeniu wyników.

— Mam w nosie pańskie tłumaczenia!

— Jestem członkiem Akademii i wymagam, aby zwracano się do mnie z szacunkiem.

— Nic mnie to nie obchodzi! Kopnij no mnie jeszcze raz, łobuzie, a wstanę i tak cię doświadczalnie trzepnę, że nie będzie trzeba żadnej kontroli wyników.

Od tablic rozdzielczych nadbiegł poblady Croft.

— Ależ panowie! Proszę się pogodzić i przeprosić! — błagał. — Harry! Dla dobra cywilizacji trzeba znieść niejedną dolegliwość. Czy mam ci cytować nazwiska osób, które złożyły najcięższe ofiary dla tego wielkiego celu?

— Przestań pleść, James! W naszej umowie nic nie ma o kopniakach.

— Harry! To była pomyłka. Dostaniesz specjalną premię uznaniową. Złóż tę drobną dolegliwość na ołtarzu nauki.

— Dobrze, dobrze, tylko niech mnie ten członek Akademii nie kopie — mruknął łaskawie Harry, którego nieco udobruchał „ołtarz nauki” — mam swoją godność. Niech mnie pan, profesorze, włącza do rozruchu w sposób odpowiedni do stopnia mej wrażliwości.

— Zrobię to z największą delikatnością — zapewnił profesor York. — A teraz proszę zamknąć oczy i przekazywać nam wrażenia.

Tym razem rozruch był bezbolesny. W Harrym zbudziła się jakaś siła, jakby gdzieś w

hali, wśród maszyn, rozprostowywał ramiona heros szykujący się do wykonania nie znanego jeszcze, lecz potężnego dzieła. Moc ta mogła zmieść mury hali wraz z tym śmiesznym szklanym kioskiem, mogła zrobić i zniszczyć wszystko w promieniu pół kilometra. Harry wiedział, że mógłby wyzwolić z siebie siłę ciągu, który zaniósłby go na Marsa, znał jej wielkość, trajektorię lotu... chociaż równocześnie nic z tego nie rozumiał. Włączyli mi chyba jakąś sekcję komputera — medytował — bo skąd wiem o tym Marsie i o zapasie paliwa, którego ciężar wynosi 7600 ton. Najdziwniejsze jest jednak to, że czuję te maszyny tak, jakby mi wyrosły jakieś nowe organa wewnętrzne, ręce, palce, nogi. Nie wiem nawet, które z tych urządzeń odpowiada danemu uczuciu. Czy ta lewa, czy prawa maszyna sprawia wrażenie, że posiadam chwytny ogon? Chyba York wie coś na ten temat.

— Halo, profesorze! Która z maszyn jest moim ogonem?

— Czym?

— Ogonem. Jedno z tych urządzeń czuje, jakby było moim ogonem.

Pytanie zrobiło mocne wrażenie, zarówno na członku Akademii, jak i na Crofcie oraz reszcie personelu. Profesor był zachwycony i zakłopotany zarazem, co wyraził subtelnym cmokaniem oraz rozłożeniem rąk. Croft był zaniepokojony.

— Profesorze, rozumie pan coś z tego?

— Ależ oczywiście — brodacz był bliski euforii. — To nadzwyczajne potwierdzenie mojej teorii. Prądy sterujące maszyn, po przetworzeniu na bioprądy pilota, szukają środków dyspozycyjnych w najmniej obciążonych centrach mózgu. Są to przede wszystkim miejsca, które kiedyś sterowały narządami będącymi obecnie w zaniku lub formie szczątkowej.

— No, to wszystko jasne — ucieszył się Croft — możemy kontynuować. Koledzy. Jazda na stanowiska! Teraz, Harry, włączmy bieg pracy, co równa się próbie sprawności silnika rakiety na stanowisku startowym.

— Dobrze, dobrze, będę meldować...

Harry zamknął oczy. Świadomość, że jest częścią olbrzymiego systemu napędowego, jego mózgiem, okiem i uchem była przeżyciem niezwykle intrygującym. Wprawdzie siedzenie na wysokim fotelu, z głową w dziwnym hełmie i rękawicach przypominających łapy dawno wymarłych zwierząt, było nieco śmieszne — jakież dziwne jednak doświadczenia i sytuacje musi przeżyć twórca, aby mogło powstać dzieło artystycznie głębokie i pełne ekspresji. Jeśli się przy tym dodatkowo pożywi także nauka, to chyba można już mówić o podwójnej satysfakcji. James wydawał polecenia, coś się tam działo przy tablicach, ktoś, chyba Stew, odliczał wstecznie „siedem, sześć, pięć...” Wreszcie padło sakramentalne słowo „zero”. Harry natychmiast poczuł mrowiący ból w stawach kolanowych.

— Boli mnie kolano.

— Mocno?

— Można wytrzymać... ooh!... zakłuła mnie wątroba... drą mnie reumatycznie mięśnie przedramienia..

— Spokojnie, spokojnie, to przejdzie.

— Auuu! — wrzasnął nagle Harry otwierając oczy.

— Co się dzieje? — profesor uniósł brwi i spojrzał znad instrumentów pomiarowych. — Proszę się nie wiercić w fotelu.

— Oooo, oooj... mam chyba atak nerkowy! Auu, co za paskudny ból... ależ mnie rozrywa! Wyłączcie natychmiast to świństwo! — Harry usiłował wstać z fotela.

— Sekundę, tylko sekundę — wołał Croft przytrzymując go na poduszkach. — Zrozum, to nie boli ciebie twoja nerka, ale któraś z tych maszyn ma drobny defekt. Przestań więc krzyczeć i skup się, zastanów się spokojnie... Może zdołasz wskazać tę maszynę. Która to?

— Diabli wiedzą! Och, och, co za parszywe klucze, oj, oj... zamknij natychmiast te przeklęte mechanizmy!

— Chwileczkę, wytrzymaj jeszcze chwilę — ręka Jamesa przygwoździła Harry'ego do

fotela. — Chłopaki! Sprawdzić wykresy pracy maszyn! Ale już! Profesorze, które urządzenie może być odczuwane jako nerka?

Profesor spojrzął ku sufitowi i przymknął oczy.

— Hmm, muszę się zastanowić, Croft. Przede wszystkim trzeba uzyskać dodatkowe dane. Niech ten człowiek się uspokoi i powie nam wreszcie coś więcej...

W Harry'ego uderzył ładunek bólu, bezwzględne, tępego... Wrzasnął, skoczył na równe nogi, poczuł rękę Crofta trzymającą go mocno za ramię, krzyknął „puść!”, nie poskutkowało, więc według wszelkich prawideł ringu posłał go jednym ciosem rękawicy na „deski”. Podobny los spotkał interweniującego członka Akademii, a potem Stew znalazł się na podłodze... Harry poza ohydny, skręcającym go bólem czuł w sobie moc wszystkich pracujących w hali maszyn. Nadbiegający ludzie cofnęli się z trwogą... Bania hełmu potoczyła się pod komputer ciągnąc za sobą różnokolorowe kable... za nią poleciały ciśnięte rękawice... Ból minął, zniknął, rozplynał się tak nagle, że trudno było uwierzyć w jego istnienie przed ułamkiem sekundy. Harry nie czekał — runął w drzwi laboratorium, przeskoczył stopnie i pognął ku wyjściu...

* * *

Harry wpełzając w fotelu melancholijnie spoglądał na panoramę miasta. Nie widział jednak ani iglicowców śródmiejskiego centrum, ani kolorowych reklam, kreślonych światłem na ciemniejącym już błękitnie nieba. Chwila radości i absolutnego szczęścia, jakich doznał po ucieczce z WACYB-u rozwiały się już dawno, pozostawiając po sobie osad smutnej refleksji na temat nie osiągniętych celów. Na WACYB i Crofta liczyć już nie należało, jak również na poznanie jakiejś technologii. Samo wspomnienie bólów, związanych z wysiadywaniem poduszek doświadczalnego fotela, było tak niesympatyczne, iż Harry z góry już wiedział, że przez kilka najbliższych lat nie zdoła się zmusić do przekroczenia nawet najlichszej fabryczki marmolady. A więc żegnaj, sławo! Żegnajcie, wiekopomne dzieła, żegnaj, nowy kierunku twórczości literackiej, produktywizmie klasyczny, zamordowany przeciwnościami losu.

— Katody! Koniak! — krzyknął Harry w kierunku korytarza. Nic się tam jednak nie poruszyło, i Harry natychmiast przypomniał sobie, że przecież Katody nie wrócił do tej pory w domowe progi. Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka — usprawiedliwił w myślach swoje roztargnienie. Zapewne Croft zatrzymał złośliwie robota, a może Katody włóczy się po prostu po jakichś zakazanych dzielnicach miasta, zużywa resztki emisji lamp i udaje, że nie odbiera sygnałów nakazujących mu powrót. Ech, żegnajcie, Wyspy Kanaryjskie, żegnaj, lazury oceanie...

Smutne rozmyślanie przerwał sygnał automatycznego sekretarza.

— Co tam znowu?

— List do szanownego pana od niejakiego Crofta.

— Ten łotr ośmiela się do mnie pisać?! Katody, przynieś...

Harry urwał w pół zdania. Przecież robota nie ma, trzeba więc samemu wstać, podejść do Asa i wyjąć z wneki korespondencyjnej jakieś tam wypociny Jamesa. Smutne jest życie bez robota.

„Drogi Przyjacielu!” — pisał James. — „Chciałbym Ciebie przeprosić za doznane przykrości, lecz opuściłeś nas tak szybko, że mogę uczynić to tylko listownie.” Harry nie bez pewnej satysfakcji pomyślał, że James boi się go — mógł oczywiście to samo powiedzieć przez wideo lub złożyć telewizytę. Ależ bym mu naurągał...

„...Szczegółowa analiza zapisu pracy maszyn wykazała, że Twoje dolegliwości kostnowstawowe były niedotarciem wału korbowego w układzie pomocniczego silnika sekcji III, natomiast ostry atak nerkowy to wynik braku synchronizacji sprężarki przy filtrze paliwowym dyszy głównej. Nie obawiaj się więc o stan tego narządu, jest zdrowy — po prostu bolała

Ciebie sprężarka. Chciałbym tutaj podkreślić Twój doniosły, choć krótkotrwały, wkład w rozwój cybioniki, lecz chyba jest rzeczą zrozumiałą, że po tym, co zaszło, z prawdziwym żalem musimy zrezygnować z tak cennej dla WACYB-u współpracy. Sprawa z profesorem Yorkiem została załatwiona, tak że nie będziesz musiał stawać przed sądem. Twoja należność, wraz z wszelkimi możliwymi premiami i nagrodami, wynosi dwa euroasy. Po zastanowieniu się jednak nad Twoją sytuacją finansową, o której wspomniałeś, i nikłością tej kwoty w stosunku do położonych zasług, postanowiliśmy nie przekazywać tej śmiesznie niskiej ilości euroasów, lecz zrobić Ci przyjemną niespodziankę, zgodną z Twoim cichym życzeniem. Zawsze oddany dłużnik i przyjaciel — James Croft.”

Harry zgniótł kartkę i cisnął ją do kosza. Ot, kanalia! Zadysonował euroasami, i to w dodatku zgodnie z moim „cichym życzeniem”?! Bezcelny typek! Skąd taki, tfu, tfu, Croft, może znać moje życzenia i gusty? Hm, czyżbym w trakcie rozmowy wspomniał o tych Wyspach Kanaryjskich? Chyba nie. A może ćwiczebny komputer ma z tym coś wspólnego? Bzdura! Więc co on, u licha, miał na myśli? Niespodzianka! Dobry sobie.

Do uszu Harry'ego dobiegł szmer lekkich kroków, zabrzączał otwierany zamek drzwi...

— Katody! Chodź no tutaj, łajdaku! — wrzasnął Harry — potrzaskam cię na metalową kaszę, włóczyblacho!

Po sekundzie robót stał już przed fotelem. Harry powoli odwrócił ku niemu głowę i... wiązanka napomnień zamarała mu na ustach. Katody! Lśni! Promienia! Blask bił z jego świeżo chromowanych części, wymienionych nowiuteńkich blach napierśnych, szlachetnie oksydowanych złącz i przewodów kulistych. Zniknęły przeżarte, rdzawe części pancerza, nadgryzione tarcie panewki, tulejki i łożyska toczne. Nawet bezduszna twarz robota, oświetlona teraz soczystym blaskiem lampki kontrolnej, miała jakiś sympatyczny wyraz.

— A to co? — wybełkotał wreszcie Harry. — Gadaj zaraz, kto cię tak oporządził?

— To w WACYB-ie, panie Harry, w warsztatach remontowych — odparł Katody czystym, melodyjnym głosem o zerowym współczynniku szumów.

— Błyszczysz jak puszka po konserwowym groszku — mruczał Harry przyglądając mu się krytycznie.

— Pragnę zauważyć, proszę pana, że moja szata zewnętrzna wygląda bardziej elegancko i jest w dobrym gatunku.

— Dostyc tych poufałości, Katody! Miałeś przynieść od Crofta jakąś niespodziankę. Gdzie ona?

Katody ani nie zabrzączał, ani nie zazgrzytał, lecz natychmiast odparł w radosnej tonacji:

— To ja nią jestem, proszę pana.

— Ty?

Harry jęknął i opadł na poduszki fotela. Więc ten wypucowany Katody z wymienioną lampą i jakimś filtrem małej częstotliwości jest ową zapowiadaną niespodzianką! Jest równowartością dwóch euroasów, czyli kawioru, pasztetu strasburskiego lub dwóch dni spędzonych na karnawale weneckim, na balu w pałacu dożów. Nie, naprawdę niczego więcej nie można się było po Crofcie spodziewać. Przez chwilę rozważał, czy nie należałoby może zażądać od Jamesa wypłaty w gotówce, jednak z żalem odrzucił kuszącą go myśl. Kolega mógłby nabrać podejrzeń co do zasobności jego konta, sprawdzić stan w banku... Nie, nie... Do WACYB-u należy wysłać list dziękczynny, utrzymany w godnej tonacji. Co jednak miał na myśli James pisząc o spełnieniu moich ukrytych życzeń? Harry spojrzał podejrzliwie na błyszczącego szlachetnymi chromami i niklami Katodego. Katody elegancki? Katody lśniący? Katody poruszający się wdzięcznym, posuwistym krokiem robota pierwszej kategorii? To ma być moje skryte marzenie?!

— Katody! Natychmiast do mnie!

Robot z pewnym wahaniem zbliżył się do fotela, lecz stanął w przyzwoitej odległości.

— A teraz powiedz mi — łotrze — Harry cedził złowróźnie słowa — skąd pan Croft wiedział, co mi sprawi największą przyjemność?

Katody zabrzączał, zatrzeszczał, zachwiał się, zaczął iskrzyć, a jego lampka kontrolna przybladła.

— Spokojnie, spokojnie, blaszanko nafaszerowana drutem — syczał Harry. — No proszę, niby po remonciku, a takiś nerwowy? Niby masz zwarcie, he? Już ja znam te twoje sztuczki, możesz się nie wysilać. Jak to było?

— Jestem niewinny, proszę pana — zajęczał Katody. — To pan Croft, bardzo zatroskany, przyszedł do mnie i zapytał: „Powiedz mi, mój drogi, w jaki sposób mógłbym sprawić przyjemność twojemu panu?” Więc odpowiedziałem.

— Co odpowiedziałeś?

— Powiedziałem: „Największym marzeniem mojego pana jest, aby mnie kapitalnie wyremontowano”.

Harry zazgrzytał zębami — ten mechaniczny potwór z ferrytową pamięcią miał dziwny dar wytrącania go z równowagi.

— Mówiłem, że największym moim marzeniem jest ujrzeć ciebie w składnicy złomu...

— ...albo w stanie pełnej sprawności usługowej — dokończył zdanie Katody. — Ponieważ przyprowadził mnie pan do WACYB-u, przeto zgodnie z pańskim życzeniem poddałem się kapitalnemu remontowi. Mam teraz zamiast lamp znacznie wydajniejsze tranzystory oraz szereg obwodów scalonych. Poza tym pan Croft wmontował mi osobiście unikalną przystawkę koncepcyjną, pracującą w oparciu o kryształy. Jestem więc nie tylko pełnosprawnym robotem, lecz i robotem jedynym w swoim rodzaju.

— Ale mi nie jest potrzebny przemądrzały robot, niszczący mnie zdrowotnie i finansowo — stwierdził Harry. — Jutro wymontuję tę przystawkę i sprzedam w komisie. Powinna przynieść kilka euroasów.

Katody załamał chwytne kończyny.

— Niech mi pan ją pozostawi, panie Harry! — piszczał żałośnie... — Proszę dać mi szansę naprawienia zła. Co mam zrobić?

Harry wzruszył ramionami.

— Co masz zrobić? A powieś się, nicponiu! Ale co ja mam zrobić?, oto jest pytanie. O ludziach wszystko już napisano, wszystko jest kościstym, zwapniałym schematem. Na kreowaniu produktu jako bohatera brak mi doświadczeń. Nowy, wymyślony przeze mnie kierunek, produktywizm klasyczny, umarł przed powiciem. Więc cóż pisać?

Katody szemrząc prądami zaczął krążyć po pokoju. Wreszcie znalazł się znów przed fotelem.

— A może by pan pisał o człowiekomaszynie?

Harry wpatrywał się długo w martwą twarz robota. Powoli mijały sekundy, minuty...

— Wiesz, Katody, to nawet nie jest głupie — wyszeptał w zamyśleniu. — Przecież przeżyłem w WACYB-ie. Wiesz, stary gracie, nazwę ten kierunek literacki centauryzmem cybernetycznym. A teraz marsz do kąta i ani mi się waż odezwać!

Harry poszedł do pracowni, usiadł przy konceptorze i zagłębił się w tworzeniu konstrukcji nowelowizji. Zatytułował ją: „Człowiek, którego bolała sprężarka”...

SPIS OPOWIADAŃ

W PRACOWNI PISARZA	02
WYSPA PETERSENA	08
CI Z PATROLU	13
POWRÓT GIGANTÓW	25
STAN ZAGROŻENIA	29
SZYBKOŚCI KOSMICZNE	37
PERYFERIE UKŁADU	44
PROG PRYZSTOSOWANIA	47
ZIELONA, PRZEKŁĘTA WYSPA	50
CIEPŁO, CIEPŁO, CORAZ CIEPLEJ	53
OBLICZE BOGA PTAH	58
ROZBITA RAKIETA	61
LEPIEJ UCZYC PTASZKI	64
CZEKA CIĘ WIELKA PRZYGODA	67
PRZYGODY W PIERŚCIENIACH SATURNA	78
PEGAZ NA TRANZYSTORACH	84